

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

Zodiakary, tarociary i gnostycy

Dlaczego generacja Z
pokochała horoskopy?
Czy coaching to współczesna
forma magii? Gdzie w Polsce
znajdują się miejsca mocy? — s. 4-33

**Czy Europa Środkowa
to dla Zachodu tylko
zasieki przed Rosją?**
— s. 34

**Olga Tokarczuk:
Fikcja jest większa
od prawdy**
— s. 44

**George Steiner:
Dlaczego nie powstają
już wielkie tragedie?**
— s. 56

Ilustracja: Mary Zaleska

ISSN 0044-88X INDEKS 383716



Nr 827

okres 26,99 zł/rocznik ANTYCZNIK (ok.) 2024

Filmowe doświadczenie
zmieniające życie.

FIRST SHOWING

O odkrywaniu spokoju,
harmonii i szczęścia.

THE HOLLYWOOD REPORTER

Kojąca celebrazja
codziennych radości.

VARIETY

2024
OSCARS
NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM
MIĘDZYNARODOWY



FESTIVAL DE CANNES

NAJLEPSZY AKTOR
2023

W ROLI GŁÓWNEJ

KOJI YAKUSHO

REŻYSERIA

WIM WENDERS

PERFECT DAYS

W KINACH

KOJI YANAI PRESENTS A MASTER MIND PRODUCTION IN COLLABORATION WITH SPOON AND WENDERS IMAGES "PERFECT DAYS" A FILM BY WIM WENDERS
starring KOJI YAKUSHO TOKIO EPHOTO ARISA NAKANO AOI YAMADA YUMI ASO SAYURI ISHIKAWA and TOMOKAZU MIURA special guest MIN TANAKA
directed by philippine PAREZ LUSTIG edited by DONATA WENDERS music by CLÉMENTINE DECENNE hair & make-up artist KATSURIKO YUJIMI line producer YUSUKE KOMAYASHI
producers WIM WENDERS TOMAKO KAWAJIMA casting director MASUNOBU HOTOZAKAWA location manager KO TAKAHASHI costume designer DAISUKE IGA hair & make-up artist KATSURIKO YUJIMI line producer YUSUKE KOMAYASHI
executive producer TAKUHA TAKASAKI produced by KOJI YANAI written by WIM WENDERS TAKUHA TAKASAKI directed by WIM WENDERS © 2023 MASTER MIND Ltd.

Spoon W THE MATCH FACTORY

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

FILMWEB

OLX.PL

zwierciadło

senS

K
MAG

11

GF



Dominika Kozłowska

Odwieczne pytania

PRESOKRATYCY: HERAKLIT, PARMENIDES CZY ANAKSAGORAS, po których myśli prześlizguje się pobieżnie większość studentów filozofii, jako pierwsi na gruncie filozofii dotarli do pytania: co istnieje naprawdę, dlaczego w ogóle istnieje raczej coś niż nic? A przecież u źródeł naszej kultury odnajdujemy również doświadczenie religijne, które znalazło wyraz w obrazie krzewu ognistego i objawienia się Boga w imieniu „Jestem, który Jestem” (Wj 3, 14). Ten obraz pochodzący z tradycyjnie przypisywanej Mojżeszowi Księgi Wyjścia pokazuje, że najgłębszym fundamentem naszej kultury jest skierowane w głąb duszy człowieka pytanie o istnienie, o rdzeń bytu.

Być może to właśnie pytanie wyrasta na tak ważny fundament w odpowiedzi na doświadczenie ludzkiej kondycji – jej kruchości, podatności na cierpienie, nie trwałości, śmiertelności. Czy życie człowieka daje się zamknąć w tym, co nas spotyka, co nam najbliższe: codziennej trosce o byt materialny, zaspokojeniu pragnienia bliskości, przynależności, poczucia bezpieczeństwa, realizacji osobistych ambicji? Czesław Miłosz, którego rok właśnie obchodzimy, w najgłębszym nurcie swego literackiego doświadczenia umieścił wysiłek poszukiwania metafizycznej prawdy bycia. „*Was bleibt aber, stiften die Dichter*” – pisał w XIX w. wybitny poeta metafizyczny Friedrich Hölderlin. W dosłownym przekładzie słowa te znaczą: „Albowiem to, co trwa, ugruntowują poeci”. A zatem poezja i sztuka mają moc i język docierania do prawdy istnienia, która objawia się ulotnie, odsłania się, ale nigdy nie pozwala się w pełni uchwycić. W najnowszym numerze miesięcznika „Znak” publi-

kujemy fragment wstępu Olgi Tokarczuk do *Ziemi Ulro* Czesława Miłosza, która niebawem ukaże się w nowym wydaniu nakładem Znak.

Przekonanie, że to, co źródłowe, jest najłatwiej dostępne i niemożliwe do bezpośredniego przekazania, dało podstawy jeszcze jednemu ważnemu nurtowi europejskiej kultury: gnostycyzmowi, ezoteryzmowi i poszukiwaniu tajemnych ścieżek. Początków gnostycyzmu szukano w Indiach, Iranie, Mezopotamii, Egipcie i Judei, a później gnostycyzm uznano za chrześcijańską herezję. Najbliższym nam jednak kulturowo źródłem są greckie misteria eleuzyńskie ku czci Demeter i Dionizosa. Dionizyjski, a zatem oparty na wtajemniczeniu, nurt kultury jest do dziś przeciwstawiany nurtowi jasnemu, zwanemu nurtem apollońskim. Uzupełnieniem dla znakomitego tekstu Olgi Tokarczuk jest esej krytyka literackiego i badacza języka George’a Steinera, w którym – podejmując zbliżone do Miłosza i Tokarczuk kwestie – pisze: „jeśli pytanie o istnienie lub nieistnienie Boga osunie się w banał, jeśli zostanie odpompowane ze społecznej i jednostkowej świadomości niczym mętna woda, wówczas zmieni się całe nasze dziedzictwo myśli i sztuki”. Przyglądamy się więc z jednej strony tym ukrytym nurtom, a z drugiej, w Temacie Miesiąca, ich popkulturowym odpowiednikom, współczesnym odsłonom ezoteryki i magii. Kultura popularna czerpie pełnymi garściami z głębszych nurtów kultury, najczęściej czyni to nie wprost i nie zawsze świadomie. Warto jednak rozumieć duchowe podstawy tych zjawisk — **Z**

SPIS TREŚCI



44

Fikcja jest większa od prawdy

Olga Tokarczuk: Wszyscy tęsknimy do innego spojrzenia, czułego, szerokiego i ocalającego



56

„Bóg” to jeszcze nie teraz

George Steiner: Jeśli pytanie o Boga zniknie z naszego horyzontu, zmieni się całe dziedzictwo myśli i sztuki



92

Wszystko jest we mnie

Anna Marchewka: Joginka, joggerka, prowodyrka rozróbny w poezji. Kim była Anna Świrszczyńska?



fot. VP/Alamy/BEEW / il. Patrycja Podkościelny / fot. Peter Marlow/Magnum/Magnum/Forum / Magdalena Ławreszuk

34

WERONIKA GOGOLA

Widok z kuchni Luciusa

Czy istnieje coś takiego jak Europa Środkowa? Międlę ten temat niemal etatowo, kilka razy w roku na spotkaniach z panami w średnim wieku. Bardziej interesuje mnie jednak co innego: gdzie w tym wszystkim jestem ja, polska pisarka mówiąca po słowacku z bratysławskim akcentem?

TEMAT MIESIĄCA

6 Ezograżyna to ja i ty

Olga Drenda: W ezoteryce jest dziś więcej pieniędzy, ale mniej marzeń

14 Ezoteryczna historia Polski

Religioznawca Zbigniew Łagosz w rozmowie z Michałem Jędrzejkiem

22 Miejsca mocy

Przewodnik Karola Kleczki

26 Czego szukałem w Klubie Gnosis

Tomasz Stawiszyski o adeptach wiedzy tajemnej

RYSUNKI

33 Bliźnięta

Ola Szmiida

99 Merkury w retrogradacji

Bardzo brzydkie rysunki

SPOŁECZEŃSTWO • ŚWIAT

34 Widok z kuchni Luciusa

Weronika Gogola

PRZEBŁYSKI

44 Fikcja jest większa od prawdy

Esej Olgi Tokarczuk

FELIETONY

53 Okruszki

Eliza Mórawska-Kmita

73 Kościół – mój dom?

Janusz Poniewierski

83 Czas wolny

Olga Gitkiewicz

IDEE

56 „Bóg” to jeszcze nie teraz

George Steiner

64 Z powrotem do tekstów

Stefan Klemczak: George Steiner pytał o tragedię w sztuce i życiu

74 Malarka czasów Goethego

Piotr Oczko po raz ostatni w cyklu o zapomnianych artystkach

STACJA: LITERATURA

84 Wydraż mi rodzinę w serze

Aleksandra Kasprzak

LUDZIE • KSIĄŻKI • ZDARZENIA

92 Wszystko jest we mnie

Anna Marchewka

100 Czego wołałbyś nie wiedzieć o Kościele w Polsce

Tomasz Terlikowski na kościelnym pastwisku

103 Dom powinien jakoś pomóc

Maria Karpińska: 3 mężów, 18 domów i 76 opowiadań Lucji Berlin

106 Co się wydaje

Lektury redakcji

108 Ale książka!

Jerzy Illg wraca do biblii hippisów

110 Deszcz alfabetów

Małgorzata Lebda o drgającym smutku poezji Macieja Bobuli

112 Kadry – znaki szczególne

Filmowe rekomendacje Diany Dąbrowskiej

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

ul. Tadeusza Kościuszki 37, 30-105 Kraków
tel. (12) 61 99 530, fax (12) 61 99 502
e-mail: miesiecznik@znak.com.pl
www.miesiecznik.znak.com.pl

redakcja: Mateusz Burzyk (sekretarz redakcji), Michał Jędrzejek, Karol Kleczka, Ilona Klimek-Gabryś, Dominika Kozłowska (redaktor naczelna), Barbara Matecka, Janusz Poniewierski, Henryk Woźniakowski

zespół: Michał Bardel, Wojciech Bonowicz, Halina Bortnowska, Bohdan Cywiński, Bartłomiej Dobroczyński, Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, ks. Michał Heller, Jerzy Illg, Piotr Kłtodowski, Maria Makuch, Janina Ochojska-Okońska, abp Grzegorz Ryś, Władysław Stróżewski, Karol Tarnowski, Łukasz Tischner

współpraca: Ewa Bolińska-Gostkowska, Karolina Broda, Andrzej Brzeziecki, Marta Duch-Dyngosz, Monika Gałka, Krzysztof Kornas, Dobrostaw Kot, Elżbieta Kot, Artur Madaliński, Marek Maraszek, Anna Marchewka, Anna Mateja, Andrzej Muszyński, Małgorzata Nocui, Urszula Pieczek, ks. Eligiusz Piotrowski, Agnieszka Rzonca, Martyna Słowik, Marcin Wilk, Marcin Żyła

projekt graficzny pisma:

Władysław Buchner, Rafał Buchner

automatyzacja składu:

Paweł Zeleznikowicz (Kobugi)

dyrektor artystyczny:

Władysław Buchner

łamanie:

Ilona Klimek-Gabryś

fotoodycja:

Marcin Kapica

korekta:

Barbara Gąsiorowska, Magdalena Wołoszyn-Cępa

ilustracje portretowe:

Patrycja Podkościelny

nakład:

3000 egz.

promocja i reklama:

tel. (12) 61 99 530

e-mail: miesiecznik@znak.com.pl

prenumerata:

tel. (12) 61 99 561

e-mail: prenumerata@znak.com.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń. Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
i Sportu

□ Wizyta u wróżki, Nowy Jork, 1954 r.
fot. Orlando/Three Lions/Getty





Temat Miesiąca

Nowe zaczarowanie świata

Mimo sekularyzacji utrzymuje się w Polsce popyt na usługi duchowe. Renesans popularności w mediach społecznościowych przeżywają astrologia i horoskopy. Swoje grono wielbicieli mają ezoinfluencerki, które obiecują, że pozytywne myślenie i „manifestowanie obfitości” przyniosą nam bogactwo. O ile w latach 90. zainteresowanie ezoteryką wynikało w dużej mierze z biedy i niepewności jutra, o tyle dziś wyrasta z pragnienia samorozwoju i finansowego sukcesu.

Jakkolwiek dziwaczne wydawałyby nam się niektóre koncepcje ezoteryczne, to alternatywna duchowość ma w sobie moc, by rozbudzać wyobraźnię i „wywracać kulturę”. Zaskakująco wielu polskich twórców – od Mickiewicza po Tokarczuk – szukało w niej inspiracji.

Czy coaching to współczesna forma magii? Dlaczego wierzymy w horoskopy? Jak mogłaby wyglądać ezoteryczna historia Polski?

Odpowiadają:

Olga Drenda, Zbigniew Łagosz, Karol Kleczka i Tomasz Stawiszyński

s. 6–33

Ezograzyna

OLGA DRENDA

Dawniej ludzie wypatrywali cudu, liczyli na to, że ich problemy rozwiąże siła z zewnątrz. Dzisiaj sami chcą taką siłą kierować, jakby obawiali się paść ofiarą kaprysów losu

KILKA LAT TEMU W PEWNYM MIEŚCIE ŚREDNIEJ WIELKOŚCI TRAFIŁAM na interesującą witrynę: oto na drzwiach z pozoru zwyczajnie wyglądającego baru z bilardem i piwem wisiało ogłoszenie z kontaktem do bioenergoterapeuty. To niespodziewane połączenie zdumiało mnie na tyle, że postanowiłam zrobić zdjęcie, co zwróciło z kolei uwagę właściciela lokalu. Odrobinię groźnie się prezentujący, kojarzący się raczej z kulturystyką niż ezoteryką mężczyzna okazał się uzdrowicielem we własnej osobie, wyraźnie uszczęśliwionym, że kogoś zainteresowały jego usługi. Z przyjaznej rozmowy, która wywiązała się między nami, wynikało, że wciąż się uczy i dopiero rozkręca swoją działalność, ale oferuje leczenie dolegliwości fizycznych i psychicznych na odległość oraz usuwanie z otoczenia negatywnych energii, co mógł potwierdzić stosownym certyfikatem. Czy mój rozmówca faktycznie miał dostęp do niewidzialnego wymiaru funkcjonowania ludzkiego ciała, którego nie da się osiągnąć przy użyciu standardowych metod diagnostyki medycznej? I czy takie rzeczy w ogóle istnieją? Na potrzeby

tego tekstu przyjmijmy, że to chwilowo nieistotne, a przynajmniej nie tak bardzo jak fakt, że człowiek ten najzwyczajniej w nie wierzył, podobnie jak osoby korzystające z jego usług.

Emerytowana księgowa powtarza mantrę


POZNAŁAM W ŻYCIU WIĘCEJ TAKICH osób. Zdarzało mi się w przeszłości kilkakrotnie pojawić na targach medycyny naturalnej i ezoteryki w katowickim Pałacu Grudniowym. Ta działająca od wielu lat impreza zachowywała dość kameralny

to ja i ty

klimat i pozwalała poznać ludzi od zaskakującej nieraz strony. Wystawcy i goście często albo wydawali się prowadzić, sądząc po rękodzielniczo wykonanych strojach, nieco hippisowski styl życia, albo należeli do grona odrobinę ekscentrycznych seniorów. Odrobinę, bo na co dzień prowadzili może w 90% zupełnie standardowe życie, wyjąwszy fakt, że np. stawiali sobie w domu piramidki-odpromienniki, chroniące przed szkodliwym wpływem żył wodnych i urządzeń elektronicznych. Albo interesowali się czytaniem z dłoni. Albo palili w domu agnihotrę, ajurwedyjską ofiarę z ognia. Podpalali symboliczną garść ryżu, powtarzając mantry, a powstałym popiołem leczyli się z różnych dolegliwości. Poza tym prowadzili zupełnie przewidywalne, najzwyczajniejsze życie, np. emerytowanej księgowej. Kiedyś jeden z wystawców naenergety-

zował dla mnie pozytywnymi wibracjami złotówkę; rozmawiając z nim, dowiedziałam się, że na co dzień prowadzi firmę remontową.

To był ten sam świat, o którym czytałam w chyba najlepszym studium na temat alternatywnej duchowości w naszym kraju – książce *New Age w Polsce* autorstwa antropolożki i socjolożki Doroty Hall. Hall, po bardzo wnikliwych badaniach terenowych i w sposób pozbawiony uprzedzeń – a było to na początku tysiąclecia, kiedy w powszechnym dyskursie lekką ręką zaliczano wszelkie nieortodoksyjne przejawy wiary do kategorii sekt i kultów – wykazywała, że adeptami praktyk określanych złowrogim i tajemniczym terminem „New Age” byli ludzie „tacy jak wszyscy”, do tego często deklarujący przywiązanie do religii katolickiej. Przypuszczała, że zjawisko, które nazywała „językiem mocy i energii”, oraz medycyna niekonwencjonalna mogły tak naturalnie znaleźć zwolenników w Polsce ze względu na przekonanie o sprawczej mocy słowa w tradycji ludowej oraz we wrażliwości na cuda, objawienia, uzdrowienia. Typowe niepokoje czasów przełomu czy nakręcający widownię programów Anatolija Kaszpirowskiego kryzys w opiece medycznej, czyli argumenty, którymi czasem tłumaczono wzrost zainteresowania ezoteryką w Polsce końca XX i początku XXI w., nie dawały wyczerpujących wyjaśnień co do potrzeb, jakimi kierowali się adepci. Te bowiem wynikały już z pewnej istniejącej duchowej zaprawy. „New Age” to nie żadne tajemnicze stowarzyszenia posługujące się tajemnymi znakami, tylko twoja ciocia i babcia – tak wynikało z poszukiwań badaczki.

Tak było kilkanaście lat temu. W międzyczasie większość Polaków zyskała dostęp do internetu, a niekwestionowany wpływ Kościoła katolickiego na postawy, przekonania i codzienne praktyki zaczął stopniowo, 

□ Pokaz mody inspirowanej astrologią projektu domu mody Schiaparelli, Haute Couture wiosna/lato 2021/2022 fot. Showbit/East News




lecz zauważalnie erodować. Stajemy się, owszem, społeczeństwem bardziej laickim, lecz nie towarzyszy temu zmniejszone zainteresowanie wiedzą tajemną. Dzisiaj w kiosku i na poczcie można kupić książki i czasopisma o medycynie naturalnej i holistycznym spojrzeniu na życie, w dużej sieci księgarsko-papierniczej – rozmaite wersje kart do wróżenia czy specjalne notatniki dla współczesnych wiedźm i czarowników, a w drogerii – zestaw kamieni dobranych tak, by sprzyjać zdrowiu i urodzie. Bycie „zodiakarą” czy „Ezograżyną” może narażać czasem na ironiczne uwagi, jako zjawisko w popularnym mniemaniu nie tak odległe od „foliarstwa” (wiary w pseudonaukę), ale jednocześnie stało się zjawiskiem na inny sposób codziennym i zwykłym, zbywanym komentarzem: „Co to właściwie szkodzi, jeśli komuś pomaga...”

W 2016 r. firma K-Hole, zajmująca się badaniem trendów w kulturze, przewidywała (aż chce się napisać „wróżyła”) renesans najszerzej pojętego myślenia magicznego i fascynacji mistyką. Pierwsze jaskółki pojawiły się w świecie mody, co nie dziwi. Wiedza tajemna potrafi być bardzo stylowa

i fotogeniczna, jak Rolling Stones pod koniec lat 60., jak Marianne Faithfull grająca w filmie Kennetha Angera, tajemniczego awangardowego reżysera i maga. W segmencie mody i stylu życia projektanci podjęli ten kontrkulturowy trop. Znacznie istotniejsze od czysto wizualnych gier symbolami, które efektownie prezentowały się np. na pokazie kolekcji Givenchy, jest jednak stojące za tym zwrotem pragnienie, na które zwrócili uwagę eksperci: fakt, że fundamentem

najprościej rozumianej magii jest powoływanie do życia rzeczy i zjawisk, zmienianie świata zgodnie ze swoją wolą. Jak czytamy w raporcie, chodzi o „skłanianie się ku wierzeniom, które pomogą nam osiągnąć nasze zamiary”.

Ezoprzedsiębiorcy

POSTANAWIAM SPRAWDZIĆ, JAK TA ZMIANA W POSTRZEGANIU EZOTERYKI odbija się w ofercie specjalistycznych imprez i sklepów. Na pierwszy rzut oka oferowane usługi aż tak bardzo się nie zmieniły. Od lat widuję stoiska, na których mogę dokonać oceny stanu zdrowia na podstawie mojej tęczówki albo zrobić zdjęcie tzw. aury – koloru, który ma odzwierciedlać moją osobowość i stan ducha. Standardowo mocną pozycją cieszą się suplementy, ziołolecznictwo i poradniki o tym, jakie trucizny najlepiej wyeliminować ze swojego życia (cukier, sól, negatywne myśli, niesprzyjający ludzie). Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że klienci zainteresowani szeroko pojętymi alternatywnymi systemami przekonań (alternatywnymi wobec instytucjonalnej religii, ale też zachodniego racjonalizmu), a także sprzedawcy to przede wszystkim przedsiębiorcy. Wizyta na targach 

W całej branży ezo widać większe pieniądze. Choć być może tak właśnie w działaniu wygląda „manifestowanie obfitości”, by posłużyć się językiem tej nowej mistyki

Bycie „zodiakarą” czy „Ezograżyną” może narażać czasem na ironiczne uwagi, ale jednocześnie stało się zjawiskiem codziennym i zwykłym, zbywanym komentarzem: „Co to właściwie szkodzi, jeśli komuś pomaga...”

ezoterycznych coraz bardziej przypomina kongres szkoleniowy. W całej branży, przynajmniej na pierwszy rzut oka, widać większe pieniądze. Choć być może tak właśnie w działaniu wygląda „manifestowanie obfitości”, by posłużyć się językiem tej nowej mistyki: mówienie i działanie w taki sposób, byśmy już teraz czuli się spełnieni i bogaci. Powiedzmy – taka Riya Sokół, rozbrajająco pewna siebie mówczyni motywacyjna, której słynny banner reklamowy („Ty widzisz korek, ja widzę obfitość samochodów”) zawisł na pewnym ogrodzeniu w Warszawie, to zupełnie inny styl i sposób działania niż mój raczej skromny rozmówca z baru.

A może nie do końca? Rozmawiam później prywatnie z moją rówieśnicą, która kilkakrotnie korzystała z podobnych szkoleń. Twierdzi, że zawdzięcza im pewność siebie, a w konsekwencji pieniądze, ponieważ zaczęła interesować się inwestowaniem i sprzedażą w internecie. Trzeba

przyznać, że fakty działają na jej korzyść: w znacznym stopniu utrzymuje się z pasywnych dochodów i co roku wyjeżdża na porządne wakacje, choć przekonuje mnie, że jeszcze kilka lat temu tkwiła w zupełnym dołku, samodzielnie wychowując dziecko i martwiąc się rachunkami. Aż sama zaczynam myśleć, że może da się wyczarować sobie takie życie. – „Nie wierzę w czary ani cuda, ale wyznaję zasadę, że jeśli chcemy coś zmienić,




□ Riya Sokół – mówczyni motywacyjna oraz nauczycielka „przyciągania pieniędzy” – na Life Balance Congress w Warszawie, 8 lipca 2023 r.

fot. Radosław Nawrocki / Forum



musimy zacząć od siebie. Wierzę, że żeby mieć dobre życie, muszę najpierw wiedzieć, czego chcę”, mówi moja rozmówczyni. „Każdego dnia powtarzam afirmacje. Mówię, że jestem swoją najlepszą przyjaciółką, że świat mi sprzyja. Zasluguję na najlepsze życie. Wielu z nas nie wierzy, że ma wpływ na własne życie, tego jesteśmy całe życie uczeni. Codziennie pracuję nad tym, żeby odblokować mój potencjał. Gdyby nie to, nie ruszy-

łabym nigdy z miejsca”, wyjaśnia. Język, którym się posługuje, zwraca moją uwagę – to mieszanka treści z różnych dziedzin, które trafiają do nas w rozcieńczonej formie. Pojawiają się w nim słowa z neuronauk czy psychoterapii – „wewnętrzne dziecko” sąsiaduje tam z „przebudową sieci neuronowych”. Najważniejsze jest jednak przekonanie, że sami możemy kierować własnym losem.

Nie jest to bynajmniej współczesne odkrycie. W Stanach Zjednoczonych rozwój osobisty i coaching wywodzą się z XIX-wiecznego ruchu Nowej Myśli. Była to „praktyczna metafizyka na nowe czasy” – fuzja rozmaitych elementów zaczerpniętych z różnych odłamów chrześcijaństwa, teozofii, spirytyzmu i odrobiny myśli hinduistycznej i buddyjskiej. To wpływy przedstawiciela tego ruchu, Prentice Mulford, stworzył żywe do dzisiaj pojęcie „prawa przyciągania”, zgodnie z którym to, jak formułujemy nasze myśli, 

słowa i działania, przyciąga do nas pomyślność. Czasami zresztą nowoczesną magię od samorozwoju dzieli stopień wyrafinowania teoretycznego i obudowanie rytuałami, podczas gdy rdzeń pozostaje podobny. Gdy poczytamy klasyczne XX-wieczne dzieła magów, jak *12 stopni do oświecenia* Israela Regardie'ego, przekonamy się, że przedmiotem magicznych przeobrażeń jesteśmy my sami: nabieramy „mocy”, by wpływać na rzeczywistość dzięki poczuciu własnej decyzyjności.

Mistyka bez mistyki?

PYTAM DOROTĘ HALL O JEJ WŁASNE OBSERWACJE PO LATACH. „Z MOICH dawniejszych badań wynikało, że w takich praktykach było widać, powiedzmy, więcej marzeń o duchowej przemianie ludzkości inspirowanej różnymi tradycjami. Korespondowało to z dyskursem publicznym okresu transformacji, nadzieją na lepsze jutro, z ogólnym poczuciem, że mamy moc budowania rzeczy od nowa, konstruowania nowej umowy społecznej. Na pewno troska o dobro wspólne wciąż towarzyszy wielu osobom praktykującym ezoterykę, jednocześnie jednak mamy do czynienia z silniejszym nurtem tworzonym przez osoby, które zinternalizowały idee neoliberalne. Chodzi więc o indywidualną sprawczość realizowaną w jak najbardziej świeckich dziedzinach życia”, stwierdza. I dodaje: „Te szkolenia, z pogranicza ezoteryki i biznesu, są obecnie najbardziej dochodowe, choć żeby przebić się w tej dziedzinie, potrzebna jest osobista charyzma, jak np. u Ewy May”.

Ewa May to popularna instruktorka rozwoju osobistego, praktykująca metodę, którą nazywa Uzdrawianiem w Hologramie Pola Życia. Język jej usług jest wyjątkowo uduchowiony, nasycony mistyką, ale podpowiada inną potrzebę, która może kierować klientów w jej stronę: „uzdrawianie bólu i traumy”. To ciężary, których wielu chce się pozbyć, lecz nie zawsze ma możliwość. Psychoterapia jest wszak długotrwała, wymaga sporych wydatków albo czekania w kolejce do NFZ. Nie wszędzie można skorzystać z porady dobrego psychiatry, a do tego zdarza się, że potrzebujący czuje się zbyt skrępowany, by po taką pomoc sięgnąć. Poradnik samopomocy, subskrypcja nagrań online czy nawet uczestnictwo w kursie – to usługi dostępne od ręki i w porównaniu z instytucjonalną medycyną niedrogie. Również bioenergoterapeuci, tacy jak mój niespodziewany rozmówca z baru, oferują pomoc w radzeniu sobie z lękiem i depresją, dolegliwościami, które nie oszczędzają nikogo. Do tego język psychologiczny wkrada się w codzienność, a poszczególne obszary dostosowują się do tej fali. „Język się spychologizował. Dotyczy to również duchowości. W Kościele katolickim księża pełnią funkcję doradców w ważnych kwestiach życiowych, nawiązując w katechezie do języka psychologii. Ale podobnie stało się np. z medytacją. W latach 90. interesowałam się Akademią Sztuki Życia Ravięgo Shankara. Prowadzono w niej satsangi (spotkania osób praktykujących medytację często kończone sesją medytacyjną), podczas których śpiewano badżany (pieśni nawiązujące do tradycji hinduistycznej). Dzisiaj organizacja nadal działa, ale już w sposób świecki, bliższy *mindfulness*. Nastąpiło odejście od zakorzenienia w praktykach wschodnich”, mówi Dorota Hall.

Czyli mistyka bez mistyki? Niekoniecznie. Niektórzy poszukują właśnie tego elementu w życiu, na osobiste potrzeby. Mój rozmówca Adam od lat prowadzi małe studio DTP (poligrafii). Jest przedsiębiorcą (zauważam nadreprezentację tej grupy zawodowej wśród zainteresowanych nową duchowością), ceni sobie niezależność zawodową. Prywatnie medytuje („raczej świecko, nie w żadnym konkretnym nurcie”, dopowiada), próbował również vipassany (medytacyjne odosobnienie, podczas którego uczestnicy praktykują w zupełnej ciszy), praktykuje jogę, morsuje i jak najczęściej stara się chodzić do lasu. Wierzy w mądrość natury i w to, że kontakt z nią przynosi wiedzę i pokorę. Opoowiada o tym z widocznym entuzjazmem. „Właściwie las to moja medytacja. Staram się uczyć od roślin, od gatunków, które były tutaj długo przed nami i będą trwały po nas. Przy odpowiednim podejściu, jeśli wiemy, jak słuchać, mogą dać nam odpowiedź”, uważa. „Ciekawi mnie tradycyjne ziołolecznictwo, ale też to, jak psychodeliczne rośliny i grzyby otwierają umysł. One są narzędziem przemiany, wiedzieli o tym już dawni szamani. Interesuje mnie poszerzanie własnej świadomości, umiejętność dostrzeżenia tego, co zagłusza nasza współczesna hałaśliwa i pełna pośpiechu kultura. Ta wiedza jest w nas, tylko się tego wyrzekamy”.

Adam kojarzy mi się trochę z Margaret, gwiazdą ambitnej muzyki pop, która zamieszkała w lesie, a na ślubie otrzymała błogosławieństwo od peruwiańskiego szamana. Zupełnie nie zaszkodziło to jej wizerunkowi czy nie przyczyniło się do doklejenia jej „nawie-

dzonej” etykiety. Mojego rozmówcy również raczej nie wzięlibyście za zagubionego w XXI w. hippisa, a nawet za artystę. Przekonuje on, że podąża ścieżką pogłębiania osobistej wrażliwości i kreatywności, i twierdzi, że sama czysto intelektualna wiedza to zbyt mało, by poznawać i odczuwać świat. Nie interesuje go przy tym przynależność ani dzielenie się tymi doświadczeniami z innymi; samodzielne eksplorowanie własnej świadomości w zupełności mu wystarcza. To znamienne, jak zauważa Dorota Hall. „Więcej czasu spędzamy w samotności niż w grupie, czasami sam na sam z aplikacją. Samotność i większa mediatyzacja w duchowości to różnica, którą wyraźnie zauważam”.

Mniej marzeń

OD LAT 60. I 70. XX W., GDY MÓWIONO o „Erze Wodnika”, ezoteryka szła często ramię w ramię z kontrkulturą. Owszem, pojęcie „New Age” stało się synonimem ekspresowej mistyki na sprzedaż, ale zdarzało się, że zetknięcie się z wiedzą tajemną inspirowało ożywienie myśli, zachęcając do tworzenia nowych koncepcji czy – jak nazwałby to eseista Rafał Księżyk – „wywracania kultury”. Zasiane wówczas ziarna miały dalekosiężne skutki. Dość powiedzieć, że gdyby nie *Nauki Don Juana* Carlosa Castanedy, nie byłoby być może *Gwiezdnych wojen* (to stamtąd George Lucas miał zaczerpnąć koncepcję Mocy i pomysł na postać Obi-Wana Kenobiego), a gdyby nie kalifornijscy hippisi – Doliny Krzemowej (choć przy obecnym stanie rzeczy można zadawać sobie pytania, czy gra była istotnie warta świeczki). „Przed-

wszystkim trzeba nieco inaczej myśleć o kontrkulturze i gdzie indziej jej szukać, zaczynając od przyjrzenia się, wobec czego jest w kontrze. Przychodzi mi na myśl przykład z ruchem Chicanas w Stanach Zjednoczonych, gdzie feministki meksykańskiego pochodzenia przyswoiły tarota czy astrologię jako element własnej duchowości. W ruchach lesbijskich spotykamy się z koncepcjami »wiedzy czarownic« jako wiedzy kobiet konkurencyjnej wobec heteronormy, trochę w duchu badań Silvii Federici. Elementy zainteresowania duchowością dostrzegam też w ruchach ekologicznych, takich jak Extinction Rebellion. Wyróżnia je to, że ich uczestnicy mają poczucie, że nadal jest o co walczyć”, mówi Dorota Hall. „Ale w porównaniu z latami 90. widzę wyraźną różnicę, którą dzielają chyba wszyscy: przede wszystkim mniej marzeń”, konkluduje ze smutkiem.

Być może zaletą alternatywnych, nieortodoksyjnych systemów myślenia jest sama możliwość zademonstrowania, że da się inaczej. „Nie trzeba w coś wierzyć, żeby się tym posługiwać”, mówi mi Natalia, doktorantka biologii, która – jakkolwiek zaskakująco brzmi to w kontekście jej ścieżki zawodowej – czasami radzi się tarota. „To się nie wyklucza. Mnie chodzi raczej o dodatkowy klucz do świata, o inny sposób widzenia. Bardziej oparty na mitach i symbolach, może dlatego, że sama dla siebie czytam teraz Junga. Czasem przecież rozwiązania realnych zagadek przychodzą do nas we śnie. Kojarzy mi się to z poezją albo muzyką, które też czerpią z irracjonalnego zasobu. Dzięki symbolom czasem dochodzę do zrozumienia życiowego problemu, choć w inny sposób, muszę inaczej uruchomić moje myślenie i wyobraźnię”.

Czy spotkałabym moich obecnych rozmówców dziesięć lat temu na targach ezoterycznych? Niekoniecznie. Potrzeby i pragnienia, które ich prowadzą, wydają się pochodzić z innego porządku, bo inaczej wygląda też całość naszego społeczeństwa. Dawniej ludzie wypatrywali cudu, liczyli na to, że ich problemy rozwiąże siła przybyła z zewnątrz. Dzisiaj sami chcą taką siłą kierować, jakby obawiali się paść ofiarą kaprysów losu. Nie zmienia się jednak uderzająca zwyczajność tego, jak potrzeby – nazwijmy to najogólniej – poszukiwań duchowych wpłatają się w ich życie, jak naturalnie niezwykłość staje się częścią tkanki zwyczajnego bycia.

I koniec końców mam nadzieję, że bioenergoterapeuta z baru daje sobie radę. — **Z**

Olga Drenda

Pisarka, antropolożka kultury, autorka książek: *Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji* (2016), *Czyje jest nasze życie* (2017, wspólnie z Bartłojem Dobroczyńskim), *Wyroby. Pomysłowość wokół nas* (2018) i *Słowo humoru* (2023)

Ezoteryczna historia Polski

Zbigniew Łagosz
w rozmowie
z Michałem Jędrzejkiem

Od Adama Mickiewicza do Olgi Tokarczuk istnieje w Polsce tradycja szukania innych dróg duchowości, alternatywnych wobec dominującej formy katolicyzmu

Z *Spotkaliśmy się w Krakowie na ul. Brackiej. Kraków to ważne miejsce dla polskiej ezoteryki?*
Jedno z ważniejszych. I to zarówno dla tych, którzy się ezoteryką parają, jak i dla badaczy jej historii.

Z *Zacznijmy od tych pierwszych. Ich przyciąga do Krakowa tzw. miejsce mocy, czyli czakram znajdujący się na Wawelu, który ma rzekomo dawać siły witalne, służyć osobom schorowanym, pomagać w uleczeniu etc. Wielu ludzi przyjeżdża i uczestniczy w procesie „magnetyzowania się” tymi siłami.*

Z *Widziałem, jak na dziedzińcu zamku na Wawelu toczy się pewnego rodzaju gra między strażnikami, którzy chronią zabytek, a wyznawcami, którzy próbują przylgnąć do ściany, pod którą znajduje się ponoć kamień pełen mocy. A co z badaczami historii ezoteryki?*

Dla nich Kraków to miasto, gdzie w XVI w. żył alchemik Michał Sędziwój. Tu miał też mieszkać legendarny pan Twardowski, szlachcic, który sprzedał duszę

diabłu. Niektóre źródła podają, że na Akademii Krakowskiej oprócz oficjalnie wykładanej astrologii i alchemii nauczano wówczas – niejawnie – magii wysokiej. Wiemy, że na dwór Stefana Batorego przyjechał m.in. John Dee, słynny angielski astrolog i okultysta. Miał się zatrzymać w kamienicy na ul. Szczepańskiej. Tych ezoterycznych tropów w historii Krakowa jest sporo.

Z *Jeszcze kilka lat temu na Rynku można było też spotkać wróżkę Dziędzianę Solską. Oczywiście. Przygotowując doktorat z religioznawstwa, odwiedziłem ją nawet kilkukrotnie, by ocenić jej moce dywinacyjne. Przy pierwszej wizycie wyróżzyła mi dwóch synów, ale jeszcze się ich nie doczekałem...*

No i jest jeszcze księgarnia CUD (Ciało-Umysł-Duch) na Małym Rynku, gdzie można spotkać innych miłośników wiedzy tajemnej.

Z *Studiując religioznawstwo, też tam czasem zachodziłem. Dziwiło mnie, że obok siebie leżały np.*

wymagające książki filozoficzne i psychologiczne oraz praktyczne przewodniki, jak postawić tarota albo odczytać horoskop. Czy to znaczy, że mamy niejako dwa nurty ezoteryki: intelektualny i popularny?

Można tak powiedzieć. Pomyślmy o różnych formach magii. Z jednej strony mamy magię niską, ludową, opierającą się zwykle na prostych systemach podobieństwa – np. spożycie jakiegoś ziela o liściach w kształcie serca miało pomóc w miłości. Z drugiej strony jest magia wysoka, mająca niezwykle uporządkowany rytuał. Gdy jeden z najsłynniejszych magów XX w. Aleister Crowley wykonywał swoje zabiegi, to niektóre z nich trwały nawet sześć miesięcy.

Przy czym oba typy magii łączy wiara, że za pomocą określonych zaklęć i gestów jesteśmy w stanie dokonać zmiany w otaczającym nas świecie. Dla nauk przyrodniczych magia oczywiście nie może działać. Co ciekawe, jednak klasycy antropologii tacy jak James George Frazer czy Bronisław Malinowski podają przykłady skuteczności magii. Przywołują oni świadectwa, gdy w tzw. społecznościach pierwotnych osoba, na którą rzucono urok czy zaklęcie, bywała tym tak przerażona, że kończyło się to nawet jej śmiercią. W tym sensie istnieje pewna psychologiczna skuteczność magii.

Z *Coś z tego niepokoju jest w nas do dzisiaj. Reporter Tomasz Kwasiński w książce W co wierzą Polacy? relacjonował, że nikt z jego znajomych – także racjonalistów i ateistów – nie chciał się zgodzić, żeby wynajęta wróżka rzuciła na nich urok.*

Zgodził się dopiero filozof Jan Hartman i z tego, co wiem, mimo rzuconego uroku ma się dobrze.

Z *Pytam o tę ezoterykę „wysoką”, bo ciekawi mnie, kiedy polska inteligencja odkrywała tajemne światy, duchowość alternatywną wobec chrześcijańskiej. Przełomem była chyba końcówka XIX w.? W Polsce były to złote lata jej rozwoju. Choć oczywiście ezoteryka – w znaczeniu „wiedzy odrzuconej”, odrębnej w stosunku do głównego nurtu nauki i religii – w kulturze światowej ma swoje różne przejawy już od starożytności. W Polsce też już wcześniej pojawiali się ludzie, którzy byli nią zaciekawieni. Na przykład Adam Mickiewicz fascynował się martyризmem, czyli pewną formą ezoteryki, gdzie w centrum znajduje się postać Jezusa Chrystusa, ale powiązana z motywami magicznymi i kabalistycznymi. Ezoterycznymi ideami przesycony był też krąg Andrzeja Towiańskiego, do którego przynależał poeta. Istnieją również świadectwa, że sam Mickiewicz miał rzekomo mieć pewne zdolności prekognicyjne. Gdy wkładano do pudełka pierścionki dam znajdujących się w towarzystwie, wieszcz potrafił ponoć poprzez dotknięcie rozpoznać, do kogo dany pierścionek należy.*

Z *Ciekawy jest ten rozkwit ezoteryki pod koniec XIX w., bo to jednocześnie epoka pozytywizmu, racjonalizmu, tryumfu nauki. Niektóre zjawiska ezoteryczne rodzą się właśnie na pograniczu nauki. Weźmy pod uwagę choćby spirytyzm, próbę komunikacji z duchami osób zmarłych.*

Z *To były szalone czasy wirujących stolików.*

A jednocześnie rozwoju elektryczności i nowych form komunikacji. Pojawiają się wówczas telefon i telegraf. Jeśli możliwe jest przekazywanie komunikatów przez ocean za pomocą dziwnych stuknięć, to może podobnie możliwe jest, sądzono, wyłapywanie wiadomości od tzw. poltergeistów, czyli stukających duchów. Zaczęto wierzyć, że ten fantastyczny rozwój techniki pozwoli udowodnić, iż istnieją zaświaty, z którymi można wejść w kontakt. Niedługo później wybuchła I wojna światowa, a wraz z nią mieliśmy do czynienia z olbrzymią umieralnością, która niejako wzmacniała to pragnienie, by móc porozumieć się ze zmarłymi.

Oczywiście nauka dość szybko to zweryfikowała. Ale wcześniej pojawiali się wynalazcy, którzy z równym zaangażowaniem zajmowali się nową technologią i spirytyzmem. Choćby Thomas Edison, jeden z najsłynniejszych wynalazców epoki, obok żarówki skonstruował także maszynę, która miała kontaktować się z duchami i nagrywać głosy z zaświatów.

Z *Czy Polak Julian Ochorowicz, którego Bolesław Prus uwiecznił w Lalce w postaci Juliana Ochockiego.*

Ochorowicz to człowiek, który pracował nad własnym modelem telefonu i mikrofonów, a zarazem próbował te wynalazki wykorzystać do badania zjawisk paranormalnych. Staram się w moich pracach udowodnić, że ezoteryka była dla niego *imaginarium*, którym posiłkował się dla wymyślenia nowych wynalazków. Stworzył np. teo- ➔

retyczny model telewizora, przekazywania obrazów na odległość za pomocą zapisu obrazu zmienionego na zbiór punktów, który nazywał telefotonom czy też telefotoskopem. Inspirację dla niego stanowiło tzw. lustro magiczne, w którym obraz odbijany w lustrze maga na jednym końcu świata miałby być widziany w lustrze innego na drugim końcu świata. Jak widzimy, ezoteryka mogła inspirować też naukę i technikę, a wielu wybitnych ludzi łączyło zainteresowanie jedną i drugą – jak chociażby Izaak Newton, który zrewolucjonizował nowożytną fizykę, a zarazem pisał traktaty alchemiczne.

Seanse spirytystyczne Ochorowicza przyciągały luminary polskiej kultury: Prusa i Reymonta. O ile pierwszy przyglądał się im z wrodzoną przekorą, o tyle drugi był nimi urzeczony. Ochorowicz zapłacił dużą cenę za swoje fascynacje – został wyklęty w ówczesnym środowisku naukowym i nie otrzymał profesury.

Z *Ten okres to nie tylko spirytyzm, lecz także inne próby poszukiwania alternatywnej duchowości – takie jak choćby teozofia czy antropozofia, które łączą wątki chrześcijańskie z ideami pochodzącymi z religii Wschodu, widząc w nich różne ujęcia tej samej struktury duchowej.* Mamy wówczas do czynienia z poczuciem kryzysu chrześcijaństwa jako skostniałej religii, a zarazem u niektórych ludzi pojawia się dystans wobec scjentystycznego ducha epoki, poszukują jakiejś nowej odpowiedzi na pytanie: „Czy jest coś poza znanym nam światem?”. Prężnie działała

Ezoteryka mogła inspirować też naukę, a wielu wybitnych ludzi łączyło zainteresowanie jedną i drugą – jak chociażby Izaak Newton, który zrewolucjonizował nowożytną fizykę, a zarazem pisał traktaty alchemiczne

Towarzystwo Teozoficzne, które inkorporuje techniki medytacji, jogi, idee hinduistyczne i buddyjskie. W Polsce na spotkania Towarzystwa uczęszczała m.in. Eliza Orzeszkowa. Rozwijają się też wówczas różne tajne stowarzyszenia np. wolnomularskie. Wiele z nich łączy pragnienie samorozwoju, wewnętrznej przemiany, zdobycia przez człowieka jakichś wyjątkowych mocy psychiczno-fizycznych.

Z *Towarzystwo Teozoficzne założyła w Londynie Helena Bła-*

watska. W ogóle te nowe ruchy duchowe – inaczej niż tradycyjne religie – często dowartościowały rolę kobiet, które mogły pełnić funkcję liderek.

Niektóre odnogi ezoteryki wspierały wówczas mocno ruch sufrażystek. Uważano, że nadchodzi nowa epoka, w której należy wreszcie zagwarantować kobietom należne im prawa. I rzeczywiście kobiety pełniły w tych ruchach niekiedy bardzo ważną funkcję. Można wspomnieć choćby Agnieszkę Pilchową, mającą sławę jasnowidzącej, zielarki i bioener-


□ Lech „Emfazy” Stefański, guru różdżkarstwa i psychotroniki, 2002 r. fot. Sebastian Wolny/SE/East News



goterapeutki. Wokół niej w Wiśle zawiązał się w II RP silny ośrodek ezoteryczny z czasopismem „Hejnał”, wiodącym „miesięcznikiem wiedzy duchowej”. Gdybyśmy zresztą szkicowali ezoteryczną mapę Polski, to właśnie Śląsk Cieszyński odgrywałby w nim ważną rolę.

■ *Co ciekawe, w tych środowiskach rozwijają się też inne brzmiące współcześnie idee – np. wegetarianizm. Konstanty Moes-Oskragiello związany z teozofami głosił, że człowiek z natury jest „zbożowocowcem” i to właśnie warzywa Bóg przeznaczył dla nas w ogrodzie Eden.*

Moda na dietę jarską przyszła do Polski wraz z wpływami hinduizmu. Postulowano tworzenie małych komun, gdzie można by w specjalny sposób uprawiać te rośliny. W środowisku teozofów zrodziła się idea, że wegetarianizm ma ogromne znaczenie nie tylko dla ciała, ale i dla ducha. Ten rozbudzony potencjał duchowy łączono także z kwestią niepodległości, wyzwolenia Polski spod jarzma zaborców, zwłaszcza w formie mesjanizmu Wincentego Lutosławskiego. Nowa dieta, ćwiczenia, kontakt z naturą miały służyć wzmocnieniu ducha narodowego. Krótko mówiąc: od jedzenia warzyw – do niepodległości.

■ *Czesław Czyński, któremu poświęcił Pan książkę, był kontrowersyjną i dwuznaczną postacią. Czyński był człowiekiem, który wykorzystywał ezoterykę po to, żeby oszukiwać innych. Miał życiorys pełen przygód. W 1894 r. był bohaterem pierwszego w historii procesu o uwiedzenie hipnotyczne – ponoć dzięki hipnozie roz-* 

kochał w sobie córkę bogatego barona i sfingował (był już bowiem żonaty z inną kobietą) z nią ślub. Proces wzbudził duże zainteresowanie tym, jakie oddziaływanie może mieć hipnoza. Ostatecznie Czyński został skazany za oszustwo (bigamia), a nie za użycie hipnozy. Spędził w więzieniu trzy lata. U progu I wojny światowej trafił do Rosji, gdzie propagował martyzm i gdzie wszedł w kręgi carskiego dworu, rywalizując z Rasputinem. Ponoć dzięki romansowi z jedną z dam dworu uzyskał informacje o zbliżającym się wybuchu wojny – ogłoszenie tego w rosyjskiej prasie wzmocniło jego sławę jako jasnowidza. W odrodzonej Polsce także zyskał rozgłos, został bowiem oskarżony o satanizm i doprowadzenie jednego ze swoich uczniów do samobójstwa, czego jednak nigdy mu nie udowodniono.

Z *Po wybuchu II wojny światowej polski ruch ezoteryczny stracił swoją strukturę organizacyjną.* Już w 1938 r. wydano dekret Ignacego Mościckiego rozwiązujący wszystkie loże masonskie – a zatem przestały działać też te, które miały charakter ezoteryczny. Wybuch wojny oczywiście utrudnił, a czasami wręcz uniemożliwił działalność takich organizacji, chociaż musimy zarazem pamiętać, że w czasie dramatycznych wydarzeń ludzie zwracają się ku religii i ezoterocy. Odprawiano wiele rytuałów, które np. miały ukierunkować moc przeciwko Hitlerowi i doprowadzić do jego śmierci. Przykładowo: twórca wicca Gerald Gardner twierdził, że grupa brytyjskich czarownic w roku 1940 miała zorganizować magiczny atak na umysł Hitlera

zwany „operacją stożek mocy”. A już z całą pewnością brytyjski wywiad wojskowy zrzucał za linią wroga przerobione gazety astrologiczne z defetystycznymi informacjami na temat rychłej porażki Führera. W okupowanej Polsce krążyła tzw. przepowiednia z Tęgoborzy, pochodząca rzekomo od medium z seansu spirytystycznego (co nie było prawdą), która zapowiadała pokonanie „dwóch orłów” i odrodzenie Rzeczypospolitej „od morza do morza”.

Z *W PRL-u nielicznymi osobami parającymi się ezoterocy szybko zaczęła interesować się władza komunistyczna i Służba Bezpieczeństwa.*

Władze interesowały się wszystkim, co było formą jakichś niezależnych spotkań, a już zwłaszcza przyglądały się wszelkim organizacjom o charakterze tajemnym. Dlatego np. wolnomularstwo, w którym istnieje tajemnica przynależności, musiało zainteresować Służbę Bezpieczeństwa. Zresztą rzeczywiście część z tych ugrupowań miała pewne związki ze środowiskami opozycyjnymi. Członkiem masonskiej loży „Kopernik” powstałej w Warszawie w latach 60. był np. Jan Olszewski, późniejszy premier.

Nawiasem mówiąc, z perspektywy historyka ezoterocy informacje zebrane przez SB są bezcenne, bo na podstawie donosów tajnych współpracowników można zrekonstruować ideologię różnych niewielkich organizacji, które nie pozostały po sobie wiele innych dokumentów. O ile np. wolnomularze potrafili się bronić przed infiltracją, o tyle inne środowiska ezoteryczne niekoniecznie. W Towarzystwie

Przyjaźni Polsko-Indyjskiej sam jej prezes okazał się TW.

Komuniści dopuszczali też niektóre formy działalności ezoterycznej w ramach walki z Kościołem, widząc w nich coś, co odciąga ludzi od katolicyzmu.

Z *Do Roberta Waltera, znanego ezoterocy i astrologa, chodziła Nina Andrycz, żona premiera Cyrankiewicza.*

Walter miał być fenomenalny w stawianiu horoskopów i ocenie charakterologicznej. Był też właścicielem jednej z największych bibliotek ezoterycznych – w Komorowie pod Warszawą, gdzie mieszkał, posiadał kilka tysięcy książek poświęconych tej tematyce. Skupił wokół siebie grono ciekawych intelektualistów. Mimo że całe życie szedł drogą antropozofii, to przed śmiercią wrócił do katolicyzmu. Zafascynowały go wizje s. Faustyny Kowalskiej. Co ciekawe, takich historii w polskiej ezoterocy było więcej. Wanda Dynowska, jedna z najważniejszych postaci Towarzystwa Teozoficznego, propagatorka filozofii hinduskiej, przyjaciółka Dalajlamy, także przed śmiercią przyjęła katolickie sakramenty. Być może te świąty alternatywnej duchowości i katolicyzmu nie były sobie w Polsce tak obce, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

Z *Do środowisk ezoterycznych przyciągała też chyba charyzma poszczególnych nauczycieli. Znaną filozofka opowiadała, że gdy wybrała się na seminarium Jerzego Prokopiuka – ucznia Roberta Waltera, subtelnego tłumacza Mistrza Eckharta i Junga – przywitał ją słowami:*

„Znam Cię! Palilem Cię na stosie w Awinionie!”.

Cóż, Jerzy Prokopiuk lubił powtarzać, że w poprzednim, średnio-wiecznym wcieleniu był inkwizytorem, odpowiedzialnym za

Moda na dietę jarską przyszła do Polski wraz z wpływami hinduizmu.

W środowisku teozofów zrodziła się idea, że wegetarianizm ma ogromne znaczenie nie tylko dla ciała, ale i dla ducha

palenie czarownic czy prześladowanie katarów. Znałem go osobiście, ale nie wiem, czy rzeczywiście w to wierzył. Można zaryzykować stwierdzenie, że to był nieco ekstrawagancki sposób na nawiązywanie nowych znajomości.

Z Rafał Księżyk w książce *Śnialnia opisuje historię katowickiej pracowni artystycznej tworzonej m.in. przez Andrzeja Urbanowicza i Urszulę Broll. Tam obok przedsięwzięć artystycznych rozwijały się studia nad ezoteryką i buddyzmem. Zafascynowało mnie, jak wielu wybitnych twórców polskiej kultury przewinęło się przez „Śnialnię”. Pojawia się tam i malarz Zdzisław Beksiński, i literaturoznawca Tadeusz Sławek, Jerzy Illg, redaktor naczelny *Znaku*; a także pisarki młodszego pokolenia: Olga Drenda i Anna Cieplak.*

Oczywiście „Śnialnia” była też wspólnym łącznikiem z tradycją

II RP. Andrzej Urbanowicz opowiadał mi z pasją o środowiskach ezoterycznych ze Śląska Cieszyńskiego. Pracownia przy Piastowskiej to było wcielenie takiej „wysokiej” ezoteryki, łączącej duchowe poszukiwania z twórczością artystyczną.

Z *Gdzieś na marginesie tej książki pojawia się też Olga Tokarczuk, która debiutancką powieść nawiązującą do tarota – Podróż ludzi Księgi – wydała w oficynie specjalizującej się w ezoteryce. To fascynujące, jak wielu intelektualistów funkcjonowało w kręgach tej alternatywnej duchowości. Obok ezoteryki elitarnej w PRL-u zaczęła też pojawiać się ezoteryka masowa.*

W tym miejscu do naszej panoramy powinniśmy dodać jeszcze jedną postać ważną dla tego czasu – to Lech „Emfazy” Stefański, który zyskał wówczas sporą popularność. Zaczynał od różdżkarstwa, czyli wykrywania rzekomych żył wodnych i innych obiektów, a potem przeszedł do psychotroniki. Można powiedzieć, że była to próba „naukowania” magii – niespełniająca, rzecz jasna, kryteriów nauk przyrodniczych – i udowodnienia, że człowiek jest obdarzony pewnymi nadzwyczajnymi możliwościami psychicznymi, np. zdolnością takiego skupienia uwagi, by oddziaływać na odległe obiekty fizyczne. Stefański opowiadał o tym w telewizji i zyskał sporą popularność. Dość powiedzieć, że kiedy wybuchł stan wojenny, w *Tele-ranku* – do którego emisji ostatecznie nie doszło – miało pojawić się właśnie nagranie ze Stefańskim, opowiadającym dzieciom o tajemniczych siłach umysłu.

□ Medium Jan Guzik (w środku) podczas seansu spirytystycznego w Warszawskim Towarzystwie Metapsychicznym, wrzesień 1927 r. fot. NAC



■ *W czasach transformacji ustrojowej ezoteryka stała się nagle niesłychanie popularna.* Jak we wszystkich okresach niepewności. Już pod koniec PRL-u władze dopuszczały organizowanie rozmaitych targów ezoterycznych. Pojawiły się tam nowe zjawiska, które ciekawiły ludzi: akupunktura, paramedycyna związana z badaniem aury, giełdy minerałów, które mogą

służyć jako amulety. Popularność zyskały takie pisma jak „Czwarty Wymiar” opisujące różne niesamowite historie.

■ *W ostatnim czasie ezoteryka wróciła w nowej odsłonie.* Uderza mnie obecne powiązanie ezoteryki z biznesem. Widzę nową formę ezoteryki czy magii np. w coachingu. Obok coachów,

psychologów, którzy mają pomóc menadżerom w sprawniejszym działaniu, można znaleźć na polskim rynku wielu takich, którzy wywodzą się ze środowisk ezoterycznych. Śledząc od lat ich działalność, widzę, że są to np. osoby fascynujące się wcześniej psychotroniką czy scjentologią. Coaching niczym magia obiecuje nam, że mamy pewne ukryte moce, zdol-



ność do oddziaływania na rzeczywistość i kontrolowania jej dzięki specjalnym technikom – np. wizualizacjom, czyli przedstawianiu sobie pozytywnego biegu wydarzeń i skupianiu na nim uwagi. Często tych coachów wyróżnia też język, w którym kluczową rolę odgrywają „energia” i powierzchowne nawiązania do neurobiologii bądź nawet fizyki kwantowej.

Przykładowo: jedna z coachek, popularna też w mediach społecznościowych, Maya Ori proponuje na swojej stronie internetowej kurs pod nazwą „czyszczenie energii seksualnej po poprzednich partnerach”. Twierdzi, że każdy mężczyzna, z którym ma się relacje seksualne, zostawia w kobiecie swoją energię. Specjalny warsztat ma pozwolić oczyścić jej swoje pole energetyczne i przyciągnąć upragnionego partnera. Trzeba oczywiście zapłacić za niego blisko tysiąc złotych.

Z *Co od stuleci pociąga ludzi w ezoteryce?*

Myszę, że trzy rzeczy. Po pierwsze, tajemnica i związany z nią elitaryzm. Chcemy należeć do grupy, która ma dostęp do wiedzy tajemnej, nieznanej innym ludziom. Po drugie, pragnienie mocy. Pragniemy oddziaływać na innych, być rozpoznawalni, przyciągnąć do siebie atrakcyjne osoby, mieć wpływ na świat. Kiedyś drogą na skróty do osiągnięcia tych celów była magia, a dziś pewne odmiany coachingu. Po trzecie wreszcie, oczekiwanie nowości. Chodzenie do kościoła jest już nudne i oklepane, ale warsztaty medycyny alternatywnej i „czyszczenia energii” – niekoniecznie. One mogą dać nam frajdę, być odświeżającym doświadczeniem.

Z *Wie Pan, od pewnego czasu zastanawia mnie – czy w klapie marynarki ma Pan cyrkiel, symbol wolnomularski?*

[Śmiech] To symbol inżyniera budownictwa. To dziś mój główny zawód – budowałem m.in. skocznie narciarskie. Choć cały czas pracuję naukowo i badam historię ezote-

ryki, to religioznawstwo to przede wszystkim pasja.

Z *A jest Pan także sędzią bokserskim?*

Tak. Trochę to się łączy z religioznawstwem. Gdy staje się na ringu pomiędzy dwiema osobami, które okładają się pięściami, a wokół słychać okrzyki ponad 20 tys. ludzi – a taką walkę prowadziłem w Stanach Zjednoczonych – to można zrozumieć, czym są ekstatyczne doświadczenia religijne. — **Z**



fot. z archiwum autora

Zbigniew Łagosz

Dr religioznawstwa, autor m.in. książki *Czesław Czyński. Czarny adept* (2017), uczestnik projektów naukowych związanych z historią polskiej ezoteriki XIX i XX w. Inżynier budownictwa i międzynarodowy sędzia bokserski

Miejsca mocy

Niektórzy twierdzą, że to miejsca magiczne, które swoimi subtelnymi wibracjami mają poprawiać samopoczucie, a nawet leczyć. Czy tak jest w rzeczywistości? Na pewno potrafią pobudzić wyobraźnię. Przedstawiamy wybór najciekawszych punktów na ezoterycznej mapie Polski

*Przygotował: Karol Kleczka
Ilustracje: Jakub Ferenc*

Góra Ślęża

Potrafiłbym wymienić wiele inicjatyw: artystycznych, okultystycznych, przygodowych i tak dalej, związanych ze Ślężą. Wszystkie zdają się dowodzić jednego: że Ślęża jest miejscem o wielkiej sile przyciągania i nie sposób wytłumaczyć tego zwykłym zamiłowaniem do gór. Przed magnetyzmem niektórych gór nie ma ratunku" – pisze w eseju *Sobótka alias Ślęża* Henryk Waniek. Najwyższe wzgórze Przedgórze Sudeckiego, od którego wedle niektórych hipotez językoznawczych wziętą swą nazwę Śląsk, już w epoce brązu stanowiło ważny ośrodek kultów solarnych. Ich materialne świadectwa zachowały się do dziś w postaci kamiennych rzeźb przedstawiających ludzi, dzikie zwierzęta (m.in. słynny niedźwiedź) oraz symbole takie jak ukośny krzyż. Na zboczach Ślęzy odprawiano przedchrześcijańskie obrzędy związane z płodnością, przyciągała Celtów i Łuzyczan, miały się na nią zlatywać czarownice, zajmowali ją husyci, a od XVII w. ściągają pasjonatów wiedzy tajemnej. W XX w. powrócili na nią niemieccy neopoganie, a w latach 70. hippisi. Ślęża nie umknęła uwadze również bioenergoterapeutów, którzy chcą w niej widzieć jedno z najpotężniejszych miejsc w Polsce. Tajemniczość góry wspiera jej masyw – choć niewysoka, to ma znaczną wysokość względną: wyrasta nagle z krajobrazu niczym piramida. Nie powinno więc dziwić, że taki naturalny monument rozbudza fantazję.



Jasna Góra i Święty Krzyż

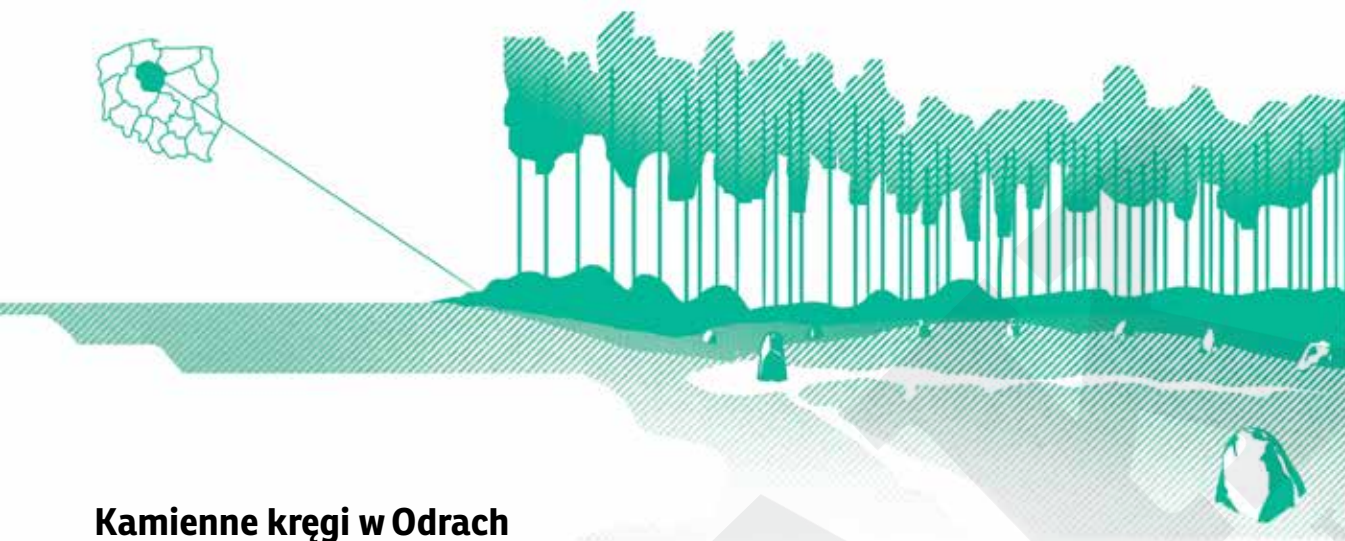
Jasnogórska bazylika jest świątynią istotną nie tylko ze względu na jej funkcje religijne czy znaczenie patriotyczne, ale także ze względu na samo położenie. Znajduje się bowiem, jak twierdzą radiesteci (czyli ludzie wyczuwający np. za pomocą różdżki rzekome promieniowanie), na tzw. linii jerozolimskiej, łączącej liczne magiczne placówki – katedrę w Gnieźnie, Wawel i Częstochowę. Amatorzy takich teorii twierdzą, że świadectwa uzdrowień, jakie niektórzy wierni łączą z pielgrzymką do Jasnogórskiej Pani, mają swe źródło nie w Bożej opatrzności, lecz w innych nadprzyrodzonych siłach.

Jakkolwiek by na to patrzeć, interesującym fenomenem miejsc mocy jest to, że wiele z nich lokuje się tam, gdzie znajdują się kościoły czy sanktuaria. Tak jak Święty Krzyż na Łysej Górze. Stary klasztor, ufundowany według legendy jeszcze przez Bolesława Chrobrego, nosi swą nazwę od przechowywanych w nim relikwii drzewa Krzyża Świętego, ale – co ważne – powstał na miejscu dawnych kultów Słowian. Wspominał o nich w kronice Jan Długosz, pisząc o bożkach Lelum i Polelum, którzy w XVI w. w benedyktyńskich zapisach przyjmują imiona Lada, Boda i Leli. Świadectwem religijnego przeznaczenia miejsca jest piaskowcowy wał wyznaczający teren starożytnego sanktuarium, podobny do obiektów odnalezionych na Ślęży.



Wawelski czakram

Jeśli mierzyć magiczną moc danego miasta, to Kraków nie ma sobie równych. Na mapie Polski nie ma drugiego takiego punktu, w którym znalazłbyśmy równie dużo obiektów określanych jako miejsca mocy. Wśród nich szczególnie wyróżnia się wawelskie wzgórze, gdzie na terenie nieistniejącego już kościoła pw. św. Gereona rzekomo leży cudowny kamień o niebywalej mocy, zwany niekiedy „gruczołem Ziemi” – słynny czakram. Podania o czakramach głoszą, że jeszcze przed narodzinami ludzkości rozrzucił je po świecie bóg Śiwa, wydobywając w miejscach, w których padły, energię, mającą służyć ludzkości. Prawdopodobnym źródłem legendy o krakowskim czakramie jest lokalna prasa z lat 20. XX w., która w sensacyjnym tonie opisywała prace konserwatorskie prowadzone na Wawelu przez Adolfa Szyszko-Bohusza. Uwadze mediów nie mogła ująć wawelska wizyta grupy Hindusów, którzy prosili o udostępnienie im podziemi w celu przeprowadzenia medytacji (podobną historię, ale o hinduskim profesorze, powtarzał zresztą w latach 80. trudniący się parapsychologią franciszkanin o. Andrzej Klimuszko). Czakram zyskał międzynarodową sławę także dzięki teozofce Wandzie Dynowskiej, jednej z pionerek polskich studiów hinduistycznych, znanej również z tego, że w latach 60. ogłosiła, że „Karol Wojtyła będzie pierwszym słowiańskim papieżem”.



Kamienne kręgi w Odrach

Niewielka wieś położona w Borach Tucholskich ma na swoim terenie wyjątkowy zabytek na skalę europejską (poszukiwacze tajemnic pewnie twierdzą, że na skalę kosmiczną), jakim jest pochodzące z początków naszej ery cmentarzysko Gotów i Gepidów. Zajmuje ono niemal 17 ha i obejmuje 10 kamiennych kręgów oraz 29 kurhanów, co sprawia, że to drugie co do wielkości takie miejsce pochówku w Europie (dość powiedzieć, że największy z kręgów ma średnicę aż 33 m, a najmniejszy „zaledwie” 15). Prawdopodobnie nie miało wyłącznie funkcji nekropolii, gromadziło również wiece (tzw. tingi), odbywały się na nim sądy. Porządek polityczny współgrał z sakralnym, ponieważ w czasie zgromadzeń składano ofiary – również z ludzi – a charakter pochówkowy sprzyjał powadze opartej na duchowej obecności przodków.

Niemieccy badacze na początku XX w. zwrócili uwagę na nietypowe linie przebiegające przez poszczególne pary kręgów, które wskazywały punkty wschodów i zachodów słońca w momencie przesileni, co popchnęło ich do sformułowania hipotezy o pradawnym obserwatorium astronomicznym, czyli z Odr pomorskie Stonehenge. Po latach zweryfikowano tę ideę, niemniej Odry przyciągnęły uwagę nie tylko historyków, lecz również poszukiwaczy tajemnic. Ich obecność jest nie w smak zwłaszcza władzom utworzonego w 1958 r. rezerwatu, ponieważ zdarzały się przypadki przesuwania kamieni, przekopywania ziemi i niszczenia chronionych porostów. Aby usatysfakcjonować bioenergoterapeutów i uszanować miejsce, wyznaczono teren tzw. Elipsy w pobliżu 10. kręgu, w której rzekomo działa najsilniejsze promieniowanie.



Grobowiec Fahrenheitów w Rapie

Niekiedy o statusie miejsca mocy decyduje sam nietypowy kształt budowli. Tak też jest z pochodzącym z początku XIX w. grobowcem członków pruskiej rodziny von Fahrenheit pochowanych w mazurskiej wsi Rapa. Baron Friedrich von Fahrenheit był człowiekiem licznych talentów i zainteresowań (słuchał np. wykładów Kanta), którego nie ominęła egipska gorączka rozpalająca Europę po kampanii Napoleona z 1798 r. Choć Bonaparte nie zrealizował zamierzonych celów strategicznych, to wyprawa wpłynęła na olbrzymi wzrost zainteresowania cywilizacją faraonów, czego świadectwem jest m.in. mazurski grobowiec w kształcie piramidy, zaprojektowany prawdopodobnie przez Thorvaldsena. Przez wiele lat piramidę pochłaniał las i dopiero XX-wieczne wojny wydobły ją na światło dzienne, ponieważ została kilkakrotnie zdewastowana – czy to przez radzieckich żołnierzy, czy polskich przybyszów. Piramida trafiła na listę zabytków w latach 90. XX w., rozpoczęto też wtedy badania nad nietypowym budynkiem. W międzyczasie mauzoleum zdążyło obrosnąć legendami: a to o masowym mordzie Fahrenheitów, a to o dekapitacji pochowanych. Paliwa do plotek dostarczał specyficzny mikroklimat, jaki panuje w budowli, wskutek czego ciała pochowanych uległy mumifikacji. Obiekt oczywiście znajduje się na kolejnym, ważnym przecięciu linii promieniowania geomagnetycznego, ale – jak widać – takich miejsc jest niemało.



Śnialnia przy Piastowskiej 1 w Katowicach

Miejsce to miało niezwykle klimat, pachniało farbami, terpentyną, paczuli, kadzidłami, znajdowało się tam mnóstwo zakamarków; regały z książkami zmieniały jego przestrzeń w prawdziwy labirynt, przez małe drzwiczki przechodziło się do kuchni, stamtąd do jeszcze jednego pomieszczenia, i jeszcze jednego. Po drugiej stronie baszty, służącej częściowo jako magazyn obrazów, ram, przeróżnych staroci, od Piastowskiej rozpościerał się drugi, pusty strych, czasem użytkowany jako miejsce wystaw i happeningów dla wtajemniczonych, wernisaży przypominających klimatem magiczne »czarne msze« bądź osobliwych misteriiw przy świecach, skupiających grono starannie dobranych osób” – pisał o katowickiej pracowni Urszuli Broll i Andrzeja Urbanowicza Jerzy Illg. To przy Piastowskiej na przełomie lat 50. i 60. narodził się ruch otwierający na Śląsku nowe wymiary percepcji nie tylko w zakresie sztuki wizualnej, ale także duchowości czy mistycyzmu. Śnialnia, „przestrzeń, gdzie sny się urzeczywistnia”, jak pisał Rafał Księżyk, stanowiła *axis mundi* dla artystycznych eksperymentów inspirowanych alchemią i okultyzmem, oblekając w ciało duchową pożywkę. Wspólna lektura i tłumaczenia Junga, spotkania z Prokopiukiem, fascynacja antropozofią Steinera oddziaływały na twórczość Urbanowiczów i ich przyjaciół (m.in. Antoniego Halora, Zygmunta Stuchlika i Henryka Wańka), którzy wprowadzali w polski obieg kulturowy idee ezoteryczne, dając niespodziewaną odpowiedź na „duchowe spustoszenie” stalinizmu, a w Katowicach budując prawdziwą centralę polskiego ezoterycznego przebudzenia, ciekawszą od wszelkich radiestetycznych węzłów mocy.

Czego szukałem w Klubie Gnosis

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Ezoteryka żyje nadzieją na uzdrowienie ciała i ducha. Na odnalezienie więzi z czymkolwiek, co pozwoli uwierzyć, że cierpienie i chaos mają w gruncie rzeczy jakiś sens, tyle że na pierwszy rzut oka niewidoczny

ZE SPOTKAŃ WARSZAWSKIEGO KLUBU GNOSIS – ZAŁOŻONEGO W 1992 R. przez legendarnego polskiego tłumacza Jerzego Prokopiuka i jego przyjaciół skupionych wokół periodyku o tej samej nazwie – pamiętam głównie błyskające w półmroku pierścienie upstrzone zagadkową symboliką oraz udzielający się od razu nastroj dyskretnej niezwykłości.

I jeszcze to zdanie, które do dzisiaj dźwięczy mi w głowie, wypowiedziane przez Prokopiuka 11 marca 2002 r. podczas dyskusji panelowej poświęconej *Traktatowi teologicznemu* Czesława Miłosza (taką przynajmniej datę podpowiada mi wciąż istniejące w zakamarkach sieci archiwum Klubu). Dyskusji, w której udział wzięli inni stali bywalcy klubowych wydarzeń, a także – nie będzie to żadna przesada, jeśli tak ich nazwę – jego towarzysko-intelektualne filary: Krzysztof Dorosz, Mieczysław Litwiński oraz Światosław Florian Nowicki.

Spóźniłem się wtedy i wprost z ciemnej, zimnej i zaśniewanej, jak na polski marzec przystało, ul. Elektorальной wbiegłem do przytulnej sali Mazowieckiego Centrum Kultury, w którym akurat wtedy Klub miał jedną ze swoich tymczasowych przystani. Tak się bowiem składało, że ze wszystkich warszawskich siedzib, po kolei – a trochę ich w historii tej inicjatywy było, m.in. w Muzeum Etnograficznym, w Le Madame, w jakimś dziwnym pomieszczeniu przy Marszałkowskiej, a potem jeszcze w Dziku przy Belwederskiej – klubowiczów prędzej czy później albo przeganiano, albo zamykano przyjazne im podwoje. Pod rozmaitymi administracyjno-logistycznymi pretekstami, z których żaden nawet przez chwilę nie był w klubowym gronie traktowany poważnie, bo przecież wszyscy rozumeli doskonale, że są to najzwyczajsze represje. Motywowane, a jakże, światopoglądowo. Wiadomo, w opresyjnym katolickim państwie nie może być miejsca na herezje – powtarzano, popatrując na siebie i znacząco kiwając przy tym głowami. Nie bez pewnej dumy, bo ostatecznie taka skala prześladowań dowodziła wyłącznie wysokiej klasy

prześladowanego. W każdym razie tamtego marcowego dnia, spóźniony, wbiegłem do sali przy Elektorальной, zasiadłem obok jakiejś nobliwej miłośniczki wiedzy tajemnej i chyba właśnie wtedy usłyszałem to zdanie, które dotąd dźwięczy mi w głowie.

„Jak wiemy z wiedzy ezoterycznej, przez Ziemię przebiegają eteryczne pasy”.

Wiedza niedostępna dla tłumu

ZDANIE TO WYPOWIEDZIANE ZOSTAŁO z tak absolutną pewnością, że nie powstydziliby się jej chyba nawet sam Kartezjusz, ten ojciec (niejedyny) nowoczesności, co i rusz obwiniany, także w Klubie Gnosis, o wszelkie możliwe jej wady i zaślepienia. Promotor obiektywizmu, dla którego, paradoksalnie, subiektywnie doświadczana klarowność i oczywistość były ważnymi kryteriami prawdy (o istnieniu już nawet nie wspominając).

Zaraz po tym zdaniu nastąpiła elegancka, iskrząca się erudycją i dowcipem tyrada, w której, powołując się

głównie na dzieła Rudolfa Steinera, zmarłego w 1926 r. twórcy antropozofii – i jakichś jego uczniów – Prokopiuk wywodził, że jeden z takich „eterycznych pasów” przenika przez historyczne terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego. I stąd tam właśnie, by tak rzec, obfity wysyp wieszczów. Z pozoru tylko – w świetle tych ustaleń – zaskakujący. Czy raczej: zaskakujący wyłącznie dla kogoś, kto w swoich rachubach literaturoznawczych nie bierze pod uwagę kluczowej roli czynnika eterycznego. Przy czym chodzi tu o wieszczów wykazujących inklinacje ku religii, mistyce, ale i – co w klubowym kontekście najważniejsze – naukom tajemnym. I tak, w perspektywie teorii „eterycznych pasów” – ogłaszanej, jak wspomniałem, niczym samonarzucająca się oczywistość – losy Mickiewicza i Miłosza, a także innych urodzonych w tej okolicy artystów, myślicieli i polityków traciły natychmiast wszelką meandryczność. Przeciwnie, stawały się zupełnie naturalne, zrozumiałe i – można powiedzieć – aż nadto logiczne, aż nadto jasne i proste. Oczywiście, żeby tę logikę, jasność i prostotę odpowiednio uchwycić, żeby dostrzec, jak sprawnie z eterycznego tła zarządza ona ich życiowymi trajektoriami, trzeba dysponować wiedzą, do której dostępu nie dają ani szkoły powszechne, ani studia polonistyczne, ani w ogóle żadne inne oficjalne edukacje. Daje do niej natomiast dostęp m.in., uczestnictwo w tym akurat gronie wybrańców, którzy z jakichś (zapewne nieprzypadkowych) powodów znaleźli się w odpowiednim miejscu i czasie.

Wiedza ezoteryczna, jak sama nazwa wskazuje, jest bowiem właśnie ezoteryczna, *esôterikós* (gr. „należąca do wewnętrznego kręgu”), z samej zatem definicji zamknięta dla tłumu. W takim to sensie używano tego przymiotnika w epoce późnej starożytności, kiedy po raz pierwszy pojawił się w obiegu. W przeciwieństwie do tego, co „egzoteryczne” – a więc dostępne dla każdego, dla wszystkich, otwarcie – „ezoteryczne” pozwala się poznać wyłącznie małej grupie. Dlatego na bezowocnych poszukiwaniach takiej wiedzy można czasem spędzić całe życie. Po prostu, jeśli się nie ma ku temu odpowiednich predyspozycji, droga nie zostanie odnaleziona. Jak głosi stara (ezoteryczna) maksyma – mistrz (czytaj: dostęp) pojawia się wtedy, kiedy uczeń jest gotowy. Nie sposób odszukać go na siłę, bez odpowiednich przygotowań i dyspozycji.

Tymczasem w marcu 2002 niewątpliwie znaleźli doń drogę ci, których osobiste „eteryczne” uwarunkowania przywiodły na Elektoralną w Warszawie. Tam, gdzie było źródło ukrytej prawdy. Jej arkana – zarówno podczas owego spotkania, jak i podczas wielu innych, w których brałem udział, publicznych i prywatnych – wykladał Prokopiuk zawsze z tą samą niezachwianą pewnością w głosie. Tak jakby, rekonstruuując najdziwniejsze dywagacje Rudolfa Steinera na temat powlekającego ponoć wszystko eteru – widocznego tylko dla oka, które umie przekroczyć banał konwencjonalnej percepcji – opisywał budowę jakiegoś organizmu umieszczonego pod supernowoczesnym mikroskopem.

W kole wcieleń

PODOBNIIE ZRESZTĄ BRZMIAŁ, ROZPRAWIAJĄC O REINKARNACJI, JEDNYM ZE swoich ulubionych tematów. W ruch szły wtedy jego charakterystyczne smukłe dłonie z zagadkowymi pierścieniami (to właśnie one tak błyskały

na Elektoralnej). Jeden pierścień z zielonym kamieniem szlachetnym. Drugi z czerwonym krzyżem na białym tle, podarowany na znak szacunku oraz honorowego członkostwa przez dwóch współczesnych przedstawicieli zakonu templariuszy (tak, tak!). Trzeci: pierścień Atlantów, do nabycia w sklepiku wysyłkowym czasopisma „Nieznany Świat” albo na pierwszym lepszym ezostraganie. Te trzy pierścienie podążały posłusznie za żywo gestykulującymi dłońmi, przenikliwe spojrzenie szklanego oka świdrowało rozmówcę, drugie oko zaś, ruchome dla odmiany jakby nadmiarowo, zdawało się płaszać w rytm rozwijanej opowieści. Nieodmiennie barwnej, błyskotliwej i – naturalnie – rzucającej nowe, niesamowite światło na splecione koleje ludzkiego losu.

Mowa była najczęściej o przygotowywaniu się – stopniowym, niespiesznym, lecz metodycznym – do kolejnego wcielenia. O tym, co się dokładnie z człowiekiem po śmierci dzieje, krok po kroku, sekunda po sekundzie. O tym, jak rozdzielona z materialną powłoką dusza pokonuje kolejne etapy procesu oczyszczania się z wpływów świata fizycznego, przechodząc przez siedem pośmiertnych „regionów”. Są to, odpowiednio: region ognia żądz, płynącej pobudliwości, pragnień, przyjemności i przykrości, światła dusznego, aktywnej siły dusznej oraz życia dusznego. A kiedy już je wszystkie przejdzie, wówczas, hop, przeskakuje zwinnie do następnego wcielenia. Żyje w nim, żyje i żyje, aż wreszcie umiera, a proces oczyszczania rozpoczyna się od nowa. I tak w koło. Aż do niesprecyzowanego końca, który ponoć

kiedyś rzeczywiście nastąpi – jak już wszystkie zadania i wtajemniczenia zostaną w duchowym rejestrze „odhaczone”.

Ale z pewnością jeszcze nie teraz. I w ogóle nie w jakimkolwiek widocznym horyzoncie. Zwłaszcza że procesy, o których tu mowa, nie są regulowane jedynie prawidłami indywidualnej karmy – czyli, najkrócej rzecz ujmując, energii uczynków z danego wcielenia, która za nami przez kołowrót wcieleń wędruje – ale i karmy zbiorowej: narodowej, kontynentalnej, wreszcie globalnej. To zatem, kim jesteśmy oraz co się w naszym życiu wydarza, jest dopiero wypadkową tych wszystkich wibracji.

I zawsze ta pewność w głosie, śmiałe przekonanie o własnej racji. Jakaś w sumie, mówiąc szczerze, podprogowa apodyktyczność, która kompletnie nie korelowała z hasłami wolności, herezji i antydogmatyzmu (z wyjątkiem dogmatyzmu antykatolickiego, ma się rozumieć). Do tego – zupełnie egzotyczne teorie, niepoparte niczym poza przypisywaną sobie przez Steinera zdolnością jasnowidzenia. Traktowane przez Prokopiuka z pełną powagą, której nigdy nie byłem w stanie zrozumieć. No bo proszę tylko posłuchać fragmentu z jego *Labiryntów herezji*: „Steiner, badając astralną kronikę kosmosu (*akaša*), stwierdził, że istniało dwóch Jezusów. Konstatację tę potwierdza fakt, że w Ewangeliach przytacza się dwie różne genealogie Jezusa (u Mateusza i u Łukasza) (...). Rodzice obu nosili imiona Józef i Maria. (...) Po pobycie obu w świątyni w Jeruzalem – w wieku 12 lat – Jezus »Mateuszowy« umiera, po śmierci jednak duchowo łączy się z Jezusem »Łukaszowym«. Również w części umierają rodzice obu, podczas gdy pozostali łączą się w nowym małżeństwie. Jezus »Mateuszowy« był reinkarnowanym Zaratusztrą (...) Jezus »Łukaszowy« był »tą częścią Adama, która nie uległa upadkowi«”.

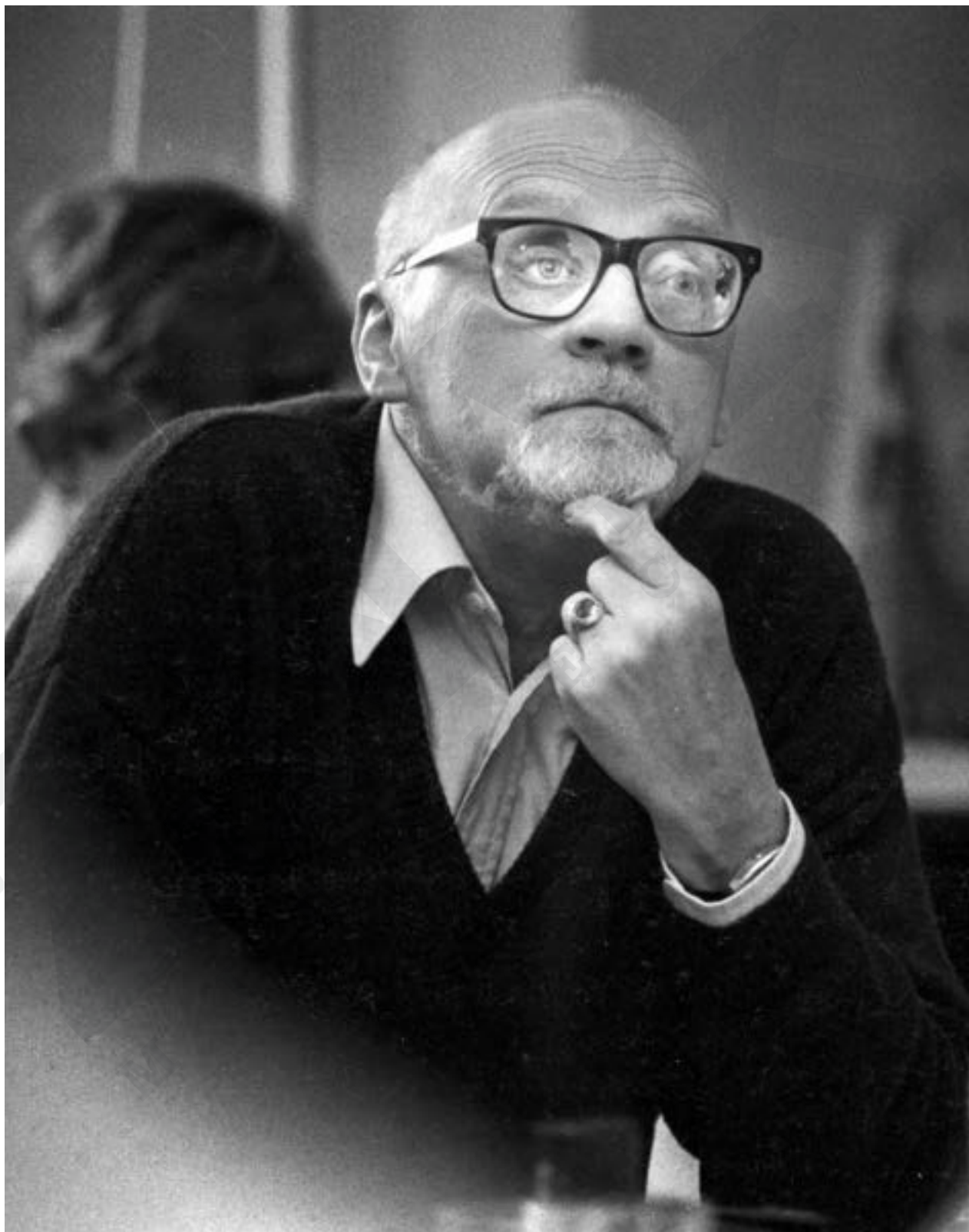
To wszystko deklamowane bez mrugnięcia okiem (tym ruchomym, bo nieruchome nie mrugało nigdy), z fundamentalnym przeświadczeniem, że tak się właśnie sprawy mają. A przecież cała bogata tradycja hermeneutyki biblijnej, jak również – choć to w tym kontekście zabrzmiałyby ryzykownie – najzwyczajniejszy zdrowy rozsądek podpowiadają, że mamy do czynienia z jawną błądą. Oraz pozbawioną polotu dosłownością: skoro genealogie u Mateusza i Łukasza się różnią, zatem Jezusów było tak naprawdę dwóch, no ale jeśli finalnie był jeden, to drugi musiał umrzeć, umarło im też po jednym rodzicu z każdej strony. Plus Zaratusztra w pakiecie z „częścią Adama”.

Upodobanie do pstrokaczny

COKOLWIEK BY JEDNAK MÓWIĆ O STEINERZE – W MŁODOŚCI OBIECUJĄCYM filozofie, znawcy twórczości Goethego i Nietzschego, który w pewnym momencie zafascynował się teozofią i został jasnowidzącym z własnego nadania – jedno trzeba mu uczciwie przyznać. To jego monstualnych

Jerzy Prokopiuk, oprócz gigantycznej erudycji oraz słabości do antropozofii, miał również zagadkowe upodobanie do myślowej i nie tylko myślowej pstrokaczny. By nie powiedzieć mocniej: tandety

□ Jerzy Prokopiuk – gnostyk, antropozof, wybitny tłumacz z języka niemieckiego (m.in. Junga, Freuda, Goethego, Schillera), autor wielu książek. Zmarł w 2021 r.
fot. Marek Skorupski/Forum



rozmiarów dzieło (ponad 6 tys. wykładów) stało się podstawą prężnie się rozwijającego ruchu antropozoficznego, obejmującego m.in. szkolnictwo waldorfskie, biodynamiczne rolnictwo, kosmetyki Dr. Hauschka, firmy kosmetyczno-farmaceutyczne Wala i Weleda, alternatywną medycynę, architekturę, myśl społeczną, dietetykę, a nawet... bankowość. Jest to mimo wszystko jakoś imponujące i roztacza niewątpliwy urok (kto nie wierzy, niech poszuka w sieci nagrań z ujmująco wystylizowanym na Steinera antropozofem Bodo von Plato). Wprawdzie jest to urok typowy raczej dla ekscentrycznej, przy tym dość konserwatywnej ciotki, organizującej herbaciane rozmówki o duchach, aniżeli dla jakichś ekscytujących magiczno-ezoterycznych transgresji – ale zawsze. W każdym razie, chociaż książki i wykłady Steinera pełne są XIX-wiecznych przesądów, konfabulacji i niestworzonej kombinatoryki, a na dodatek napisane zostały językiem wyjątkowo, proszę wybaczyć, drętwym – jest to autor należący już do klasyki, mający w historii niekwestionowane miejsce. Jakkolwiek by więc śmiesznie i dziwacznie dziś brzmiał, wolno, jeśli ktoś lubi, traktować go serio. Prokopiuk tymczasem, oprócz gigantycznej erudycji oraz słabości do antropozofii, miał również zagadkowe upodobanie do myślowej i nie tylko myślowej pstrokacizny. By nie powiedzieć mocniej: tandety. Przykładem ten nieszczęsny „pierścień Atlantów”, z żadnymi „Atlantami”, naturalnie, niemający nic wspólnego, bo niemający w ogóle nic wspólnego z niczym poważnym (wiadomo, nawiasem, że cały ten „pierścień” to była mistyfikacja zorganizowana przez niejakiego Rogera de Lafforesta, francuskiego pisarza i dziennikarza urodzonego na początku XX w.). Inny przykład – lektury spod znaku *pulp*, które namiętnie pochłaniał i którymi bardzo się przejmował, jakieś trzeciorzędne *fantasy*, pełne smoków, czarodziejów i księżniczek. Albo też wydawane w Polsce masowo w latach 90. sensacyjno-ezoteryczne, pseudonaukowe książki, zawsze z krzykliwymi tytułami obiecującymi ujawnienie „wielkich tajemnic”, „ukrywanych sekretów” bądź też „odwieczne zakazanych prawd”.

Pamiętam odwiedziny w jego klimatycznym mieszkaniu przy Nowolipiu. Skromnym, wręcz ubogim, na pewien sposób ascetycznym, a zarazem wywołującym wrażenie jakiegoś nadmiaru. Wypełnionym aż po sufit starymi szpargałami i książkami, których miał tyle, że prawie już nie starczało miejsca na meble. Były tam, owszem, jakieś powycierane fotele, pamiętające chyba przedwojnie biurko i kilka krzeseł, lecz całą resztę przestrzeni zachłannie okupowały książki. Na tych książkach zaś – uformowanych w wysokie, chwiejne, jakby mające się zaraz rozsypać stosy – stały tajemnicze ryciny i jeszcze bardziej tajemnicze wykresy. Z portretu w starej ramce przenikliwie i jasnowidząco spoglądał Rudolf Steiner. Obok – zdjęcie samego Prokopiuka na różnych etapach aktualnego wcielenia. I jeszcze kolekcja preparatów homeopatycznych i antropozoficznych, na półeczce niedaleko biurka. Eleganckie, stare flakoniki i pudełeczka, niewielkie naczynko, na nim mosiężna, zdobiona łyżeczka – wyglądało to niczym przybornik w gabinecie alchemika. W powietrzu unosił się słodkawy aromat kadzidla, najczęściej drzewa sandałowego albo kwiatu champy. Pośrodku tych szpargałów, książek, rycin, wykresów, portretów, kadzidla oraz flakonów i mosiężnej łyżki

siedział majestatycznie Prokopiuk, z nieruchomym, szklanym okiem, łysą głową i upierścienionymi dłońmi. Z imbryka polewał gorącą herbatę, a następnie rozpoczynał perorę – o subtelnych światach, ciałach astralnych, spotkaniach z magami, astrologami i wielkimi wtajemniczonymi.

I właśnie podczas jednej z takich peror powiedział mi – z przejęciem – że czyta niebywale interesujące dzieło. Jego autor twierdzi zaraz na początku, że biblijna Ewa była tak naprawdę Lucyferem. W dalszej części książki dokonuje stosownych reinterpretacji wszystkiego, co wiemy o świecie, właśnie w duchu tych bezspornie ustalonych rewelacji. „Przeciekawe! – powtarzał Prokopiuk. – Rewolucyjne! Rzucające na całą historię stworzenia, wcielenia i zbawienia zgoła odmienne światło!”

Początkowo zdawało mi się, że żartuje, bo to przecież niemożliwe – czytywać Novalisa, Goethego i Junga w oryginale, a jednocześnie tak ekscytować się bujdami z trzeciorzędnej literatury pseudoduchowej. Poza tym, czyżby Rudolf Steiner nie wyczytał tego wcześniej w annałach kosmicznej kroniki *akaša*? 6 tys. wykładów, a tymczasem się okazuje, że guzik prawda, wszystko było inaczej, Lucyfer i Ewa to jest jedna i ta sama osoba?

Ponadto: jakie to rzuca światło na rzekomą progresywność ezoteryki? Ostatecznie nawet najbardziej konserwatywni katolicy nie głoszą tak jawnie antyfeministycznych przekonań. Od biedy można by było jeszcze zrozumieć obawy, że niektóre kobiety z diabłem bezpośrednio współpracują (za czasów

Kuszące obietnice słyszało się podczas spotkań w Klubie Gnosis: że jest gdzieś, na wyciągnięcie ręki, inny, lepszy, subtelniejszy świat

polowań na czarownice przecież rozpowszechnione), ale żeby je z diabłem, lekką ręką, utożsamić? To jest być może pomysł, który przypadłby do gustu nieszczęsnemu Ottonowi Weiningerowi, zmarłemu śmiercią samobójczą w 1903 r. autorowi opętańczej biblii mizoginów pod tytułem *Płeć i charakter* – której fragmenty ukazały się po polsku właśnie w tłumaczeniu Prokopiuka – lecz z pewnością nie komuś, kto, jak Prokopiuk, deklaruje się jako zwolennik obyczajowego i cywilizacyjnego postępu.

Jednym słowem: paradoks.

Pragnienie sensu

ALE MOŻE WŁAŚNIE NIE BYŁO W TYM NIC PARADOKSALNEGO? MOŻE ODRZUCENIE reguł racjonalności i empiryzmu na rzecz wiary w to, że Rudolf Steiner swoim jasnowidzącym okiem rzeczywiście przeświecił wszelkie możliwe duchowe sfery, musiało prędzej czy później doprowadzić do jakiegoś, nazwijmy to, poznawczego miszmaszu? Takiego samego, jaki cechuje współczesną kulturę, identycznie rozdwojoną? Z jednej strony – nieprawdopodobny technologiczny rozwój, nauka i medycyna przekraczające wciąż kolejne granice wyobraźni, wydzierające człowiekowi i naturze najpilniej dotąd strzeżone tajemnice. Wiedza, z którą nic zupełnie nie może się równać, imponująca, potężna, monumentalna. Jak nigdy wcześniej w historii. Z drugiej strony ogromna naiwność, łatwowierność, podatność na błąd. Teorie spiskowe rozprzestrzeniające się z prędkością światła. Najbardziej nierozumne zabobony podnoszone do rangi ekscytujących nowości albo „prawd” ukrywanych ponoć przez „system”, które rozgłasza się na Twitterze niczym nową ewangelię. Mgliste figury sprzedające miliony egzemplarzy książek albo podcastów wypełnionych po brzegi duchową papką i pseudonaukową logoreą. Celebryci noszący na nadgarstkach „kabalistyczne” nitki. Kolejne generacje młodych ludzi, dla których popularna ezoteryka – karty tarota, aplikacje astrologiczne, medycyna alternatywna, wróżbiarstwo,

czarownicze kultury magiczno-naturalne *à la wicca* albo posilanie się „energią kryształów” – staje się, jak pokazują badania, czymś na kształt oczywistego, niekwestionowanego światopoglądu.

W tym sensie mamy tu umysłowość modelową dla współczesności, choć sam Prokopiuk – jestem pewien – uznałby tę diagnozę za herezję niewybaczalną, w odróżnieniu od tych herezji, które sam z dumą głosił. Był przecież szczerze przekonany, że cała jego egzystencja jest właśnie formą szlachetnej rewolty przeciwko płyciźnie dzisiejszego świata. Zarazem miał się za progresywidę, o Kościele katolickim wypowiadał się wyłącznie w sposób nacechowany złośliwością przechodzącą niepostrzeżenie w pogardę. Z niejaką ostentacją otaczał się młodymi ludźmi – skądinąd, po pewnym czasie, wszyscy ci młodzi ludzie jakoś się rozchodzili, jednak na ich miejsce zawsze pojawiali się nowi – i w ogóle podkreślał, że jest człowiekiem, w którym nie uświadczysz żadnej skłonności konserwatywno-tradycjonalistycznej. Żadnego przesądu i zabobonu. Jednocześnie ważne decyzje życiowe konsultował zawsze z tarocistami i astrologami. Swoje zdrowie natomiast – przynajmniej do czasu – powierzał homeopatom oraz nieodległym od nich ideowo i praktycznie „lekarzom antropozoficznym”. Bardziej niż preparatom ordynowanym przez specjalistów kardiologów ufał miksturcom, których receptury opracował osobiście Rudolf Steiner. Lubił np. opowiadać, że kiedy tylko dopadają go problemy z sercem, zaraz sięga po niezawodną maść *Aurum Compositum*, której

składnikami są... złoto, mirra i kadzidło. No bo coś innego bliższe jest naturze serca (na subtelnych poziomach, gdzie pracują niewidzialne siły regulujące formę fizyczności), jeśli nie ta właśnie triada, dalece nieprzypadkowo podarowana Zbawicielowi przez trzech magów przybyłych ze Wschodu? Z wielką pracowitością wcierał więc *Aurum Compositum* w piersi, ilekroć odczuwał jakieś niepokojące objawy w tych rejonach ciała. Przekonany, że działa to znacznie lepiej aniżeli najbardziej nawet nowoczesna kuracja, którą mógłby zaordynować mu kardiolog konwencjonalny, a więc nieświadomy, jak serce naprawdę działa (dodajmy: wcale nie pompuje krwi, lecz, odwrotnie, jest przez krew poruszane – tak twierdził Steiner i tak się do dzisiaj stawia sprawę w medycynie antropozoficznej). I w tym także, paradoksalnie, przypominał współczesnego człowieka, zagubionego w gąszczu niemożliwych do zweryfikowania informacji, fantazji i teorii spiskowych, wybierającego zamiast medycyny bioenergoterapię, ustawienia rodzinne, homeopatię, interwencje pseudoszamańskie, „ceremonię Kambo”, sesje z ayahuasą, „nową medycynę germańską”, „biologię totalną” albo inne podobne praktyki. Choć przecież zdawało mu się, że operuje tutaj na poziomach przeciętnym obywatelom właśnie niedostępnych, bo tajemnych, głębokich i wywodzących się z jakichś pradawnych mądrości.

Dokładnie tak, jak zdaje się dzisiaj każdemu, kto po to wszystko sięga z nadzieją na uzdrowienie ciała i ducha. To znaczy na odnalezienie zagubionej więzi z takim czy innym „eterycznym pasem” albo w ogóle z czymkolwiek, co pozwoli uwierzyć, że cierpienie, bezsens i chaos choroby mają w gruncie rzeczy jakiś sens, tyle że na pierwszy rzut oka niewidoczny.

Obietnice bez pokrycia?

TAKIE TO BOWIEM WŁAŚNIE KUSZĄCE OBIETNICE SŁYSZAŁO SIĘ PODCZAS spotkań w Klubie Gnosis, takie to zapowiedzi odszyfrowywało się w błyskach pierścieni upstrzonych zagadkowymi symbolami. Że jest gdzieś, na wyciągnięcie ręki, inny, lepszy, subtelniejszy świat. Że w niedostępnych zwykłym ludzkim zmysłom przestrzeniach – możliwych do namierzenia, jeśli odbierze się odpowiednie nauki, jeśli dokona się specjalnych ezoterycznych strojeń – ukrywa się rdzenna struktura bytu. I kiedy już się pozna do niej wszystkie klucze – a w każdym razie te pozwalające choćby odrobinę uchylić drzwi i otworzyć mikroskopijny prześwit – wówczas w bezładzie codzienności zacznie się wreszcie dostrzegać Wzór. Bezlitosne i ślepe sploty przypadkowych zdarzeń, widziane z odpowiedniej perspektywy, zamieniają się w ścieżki indywidualnego i zbiorowego przeznaczenia, wytyczane arytmetyką karmicznych zależności. Odtąd możliwe do przynajmniej częściowego odcyfrowania, a nade wszystko prowadzące do celu. Jeżeli nie w tym wcieleniu, to w kolejnym, a może w kolejnym lub jeszcze kolejnym. Nie: tańczące przez mgnienie oka nad pustą, bezdenną przepaścią, a potem spadające w nią i znikające bez śladu, lecz: starannie poprowadzone od punktu A do punktu X. Choćby ten pierwszy niknął zupełnie w mrokach przeszłości, a ten ostatni był niemożliwy do wypatrzenia. I choćby to, co pomiędzy nimi, jawiło się tak, jak się człowiekowi często jawi życie – jako nieprzewidywalny, niesprawiedliwy i niemożliwy do okiełznania sztorm, po którym zniemacka następuje

wieczna cisza. Tymczasem tutaj – z metafizyką spraw ukrytych, wykresami, pierścieniami, magią, tajemnicą i wybraństwem – obiecywano, że jest metoda, jest sposób, żeby choć przez chwilę spokojnie podryfować na falach. Choć na chwilę przystanąć i pozwolić, żeby sprawy toczyły się swoim torem, bo przecież mają swoją dynamikę, swój ukryty, zaprogramowany takt.

Słyszało się zatem obietnicę tego wszystkiego i dostawało zaproszenie do takiej właśnie rzeczywistości. A były to – jak sądzę – dokładnie te same obietnice i zaproszenia, które przyciągają rzesze ludzi ku astrologom, tarocistom, szamanom i neoszamanom, gnostykom, różokrzyżowcom, kabalistom, hermetystom, alchemikom, magom, antropozofom, teozofom, ezoterykom i w ogóle wszelkiej maści ekspertom od rzeczy ukrytych i tajemniczych.

Czy jednak są to obietnice z pokryciem? Czy coś za nimi stoi? Coś poza aurą i atmosferą, poza rozpylaniem wokół rozmaitych niezwykłości? I wmawianiem sobie oraz innym, że za zasłoną zmysłów, za całą tą rupieciarnią materii, za opłakanym uniwersum ludzkich spraw, niepewnym, nieprzewidywalnym i groźnym (w ostatnich latach znowu coraz bardziej) istnieje jakaś przedustawna logika, a być może nawet *logos*? I że istnieje również sprawdzona, możliwa do zastosowania metoda, dzięki której da się zajrzeć za kotarę i nagle ujrzeć swoje życie w tej zupełnie nowej postaci, w tej zupełnie nowej perspektywie? Takiej chociażby, w jakiej widzieli, a w każdym razie chcieli je widzieć klubowicze z Elektralnej? Bo czy faktycznie widzieli,

czy też powodowało nimi wyłącznie to samo pragnienie (niezaspokojone, niemożliwe do zaspokojenia), które powoduje dziś niezliczonymi rzeszami ludzi szukających w ezoteryce jakichś wyzwoleń, odpowiedzi i wglądów – tego przecież nie da się ponad wszelką wątpliwość ustalić. No, chyba że się faktycznie dysponuje jakimiś niesłychanie rozbudowanymi nadzmysłowymi zdolnościami... — Z

Esej stanowi część książki Tomasza Stawiszyńskiego, która jesienią ukaże się nakładem Znak Literanova

Tomasz Stawiszyński

Filozof i publicysta, autor audycji *Godzina filozofów* w TOK FM. Napisał m.in. *Ucieczkę od bezradności* (2021), *Reguły na czas chaosu* (2022), a także *Misję Sowy*, *Tosia, Franek i sekrety filozofii* (2022). Prowadzi podcast *Skądinąd*

RYSUNKI



Ilustracja: Ola Szmida



☐ Pomniczek Szejka w Użhorodzie w Ukrainie.
Czy istnieje inny bohater literacki, który łączy tyle
krajów Europy Środkowej? *fot. VP/Alamy/BE&W*

Widok z kuchni Luciusa

WERONIKA GOGOLA

Czy istnieje coś takiego jak Europa Środkowa? Międlę ten temat niemal etatowo, kilka razy w roku na spotkaniach z panami w średnim wieku. Bardziej interesuje mnie jednak co innego: gdzie w tym wszystkim jestem ja, polska pisarka mówiąca po słowacku z bratysławskim akcentem?

WKUCHNI LUCIUSA PACHNIE tak, jakby dopiero co zdjęto garnki z pieca. Przechodzę przez kolejne pomieszczenia i mam wrażenie, że przed chwilą ktoś tu był, zaraz na pewno wróci. Kiedy z domu Luciusa przechodzę do *villa urbana*, wrażenie tylko się potęguje. Stoły wypełnione po brzegi czekają na debatujących. Za chwilę zrobi się gwarno. Wielka, otwarta letnia kuchnia wychodzi szerokim oknem na pejzaż, którego ostatnia, niebieska nitka to kołyszące się w oddali blokowiska mojego miasta. Tak sobie to wyobrażam. To tylko jedna z wąskich, koloryzowanych tasiemek na horyzoncie, zupełnie teraz odrealniona. [▶](#)

W termach woda skacze po suficie, migocze, zapach chloru i skóry, rzędy skórzanych butów stoją na półkach, brakuje tylko zmęczonych stóp, które je wyzuły. Ale złudzenie pozostaje. Jak to możliwe? 30 minut drogi od mieszkania? 30 minut drogi z komunistycznego środkowoeuropejskiego osiedla i oto jestem w prawdziwym rzymskim mieście. Carnuntum, stolicy górnej Panonii. 15 km od Bratysławy. Pieczołowicie zrekonstruowany rzymski kwartał, postawiony na planach odkopywanych tu przez lata fundamentów, prawdziwych fundamentów, dający namacalne wrażenie życia codziennego starożytnych. Cywilizacji, która miała chronić świat przed barbarzyńcami, czyli moimi przodkami. Tymi zza Dunaju. Jestem córką barbarzyńców. Ale to tylko 15 km stąd. 15 km od Bratysławy. W muzeum Carnuntinum, umieszczonym kilka kilometrów od zrekonstruowanej rzymskiej dzielnicy, spoglądam na podobiznę cesarza Hadriana. Mówię do męża: spójrz, wygląda jak ty. Śmieje się. A przecież część jego rodziny pochodzi znad Małego Dunaju, chociaż część pochodzi również z Moraw, część z Niemiec, a część z Węgier. A jednak widzę te rysy. Widzę szerokie płaty policzków i zarys nosa. Wszystko, co nad Dunajem się kotłowało, nad Dunajem przecież zostało. Może to więc być ten środek, ten punkt odniesienia?

Koniec Europy Środkowej?

PONIEWAŻ MÓWIĘ PO SŁOWACKU I MIESZKAM W BRATYSŁAWIE, Z KTÓREJ blisko i do Wiednia, i do Pragi, i do Budapesztu, stosunkowo często zaprasza się mnie do wzięcia udziału w dyskusjach na temat: „Czym jest dzisiaj Europa Środkowo-Wschodnia? Jak rozumiemy to pojęcie?”. Czasem nawet ktoś z organizatorów takich debat stara się być nieco prowokacyjny i śmiało stawia pytanie: „Czy Europa Środkowa ma sens?”. Drażnienie tych pytań na stałe zapisało się w moim grafiku. Kilka razy w roku spotykam się z innymi, z reguły mężczyznami w średnim wieku, żeby międlić ten temat na scenie. Dlaczego międlić? Bo kręcimy się w kółko, próbując nie recyklować swoich spostrzeżeń, omijać dyskusje o Bizancjum i o szlaku bursztynowym, starać się rozszerzać perspektywę o kwestię Ukrainy, lecz nasze wnioski raczej są miałkie.

Nie ukrywajmy, że z reguły debaty te organizowane są nieco na wyrost, ponieważ często letnie festiwale finansowane są przez Grupę Wyszehradzką (v4, czyli Polskę, Węgry, Czechy i Słowację), która w zamian za *mecenáš* wymaga włączenia siebie samej w program. Mogłoby to być nawet zabawne, gdyby nie fakt, że w kuluarach już dawno dyskutuje się o zmierzchu koncepcji, która w nowym rozdaniu w Europie miała przydać nam łatkę inną niż „obszar postsowiecki”. Pojęcie Europy Środkowej ostatni raz było nam potrzebne właśnie po rozpadzie Związku Radzieckiego. I od tego czasu niczego nowego nie wymyśliliśmy. Niczego, co posłużyłoby nam za argument o naszej rzekomej wyjątkowości. Skoro go nie wymyśliliśmy, nie zdołaliśmy również przekonać do siebie Europy. Pamiętajcie, że ludzie tam po prostu są mili. Ale dla nich jesteśmy kłopotliwymi barbarzyńcami, którzy przyszli najeść się do wyłożonej piękną terakotą *villa urbana*. Kiedy w 2021 r. przeprowadzałam wywiad ze słowacką polityczką i była ambasadorką w Polsce Magdą Vášáryovą do zbioru *Wyszehrad porwany. Rozmowy o Europie Środkowej*, powiedziała mi: „v4 pozwoliło nam (...) wyraźniej zaistnieć w nowym porządku międzynarodowym. Przez pierwszych dziesięć lat po 1993 roku Zachód nas nie rozumiał, dziennikarze pisali, że nasza samodzielność nie ma żadnego sensu”. Integracja z Zachodem była więc jednym z kluczowych zadań grupy, próbą dowiedzenia, że należymy do tego samego klubu, w końcu ci podli Rzymianie doszli przecież aż tutaj. Skoro postawili swoje miasta, widzieli chyba w tej ziemi jakiś sens. Widzieli? Po upadku komunizmu nikt pewnie nie zastanawiał się nad Górną Panonią, ale ja dzisiaj mogę. Bo międlę ten temat i bezradnie rozkładam ręce.

Nie wiem, czy oprócz tej narracji po zimnej wojnie pojawił się jakiś inny pomysł na Europę Środką. Być może była nim eurointegracja? Ale to był raczej cel, który obiecywał konkretne benefity, symboliczne wpisanie się na listę europejskiego dziedzictwa i ostateczne zerwanie ze wschodnim mirem. To był cel, obietnica, wyzwanie czy słowo, które weszło wraz z procesami eurointegracji: nowy projekt. Nie dotyczył on jednak tożsamości, tylko bezpieczeństwa i stabilizacji obszaru problematycznego, którym byliśmy. Staraliśmy się więc udowodniać, że jesteśmy zachodni na wszelkich szczeblach, podkreślając, że nasze produkty dorównują standardom europejskim, że nasza muzyka jest na europejskim poziomie i że klej Atlas i ceramika Koło to wszystko, czego Europa potrzebuje. Lecz oprócz Europy musieliśmy

też trochę przekonywać siebie. Kto dziś jeszcze pamięta programy typu *Europa da się lubić?*


Ukraiński Złoty Graal

POPRAZ TE NIEUSTANNE PRÓBY UDOWADNIANIA, ŻE JESTEŚMY ZACHODEM, prawdopodobnie straciliśmy jedyną szansę, żeby wnieść do Europy rzeczywistego Złotego Graala, a więc: umiejętność zrozumienia Rosji. Pokazać Europie Zachodniej realność zagrożenia ze strony kraju, który po demontażu ZSRR nie miał przecież ochoty schodzić ze sceny. Kto był tutaj ekspertem? Ukraina. Oksana Zabużko w rozmowie, którą przeprowadzałam z nią w tym roku w ramach festiwalu Ypsalon w Trnawie, mówiła o potrzebie nauczania Europy „odporności na rosyjski blef”.

Gdybym więc z dzisiejszej perspektywy miała oceniać przyczyny niepowodzeń i kryzysu koncepcji Grupy Wyszehradzkiej, która, chcąc nie chcąc, przy zagadnieniu Europy Środka nasuwa mi się jako pierwsza –

choć wiem, że jest to odpowiedź instant, odpowiedź zafałszowana, bo niepełna, są przecież Bałkany, są przecież kraje nadbałtyckie, jest przecież rozumiejąca Rosję Finlandia, a nie nazywamy ich nazbyt często państwami środka – gdybym z dzisiejszej perspektywy miała jednak powiedzieć, dlaczego ta koncepcja się nie powiodła, chociaż mogła, powiedziałabym, jako osoba po studiach ukrajinoznawczych, że zrobiliśmy dla Ukrainy za mało. Skupiliśmy się na swoim miejscu w Europie, na złudnej próbie odnalezienia dialogu między

sobą, dialogu, który był pewnym mitem, nostalgicznym wyobrażeniem o byłej monarchii, jak karczmy z szyldem „c.k.”, dialogu, którego w rzeczywistości być może nigdy nie było, choć istniała polifonia języków przecież, polifonia, którą sama romantyzuję. Skupiliśmy się na kręceniu się w kółko, zamiast zadać sobie pytanie, z jaką propozycją wyjść Europie naprzeciw. Propozycją, której nie dostanie od nikogo innego.

Jak słusznie zauważa Zabużko, jedynie Ukraińcy pokazali, że są narodem absolutnie odpornym na rosyjski „blef”. A mówimy o państwie mającym za sobą tak ogromną traumę jak Wielki Głód (o którym należało milczeć przez dziesięciolecia), rozstrzelane odrodzenie, łagry. Ukraińcy w ramach swojej własnej, tworzącej się na nowo tożsamości nie międlili traum, tylko małymi krokami, najpierw rewolucją na granicę z 1990 r., potem poprzez pomarańczową rewolucję, rewolucję na Majdanie i wreszcie odpowiedzią na atak Rosji stopniowo dokonali tego, czego nie były w stanie dokonać inne kraje środka. Zintegrowali się. Przez lata, również w polskich tłumaczeniach, wychodziło mnóstwo publikacji dowodzących istnienia dwóch Ukrain, 

Pojęcie Europy Środkowej ostatni raz było nam potrzebne po rozpadzie Związku Radzieckiego. I od tego czasu niczego nowego nie wymyśliliśmy. Niczego, co posłużyłoby nam za argument o naszej rzekomej wyjątkowości

zupełnie do siebie nieprzystawalnych. Nawet intelektualiści ukraińscy, spadkobiercy fenomenu stanisławowskiego, z lubością podkreślali te różnice między cywilizowanym człowiekiem galicyjskim a nieokiełznanym, na poły zmutowanym homo sovieticusem. Mimo wszelkich inżynierii społecznych, niesprzyjających czynników zewnętrznych, a nawet wbrew swoim intelektualistom Ukraińcy potrafili jednak się skonsolidować, podczas gdy rozłam społeczeństwa w Polsce czy na Słowacji jest odczuwalny niemalże każdego dnia.

Wróćmy do koncepcji Grupy Wyszehradzkiej. Vášáryová we wspomnianym wywiadzie przyznaje, że głównym, a dzisiaj już zapomnianym zadaniem specjalnym stawianym przed grupą było usunięcie struktur militarnych ZSRR z „nowej” poszerzonej Europy. *Zrozumilo*, jak to się powie po ukraińsku. Tylko co potem? Cóż, znowu zajęliśmy się sobą. Oczywiście po zmianie systemowej wszyscy pogrążeni byliśmy w zapaści, a o demokracji wiedzieliśmy tyle, że na Słowacji przeprowadzono konkursy na ministrów, jak przeprowadza się wybory miss, o czym pisałam w książce *Ufo nad Bratysławą*. Polska poprzez swoje doświadczenia historyczne ma wyraźnie określony stosunek do Rosji, podczas gdy Słowacja według badań jest jednym z najbardziej rusofilskich krajów Europy. Nie było jednak przez lata między nami próby dialogu, próby zrozumienia, dlaczego tak jest. Polacy pytają tylko, z fałszywą troską, jak to możliwe. Jak to możliwe, że Słowacy są rusofilami? Nie znają bowiem kompletnie słowackiego kontekstu historycznego, w którym Rosja odgrywała zupełnie inną rolę niż w Polsce. To przecież Madziarzy i ambicje Królestwa Węgier, które Słowaków widziało tylko jako mieszkańców Górnych Węgier, stanowiły główną przeszkodę w tworzeniu się niezależnej słowackiej tożsamości – to nie rusyfikacja zatem, lecz madziaryzacja stała im na przeszkodzie. Oczywiście sprowadzanie słowackiego rusofilstwa tylko do kwestii madziarskiej jest uproszczeniem – mamy jeszcze kwestię awansu społecznego w czasach socjalizmu i wiele innych przyczyn – jednak pamięć o szerszym kontekście historycznym w tych zatroskanych polskich pytaniach o rusofilstwo jest tutaj kluczowa. Lata *sowieckiego zvezu* również nie wystarczyły, żeby ten obszar zatonął w ramionach fałszywego braterstwa i nauczył się czegoś o sobie nawzajem. Skupiliśmy się każdy na swojej narracji, a te nie zawsze były zbieżne.

Zaprzepaściliśmy zatem szansę bycia mediatorem pomiędzy Europą, której brakuje orientacji w tematach wschodnich, a przy tym kuszona jest konkretnymi propozycjami ze strony Rosji, i Ukrainą, która odczytuje Rosję jak nikt inny. My rozumiemy Ukrainę lepiej od Europy, a Ukraina rozumie Rosję lepiej niż my. Być może taki scenariusz przyniósłby



□ Weronika Gogola fot. Michal Majerník



nam korzyści. Lecz dzisiaj jest już za późno. Dzisiaj widzimy dobrze, że Europa woli trzymać nas w rezerwie, a Ukrainę szanuje, choć tylko z daleka. Śle jej te wszystkie obietnice, ale to przecież tylko ochłapy uwagi. Pozwala wykrwawiać się dziesiątkom tysięcy ludzi, ginących również za nich. Bo procedury pomocowe trwają niesłuchanie długo, są niesłuchanie ostrożne, a wojna toczy się w innym rytmie.

Zaprzepaściliśmy swoją szansę również na poziomie naszego *ego* – mogliśmy stać się ważnymi graczami, a nie słomianymi *chachłami* w europarlamencie, z których zachodni internet robi memy. Przede wszystkim jednak mogliśmy uchronić Ukrainę. Ktoś powie, że trudno było przekonać Zachód świeżo po skończeniu zimnej wojny do konieczności eurointegracji Ukrainy. Desowietyzacja może przebiegła sprawnie u nas, jednak w Ukrainie nie było mowy o szybkim usunięciu armii radzieckiej (rosyjskie wojska na Krymie stacjonowały przecież aż do momentu aneksji), a poza tym Ukraina w latach 90. nie była Ukrainą z dzisiaj. Nie, nie była. Nie twierdzę, że te procesy miały czy mogły zacząć się od zaraz, ale mierziło mnie zawsze, że w dyskusji o tym, kto jest bardziej europejski: Turcja czy Ukraina, dla Europy zawsze wygrywała ta pierwsza. Pora przeto zadać sobie niewygodne pytanie: kim dla Europy w obliczu wojny w Ukrainie jesteśmy my, pozostałe kraje demoludów? Jesteśmy poduszkami powietrznymi. Jeśli Rosja zaatakuje, to my przyjmemy na siebie siłę uderzeniową. Czy jesteśmy więc zasiekami Europy? Peryferiami, na których wciąż walczą ze sobą wielkie imperia? „Frontem nawet w czasie pokoju”, jak pisze w zbiorze esejów o Słowacji Ľubomír Lipták? Ziemią, na której „nawet wówczas, kiedy nikt o konflikcie zbrojnym nie słyszał: wątpliwości stanowią zdradę, ostrożność jest tchórzostwem, wahanie – pułapką, rozum – źródłem spekulacji, narzekanie – buntem” (tłum. M. Bystrzak).

Jesteśmy dla Zachodu jak ość

W BRATYSŁAWIE TRUDNO O TYM NIE MYŚLEĆ, KIEDY W PONURY, MGLISTY listopadowy dzień przechadzam się po opuszczonym i opanowanym przez dziką roślinność areale bazy rakietowej, która nigdy nie została oddana do użytku. Bo nie zdążyła. System sowiecki padł szybciej, niż zdążyła mu się przysłużyć. Dziś spacer ten przypomina tani horror klasy B albo planszę z jakiejś starej strzelanki, ciężko jednak zapomnieć o tym, że my też mieliśmy być mięsem armatnim w wielkiej wojnie ZSRR z Zachodem. Kiedy nad brzegiem Dunaju widzimy się jak co roku przy jednym z bunkrów, który jest popularnym miejscem letnich spotkań przy ognisku, ta myśl pojawia się z tyłu głowy. Kilka kilometrów do Hainburgu, 15 km od Carnuntum.

I kiedy po raz kolejny jadę na jakieś spotkanie, w którym będę w zasadzie w sposób sfinansowany rekonstruować imitację żywego zainteresowania odpowiedzią na pytanie, jakie jest znaczenie pojęcia Europa Środkowa, wszystko jedno, czy to w Ołomuńcu, Rimawskiej Sobocie, Budapeszcie czy Krakowie, znowu będę udawać, że mam nadzieję, iż znajdę niesłuchanie bystrą odpowiedź, a przecież jestem sobie tylko gdybającą pisarką. Kiedy więc po raz kolejny zostanę wezwana na scenę, żeby dywagować na ten temat, w nagrodę za wysiłek otworzę własne pytanie, podstawowe pytanie, które miałem w żarnach swojej czaszki codziennie, bo prowadzę przecież wielokulturowy dom,

zadam sobie to pytanie, odbiję się potem od niego i spróbuję zaaplikować je na całe zagadnienie, zadam sobie to proste pytanie: gdzie w tym wszystkim jestem ja? Występująca tu jako polska pisarka, mówiąca po słowacku z bratysławskim akcentem, jak mam im to powiedzieć?

Drody państwo, przepraszam państwa najmocniej, ale coś takiego jak Europa Środkowa nie istnieje. Rozumieją państwo, jesteśmy sobie tutaj my, kraje Grupy Wyszehradzkiej, nie zaprosiliśmy nikogo z Północy, a przecież z Bałtykiem nie kończy się środek Europy. A może jednak? Nie zaprosiliśmy też nikogo z Serbii czy Chorwacji, sami państwo wiedzą czemu, nie ma sensu komplikować tej dyskusji. Nie zaprosiliśmy też Słoweńców, co akurat chyba jasne, bo przecież im jako jedynym się udało, oni jako jedyni weszli do Europy, ale o tym lepiej nie mówić głośno, przepraszam. Choć oczywiście moglibyśmy zadać sobie pytanie, dlaczego Słoweńcy wyszli na tym najlepiej. Ano dlatego, że odcięli się od tego całego chłamu, za przeproszeniem. Tak, szanowni państwo, powiem państwu bez ogródek: dla tych z Zachodu będziemy zawsze *Ost*. Jak ość. Tak, *mitOst*, tak się nazywają wszystkie programy edukacyjne, mające szerzyć na naszych ziemiach – czy mogę powiedzieć „naszych ziemiach”? – nazwijmy to tak umownie, na naszych ziemiach – ducha zachodniej kultury. Programy dla młodzieży z Białorusi, Ukrainy, Słowacji, Czech i Polski, szanowni państwo, również z Polski! Dla nich będziemy *Ost*, dla nich będziemy problematyczną ością, z którą trudno się obchodzić, na którą trzeba uważać, żeby nie stanęła w gardle, żeby nie dokonała żadnej


Kręcę się
w szaleńczym
tempie, wiruję jak
bączek. Imperium
Rzymskie,
barbarzyńcy po
drugiej stronie
Dunaju, wielka
monarchia
habsburska,
państwa
byłego Związku
Radzieckiego,
wszystko to tylko
rozmyte w ruchu
kolory

niebezpiecznej przewrotki. Będą mówić Central Europe, będą nawet mówić East-Central Europe, ale z czystej kurtuazji, żeby nie niszczyć swoich poduszek powietrznych, swoich airbagów, szanowni państwo, żeby nie niszczyć airbagowych uczuć.

Nasza mentalność jest wschodnia i taka pozostanie. Jesteśmy Europą Wschodnią, dopóki nie potrafimy się zorganizować oddolnie, dopóki nie będziemy ze wszystkim wychodzić na agorę, dopóki niczym w *villa urbana* nie będziemy roztrząsać problemów otwarcie, razem. Wtedy, wtedy może będziemy mogli powiedzieć – nie jesteśmy Europą Wschodnią. Lecz nie stanie się to, dopóki będziemy potrzebować silnego przywódcy, mocarnego władcy, dyktującego nam warunki, a przecież potrzebujemy, nasze społeczeństwa, społeczeństwa, w których wyrastamy, wciąż potrzebują, a protesty na ulicach, chociaż tak liczne i imponujące, są tylko dowodem na to, że jesteśmy archipelagami, być może nieco większymi niż kiedyś, być może rozrastającymi się, ale wciąż pływającymi w morzu, które krzyczy: my chcemy wodza! my chcemy wodza! To przecież model na wskroś wschodni, nie da się temu zaprzeczyć.

Gdzie w tym wszystkim jestem ja? Przecież to nie jest tak, że opowiadanie o tym, czym jest Europa Środkowa, stało się moją rutyną, ponieważ jestem w tym temacie ekspertką. Nie. Wiem dobrze, dlaczego zapraszają właśnie mnie. Jestem najtańsza. Mieszkam najbliżej, mówię po słowacku, w związku z czym organizatorzy mogą znacznie zaoszczędzić, do jednego spotkania potrzebują tylko jednego tłumacza. Cztery osoby uczestniczące w spotkaniu, cztery perspektywy, ale tylko trzy języki i zawsze jeden tłumacz, zawsze ten sam, niezrównany pan G. Kovács László, czasem na biuletynach festiwalowych podpisywany László Kovács, w zależności od tego, gdzie odbywa się spotkanie, bo nawet kolejność zapisu nie jest u nas taka sama. Z panem Kovácsem znamy się nie od dziś, za każdym razem dzielimy się nowinkami ze swojego życia, ja pokazuję mu zdjęcia córki, on pokazuje mi zdjęcia swoich kwiatów w ogrodzie. Pan Kovács jest słowackim Węgrem, urodzonym w byłej Czechosłowacji. Tłumaczy więc z czeskiego, węgierskiego i słowackiego. Patrę na niego i myślę sobie, że jeśli szukać tego, czym tak naprawdę Europa Środkowa miałyby dla mnie być, odpowiedź znajduję właśnie w jego osobie.

Kogucik na dachu

CHOĆ PO OŚMIU LATACH ŻYCIA W KRAKOWIE MIT GALICYJSKI PRZYGNIOŁĘ mnie na tyle mocno, że wolałabym uciekać od cysorza pana, to przecież w szukaniu odpowiedzi na pytanie o środek ciężkości nie potrafię pozbyć się (pisząc te słowa, bezwiednie chciałam użyć słowackiego sformułowania *zbavit' sa*) wspomnienia o monarchii austro-węgierskiej. Tylko czy Polska w tym zakresie się mieści? Czy Polska jako całość jest przystawalna do państw takich jak Czechy, Słowacja i Węgry? Nie, nie jest. W tej szklanej kuli nie ma miejsca dla Polski. Galicja i Spisz nie są tutaj argumentem, dla większości Polaków są przecież egzotyczne, tak jak dla mnie, dziewczyny z Pogórza Ciężkowickiego, egzotyczny jest Szczecin. I czasem myślę sobie, że może w szkole też podrzucono nam wielki bluff, że może łatwiej byłoby Polsce z państwami bałtyckimi, może to jest ten środek? Kto wie... 

Przyszedłam na świat nad Dunajcem. Od urodzenia byłam przede wszystkim tutejsza. I dopiero w szkole uczyłam się patriotyzmu, rzewnego, dziecięcego. A dzisiaj, kiedy piszę „my”, łapię się na tym, że czasami nie wiem, czy myślę o Polakach, Słowakach czy o Morawiakach nawet. Prawie codziennie zadaję sobie pytanie: gdzie w tym wszystkim jestem ja? Czy chciałabym się nazywać polską pisarką? Pod tym szyldem przecież występuję. Oczywiście piszę po polsku, ale czy język jest tutaj jedyną kategorią? Zwłaszcza że ta moja polszczyzna kruszy się codziennie, deformuje, podlega wpływom, rozbija swoje struktury, wyuczony schematy. Od kilku lat przy pisaniu towarzyszy mi uczucie niepewności. Podaję w wątpliwość każde napisane zdanie. Czy tak aby powie się po polsku? Czy tak się w Polsce mówi? Nie chodzi tylko o szyk ani o leksykę, chodzi też o filozofię myślenia, chociaż raczej powinnam powiedzieć: organizację myślenia, przelot skojarzeń i metafor, bo jeśli ten przelot nasącza się językiem słowackim, automatycznie też nasącza się węgierskim, bo przecież są tutaj zespolone. I kiedy nawet myślę o Máriai, to nie myślę o nim jako o pisarzu węgierskim, tylko o pisarzu koszyckim, a więc udomawiam go. Podobnie jak Bartóka, który spacerował przecież tymi samymi ulicami Pozsony co ja. Wszystkie te przecięcia budują jakąś bryłę, którą roboczo mogłabym nazwać swoją Europą Środkową. W Bratysławie znajduję nawet tablicę upamiętniającą ukraińskiego filozofa Skovorodę, od którego przed laty pochwyliłam i wniosłam w swoje życie jedno słówko: *istyna*. A potem słyszę starą jugosłowiańską piosenkę ze słowami „*Boli me moja prazdnina, boli me moja sudbina, boli me moja istyna*”. Próbuję znaleźć jakieś polskie słowa, jednak nie mogę. Dosłownie brzmiałoby to: „Boli mnie moja pustka” (ale to nie jest wystarczające słowo), „Boli mnie mój los” (ale to nie jest wystarczające słowo), „Boli mnie moje ja” (i to też nie jest wystarczające słowo).

Zbieram więc słowa i pieśni jak krople i próbuję przyszpilić je do tej *prazdniny*, do pustki, która nie potrafi odpowiedzieć mi na pytanie, gdzie w tym wszystkim jestem ja. Najprędzej czułabym się jak kogucik na dachu, o którym pisze w swojej książce *P.S.* mój przyjaciel Jakub Juhász, kiedy opisuje słowackie południe, kiedy tuła się po Novohradzie, poszukuje chyba czegoś podobnego. Kogucik na dachu, który w zależności od tego, jak zawieje wiatr, obraca się, kręci, a potem powraca do punktu wyjścia i tylko dzięki tej chwiejności jest w stanie przetrwać wszystko. Jakub Juhász przywdziewa płaszcz poety Sándora Petőfiego, którego pomnik stoi w parku, gdzie chodzę z córką, ale popiersie tego samego poety, tak samo ważnego dla Węgrów i Słowaków, stoi również w Tarnowie, 30 km od wioski, w której przeżyłam całe dzieciństwo. Jakub Juhász, a potem w ramach eksperymentu po węgiersku, Jakub Juhász, słowacki pisarz, którego wydaje zawsze czeski wydawca, wydaje go w Czechach, ale po słowacku, z węgierskim zapisem nazwiska, Jakub przemierza mapę środka i ląduje aż w Rumunii, węszy, lecz przecież nie znajduje odpowiedzi, jest tylko kogucikiem. Zbiera dźwięki, nagrywa je i wydaje w swoim eksperymentalnym wydawnictwie mappa i kiedy spotykamy się przez przypadek w Budapeszcie, to tylko w knajpie Gólya, bo *gólya* po węgiersku znaczy bocian, a my jesteśmy blaszanymi bocianami, które przycupnęły na dachu. Jakub zbiera dźwięki ze świata

i robi z nich muzykę. Ja zbieram piosenki i słowa i przewiązuję przez nie włóczkę. Sprawdzam, jaka figura geometryczna powstanie. Jest oczywiście tak, że kiedy przebywam we Lwowie, w Bratysławie, Krakowie, Budapeszcie, Wiedniu, Belgradzie i Trieście nawet, czuję się jak w domu. Wiem, że to uczucie złudne, że to tylko architektura, która została wybudowana przez tę samą grupę mistrzów, zaplanowana przez wielkie imperium habsburskie, żebym ja, po latach, ja barbara, dodajmy, żebym po latach mogła czuć się jak w domu.

Wolę więc ufać granicom, które wytyczali tacy jak ja, tutejsi. Granicom, które wydreptali sami. Ślady, które po sobie zostawili, są różnorakie. Pokonywali imponujące odległości. Kiedy w Użhorodzie, siekając cebulę do „prawdziwego rusińskiego lecza”, mój przyjaciel, niegdyś *rusynksyj separatyst*, nauczyciel akademicki, sypiąc na skrzące się na maśle płatki cebuli suszoną madziarską paprykę, śpiewa na całe gardło *Czerwena róża trojaka*, rzucając między jedną zwrotką a drugą, że to najważniejsza w jego sercu pieśń, chociaż kolejne słowa brzmią „*mala ja muža pyjaka*” (miałam ja męża pijaka), to jednak „y” u niego nie brzmi tak jak to rusnackie „y”, rzucające jak twarda ołowiana kulka z ust w Preszowie, w którym kilka lat od wieczoru nad użhorodzkiem rusnackim leczem usłyszę tę samą pieśń, choć melodia będzie nieco inna. Dla mnie najważniejsze będzie odkrycie, że *Czerwena róża trojaka* odbyła kiedyś podróż stąd do Użhorodu, a może odwrotnie, naciągam więc włóczkę i mocno zaciskam. A kiedy w tym samym Preszowie śpiewam: „*Uastovička včas ráno*

šteboce, jasné slunko vychodí, pozri milá, do mesta Lembergu, de sa Janík prechodí” (Jaskółka szczebioce wcześniej rano, jasno słońce wschodzi, spójrz, miła, w stronę miasta Lembergu, gdzie twój Janek chodzi), naciągam nitkę ze Słowacji aż do Lwowa, wysiadam na Vokzalu, schodzę w dół ulicą Horodocką, do piwnicy w Pałacu Mystectw, gdzie próbę ma Jankiel i jego Lemko Bluegrass Band. Ćwiczą właśnie piosenkę *Bukovyno, ty zelena*, którą śpiewam w Małych Karpatach, kiedy w kwietniu wszystkie potoki się uruchamiają i w ciągu jednej nocy wybucha zieleń, bo ona zawsze wybucha z dnia na dzień. Naciągam więc włóczkę. Pinezki z pieśni i z języka. Bo w języku tych wydreptanych śladów najwięcej, śladów pomniejszych barbarzyńców, które mówią o jakiś zamierzchłych spotkaniach z tzw. maziarzami albo o zakupach w Mukaczewie. I kiedy poganiam swoją córkę, mówiąc „*šup, šup, šup, šupito*”, wiem przecież, że nie mówię po słowacku, ale po włosko-słowacku. Oczyma wyobraźni znów jestem w Trieście, gdzie kawa jest gorzka i przepalona. *Subito presto*, natychmiast, już. I przecież mieszkam w Bratysławie, ale równocześnie mieszkam w Račisdorfie, na *šinwegu* piję piwo, ale to przecież nie *šinweg*, a *schöne weg*, piękna ulica, to przecież moja ulica. Włóczki tworzą już siatkę, coraz większą siatkę, a ja wciąż powtarzam sobie, gdzie w tym wszystkim jestem ja. I czy nie jestem *mešuge*?

Oś jest we mnie

WRACAM DO DOMU LUCIUSA JAK DO bezpiecznej klamry, spaceruję po doskonale wymyślonym rzymskim mieście, 15 km od bunkrów

z II wojny światowej, gdzie mieści się arena dla gladiatorów. I zastanawiam się. Czy jestem pisarką galicyjską, skoro wolę spędzać wolne dni w Mikulovie niż w Lanckoronie? Czy jestem pisarką polską? Chociaż pinezki wysypują się na stół, wciąż przecież piszę po polsku. Jestem może pisarką austro-węgierską? Czy tak w ogóle mogę się nazywać? Dawno, dawno temu, jeszcze przed swoim debiutem, opuściwszy Pałac Mystectw we Lwowie, spotykam polskiego pisarza Szczerka i o piątej nad ranem śpiewamy *Hercegovinę*. A potem znowu spotykamy się nad Dunajem, w Bratysławie, Pozsony, Pressburgu, zwał jak zwał, z ukraińskim pisarzem Prochašką, którego nazwisko przecież nie jest ukraińskie, jest zaolziańskie, i znowu śpiewamy coś bałkańskiego, *Sa o Roma babo babo*, bo przecież jeszcze są rzymskie włóczki, porozciągane wszędzie tam, gdzie dotarli Romowie, i przeciągam nić z Zaolzia aż do Iwano-Frankiwska, gdzie urodził się Taras. Czy w pisaniu będziemy sądzeni według tego samego klucza? Czy to jest ten środek? Możemy nazywać się autorami austro-węgierskimi? A może jesteśmy pisarzami karpaccymi? Czy to właściwe określenie?

Kolejna pętka i znów Panonia. Czyje dziedzictwo jest moim dziedzictwem? Jestem tylko barbaką stawiającą *panelaki* na zgłiszczach wielkiej cywilizacji? Czy Carnuntum to też moja spuścizna?

Kiedys podobała mi się koncepcja peryferii albo oka cyklonu, miejsca zderzeń, bitew, trzaskających dziejów. Napięta cięciwa łuku karpaccy. Zawsze w gotowości. Tylko czy za każdym razem, kiedy pytamy o Europę Środkową, musimy przyjmować pewien etap dziejów i odbijać się od niego? Przecież sama to robię. Jestem jak karpacka kołomyjka. Chcę tej tożsamości i nie chcę. Kręcę się w szaleńczym tempie, wiruję jak *dzyga*, czyli nakręcany ręcznie bączek. Każdy z punktów odniesienia jest tylko rozwibrowanym kolorem. Imperium Rzymskie, barbarzyńcy po drugiej stronie Dunaju, wielka monarchia habsburska, państwa byłego Związku Radzieckiego, wszystko to tylko rozmyte w ruchu kolory. Oś jest wszędzie tam, gdzie się kręcę. Oś jest we mnie.

Chciałabym przede wszystkim czuć się ekstatyczną, pozbawioną siły odśrodkowej *dzygą*. A czy chciałabym zgrabnie odpowiedzieć na pytanie, gdzie dzisiaj jest Europa Środkowa, jeśli jest? Chyba już nie potrzebuję. Kołomyjka to niebezpieczny taniec. — z

Weronika Gogola

Pisarka, autorka książek *Po trochu* (2017), za którą otrzymała Nagrodę Conrada, oraz *Ufo nad Bratysławą* (2021). Mieszka w Bratysławie

Fikcja jest większa od prawdy

OLGA TOKARCZUK

*Dziś wszyscy tęsknimy do jakiegoś innego
spojrzenia, czułego, szerokiego i ocalającego.
Spojrzeń, które umiałoby na nowo ożywić świat
i drzemiące w nim nieopisane jeszcze siły, być może
tajemnicze, które pozwolą otworzyć się naszej
świadomości na całość i na jedność*

**Tekst stanowi skrócony wstęp
do nowego wydania *Ziemi Ulro*
Czesława Miłosza,
które ukáže się wkrótce
nakładem Znak**

KIEDY WRÓCIŁAM DO *ZIEMI Ulro* po prawie 40 latach od pierwszej lektury, nie sądziłam, że będzie ona tak samo fascynująca i wciągająca, jak była niegdyś. Po raz pierwszy czytałam eseje Czesława Miłosza pod koniec lat 80. w wydaniu paryskiej „Kultury” i był to czas, kiedy większość czytających ludzi w Polsce, w tym ja, potrzebowała swobodnego oddechu, szerszych horyzontów i barwnych intelektualnych wyzwania. *Ziemia Ulro* spełniała te oczekiwania, wieściła jakąś niesprecyzowaną do końca tajemnicę, obietnicę świata pełnego nieoczywistych znaków, uświadamiała, że nasza prząsna, szara rzeczywistość buzuje od ukrytych znaczeń.

Ten swobodny, niewymuszony esej, pisany językiem prawie potocznym i zupełnie bezpretensjonalnym, buduje między czytelniczką a autorem swego rodzaju intelektualną poufałość. Miłosz pisze szczerze, wprost, nie komplikuje toku swojego rozumowania. Można odnieść wrażenie, że siedzi się z nim nad kubkiem kawy gdzieś w stołówce uniwersyteckiej, a on się nam zwierza z natrętnych myśli, które – jak to często podkreśla – w niekomfortowy sposób nie przystają do jego świadomego, jawnie wyrażanego światopoglądu. Możemy sobie wyobrazić, że nachyla się do nas nieznacznie i odwołuje do swego katolicyzmu,

i mówi, że postrzega ten system wierzeń jako coś, co swoją mocą ochroniło go wiele razy w trudnych chwilach – gdy cierpiał, gdy tracił pewność siebie, gdy czuł się zagubiony.

Jednocześnie w tym pełnym różnorodnych nawiązań tekście, rysującym mapy relacji z innymi pisarzami, lekturami, filozofiami, rozważania te stają się swoistym fundamentem jego własnej autobiografii. Bo jakże można nie uwzględnić w historii swojego życia zarówno tego, w co się wierzyło i co fascynowało, jak i tego, co powodowało intelektualny i psychologiczny kłopot?

Gawędziarsko-osobisty tekst, pełen niespodziewanej szczerości, sprawia, że ufnie podąża się za autorem w niezbyt cenione w Polsce obszary „mętnych mistycyzmów”, jak mawiamy o tym, co wstydliwie nie przystaje do prostej i niewymyślnej katolickiej religijności – z jednej strony – czy do niepoddawanego zbytniej autoanalizie pragmatycznego ateizmu – z drugiej. I sam autor jakby dziwi się, że wędruje tymi nieutartymi szlakami, zajmując się tym, co jest niezbyt zrozumiałe, dziwne, ekscentryczne. „Pseudoreligia i pseudomistycyzm” – tak je nazywa autokrytycznie sam Miłosz niepomny, że gdy wybierze się odpowiedni punkt widzenia, każda religia może być pseudoreligią, a każda mistyka pseudomistyką.

Dokąd z nim idziemy? Czego szuka wielki poeta, wiele razy podkreślający swój katolicki fundament intelektualny i psychologiczny? Ku czemu zmierza ten, który chętnie zaznacza swoją odporność na „wszelkie pseudo w rodzaju plastikowego buddyzmu, Gurdżijewa, alchemię i tym podobne”? Który snuje swoje dygresyjne, pełne pytań, niepewne wyznanie wiary, przywołując nazwiska znaczących dla siebie autorów – od Dostojewskiego i Mickiewicza, poprzez Swedenborga, Becketta i Gombrowicza aż po – oczywiście – Blake’a.

Pod władzą Rozumu

ZACZNIJMY OD ULRO. BLAKE’OWSKIE ULRO TO KRAINA URIZENA, JEDNEGO z czterech władców świata.

W poetyckiej, mistycyzującej, przywołującej na myśl mitologiczne systemy ontologiczne czy nawet kosmologiczne wizji Blake’a świat urządzany jest codziennie przez cztery potężne siły, których kruchy porządek i równowaga muszą być utrzymywane, żeby zachować harmonię.

Na Zachodzie mamy więc Tharmasa, który odpowiada Percepcji, Ciału, Wodzie, Morzu Czasu i Przestrzeni, Dotykowi, Malarstwu i Lędzwiom. Na Wschodzie rządzi Luvah, odpowiadająca m.in. za Uczuciowość, Ogień, Srebro, Tkactwo, Serce i Muzykę.

Ta pierwsza dopełniająca się para przeciwieństw odnosi się do drugiej pary usadowionej na osi Północ–Południe. Na Północy mamy

PRZEBŁYSKI



il. z cyklu Slavic Gods & Demons. Patrycja. Podkościełny

więc Urthone, która uosabia Twórczą Wyobraźnię i Intuicję. Odnosi się do Ziemi, Metalu – żelaza, Kowalstwa Podświadomości, Słuchu i Poezji, gdy tymczasem władca południowy, wspomniany Urizen, jest wcieleniem Rozumu, Powietrza, Złota, Głowy, Wzroku i Architektury.

Blake twierdzi, że w naszym świecie nastąpiła nierównowaga tych sił i władzę nad całą tetrasomią przejął Urizen, Rozum. To on spowodował odarcie świata z tajemnicy i głębi. Zmienił ludzi w okrutników z przerosniętym *ego*, które prowadzi ich do nieczułości i ograniczenia umysłowego.

Miłosz rozumie Ulro jako „kraj duchowych cierpień, jakie musi znosić człowiek okaleczony”. To miejsce podobne piekłu, opanowane przez naukę i teologię. Świat systemów, które duszą życie i rzeczywistość, zamieniając wszystko w martwe prawa. To, co pojedyncze, indywidualne, zostaje stłamszone przez ogólność (naukową, religijną, polityczną, ekonomiczną czy estetyczną). Krajem tę zamieszkują okaleczeni, nieszczęśliwi (choć czasem nieświadomi nieszczęścia) ludzie. Ofiary własnej pychy, wierzące, że ich rozumy, wiedza i możliwości techniczne dają im nieograniczoną władzę nad światem, że są czymś wyjątkowym, a przez to bezkarnym. Wiodą ułomne, iluzoryczne życie, pozbawione głębszych przeżyć, oddzielone od świata i od

siebie, samotne. Wsparte na instytucjach, które stworzyły, nie są zdolne do indywidualnego, spontanicznego ruchu, prowadzą życie nudne i właściwie bez znaczenia.

Dla Blake'a Ulro jest także fałszywym prawodawstwem, jakie przypisuje sobie arogancko nowo powstająca w jego czasach nauka, terroryzująca nieoczywiste obiektywizmem, spychająca na peryferie i wyganiająca do lasu wszelką subiektywność, numinotyczną nieogarnialność świata, jego magię i niepoznawalność dla ludzkiego umysłu. Mieszkają w Ulro wszyscy zwolennicy fizyki Newtona i filozofowie, i pisarze, i poeci, i wszyscy ich następcy w XIX w. A to dlatego, że Urizen jako władca Rozumu rządzi jedną z czterech „mocy” organizujących świat.

Ulro dziś

MYŚLĘ, ŻE DZIŚ BLAKE NIE PIEKLIŁBY SIĘ TAK MOCNO NA WSPÓŁCZESNĄ nam naukę. XXI-wieczna nauka istotnie się różni od tej XVII-wiecznej, aroganckiej niby nastolatek, który myśli, że zjadł wszystkie rozumy. Odwiedziłby Wielki Zderzacz Hadronów w Genewie i z fascynacją obserwował



Każdy z nas rozpięty jest między dwoma biegunami. Ustalanie własnego światopoglądu, balansowanie między tym, co uspokaja, daje siłę, co niesie poczucie bezpieczeństwa, a tym, co pociąga, czego się pragnie, co fascynuje i napawa grozą, zajmuje nam całe życie

Myślę, że dziś Blake nie piekliłby się tak mocno na współczesną naukę. XXI-wieczna nauka istotnie się różni od tej XVII-wiecznej, aroganckiej niby nastolatek, który myśli, że zjadł wszystkie rozumy

w sieci podróżnika Jamesa Webba, ów wielki mikroskop, który wystawił głowę poza ziemski horyzont. Sądzę też, że przestałby krytykować fizyków, bo przecież współczesna fizyka raczej rozmontowuje stary system przekonań i uświadamia nam, jak mało wiemy, stawiając pytania o możliwości ludzkiego poznania.

XVIII-wieczna koncepcja Ulro zmieniłaby się zapewne w szczegółach, lecz sama idea pozostałaby ta sama. Życ w Ulro to myśleć czarno-biało, literalnie, podporządkowując się algorytmom wyszukiwarek internetowych. Korzystać z przygotowanych ulubionych zestawów dań intelektualnych w taki sposób, żebyśmy pozostali niesamodzielnymi i zadowolili się tym, do czego jesteśmy przekonani, porzucili zaś to, co nie mieści nam się w głowie. Życ w Ulro to sprzedawać się korporacji (czy to będzie uniwersytet, giełda czy stronnictwo w parlamencie) za doraźne korzyści i mentalnie podporządkować jej merkantylnym celom. Życ w Ulro dziś to zaprzeczać sobie w banalnych aktach hipokryzji, to podporządkować się silniejszym albo podporządkować sobie słabszym, budując hierarchie. To stosować różnorodne manipulacje, to używać kłamstwa dla politycznych korzyści. Ulro to życie pod dyktando wielkiego rozrośniętego *ego* (Swedenborg, wyprzedzając czas, nazywał je *spectre* – widmo). Życ w Ulro to pozostawać obojętnym na cierpienie ludzi i innych żywych istot (dla Blake'a nieczułość na cierpienie zwierząt była jedną z najbardziej definiujących i zarazem wstrząsających cech Ulro). Życ w Ulro to postrzegać świat poprzez statystykę, a więc przez pryzmat wzorów i tabel, wykresów i symulacji, gdzie ginie pojedynczy człowiek, a świat widziany jest przez prymitywny filtr nałożony na skomplikowaną i wieloaspektową rzeczywistość.

Blake cenił niezwykle pojedynczość, indywidualność i przeciwstawiał ją ogólności. W tym sensie był artystą romantycznym. Napięcie między tym, co pojedyncze, szczegółowe, a tym, co ogólne, była dla niego kolejnym frontem walki. Dziś Blake włączyłby raczej do charakterystyk Ulro media społecznościowe, zwłaszcza za ich toporne formatowanie naszych umysłów. Ziemia Ulro w 2024 r. byłaby dla Blake'a zniszczoną Ukrainą i koszmarem wojny. Z pewnością uobecniłby Putina jako złowieszczego archonta.

I byłoby to wspólne z tym, jak metaforę Ulro rozumie Miłosz, gdy dzieli się niepokojem o to, czym stał się świat, co poszło nie tak w jego rozwoju. Bliskie jest mu myślenie, że to przeszłość jest naszą utraconą praw-

dziwą ojczyzną, a teraźniejszość – czasem po upadku – Ziemią Ulro. Przyszłość będzie czasem odnowy – owszem, radykalnej, rewolucyjnej, ale nawiązującej do przeszłości.

Urodzony na początku XX w. Miłosz wierzył katastroficznym, że żyjemy w czasach coraz bardziej widocznego i postępującego rozpadu. Z nostalgią – jak my wszyscy – patrzył na XIX i początek XX w., zanim I wojna światowa nie zdezawuowała naszej iluzji, zaś II wojna i czas po niej podważyły moralne podstawy świata, który stworzyliśmy. Iluzja okazała się pełna ukrytej przemocy – wobec innych i słabszych, kobiet, zwierząt i przyrody. Jednocześnie nadszedł czas upadku tradycyjnych wartości religijnych. W wielu przypadkach okazało się, że aktywnie wspierały i usprawiedliwiały one przemoc.

Miłosz śledzi te procesy z niechęcią. Nieświadomie lub świadomie posługuje się tym samym argumentem, którym do dziś (szczególnie dziś!) posługuje się osłabiony Kościół katolicki: „Tam, gdzie jest duchowa pustka, tam bardzo szybko wkracza współczesny świat, który pod przykrywką dobra wprowadza w nas zło” (przekładowa współczesna homilia księdza w sprawie Halloween 2023)

Jest to zarazem stanowisko wielu intelektualistów katolickich, przestrzegających nas przed pochopnym porzuceniem *stricte* religijnych wartości w buncie przeciwko autorytaryzmowi, mizoginii, nadużyciom seksualnym w Kościele, jego skostniałości i powierzchowności. Tak, mówią, może to nie jest doskonałe, ale JEST. Gdy nie będzie nic, zapanuje duchowa pustka i zacznie się apokalipsa.

Nie przeciwstawiać fikcji prawdzie

POKUSOM TEGO RODZAJU DAJE Miłosz wyraz niejednokrotnie w *Ziemi Ulro*. Kusi Miłosza proste przedzierzgnięcie się w tradycyjnego katolika i poszukiwanie tam, i odnalezienie jakiegoś projektu ocalającego. Lecz jednocześnie jego poetycka natura nie zgadza się na ten jednoznaczny, zamykający gest. To dlatego nieustannie pociągają go peryferia, manowce, ekscentryczny *fringe*, gdzie wyobraźnia ma swoje manufaktury, gdzie twórcze umysły spełniają się w tkaniu najbardziej nieprawdopodobnych szalonych wzorów, gdzie nie obowiązuje żadna duchowa dyscyplina. Jednocześnie wymagania rzeczywistości trzymają nas w ryzach. Wszyscy boimy się posądzenia o głupotę,

zabobon, prymitywizm, wariactwo i za wszelką cenę chcemy pozostać w jasnym centrum kultury.

Czy więc nie chodzi Miłoszowi o dowartościowanie jakiejś przestrzeni pomiędzy skodyfikowanymi prawdami, gdzie urzęduje nasza racjonalność, a kompletnym szaleństwem i rozprzęgnięciem, czy nie idzie tu o jakiś rodzaj platońskiej metaksy, stanu umysłu, gdzie prawda jawi się i migocze przesłonięta bogactwem symboli, analogii, metafor? Gdzie umysł ludzki pracuje na całych swoich obrotach, nie bojąc się wykoleić na manowce fantazji.

Zwróćmy uwagę, że kiedyś nie mówiło się „fikcja”, mówiło się „fantazja” – i to drugie pojęcie pozostawało w dość swobodnej i miękkiej opozycji do „prawdy”. Nikt nie oskarżał „fantazji”, że nie jest prawdą.

Niestety, ludzie powoli tracą rozumienie fikcji jako wielowymiarowej wizji, która odnosi się do prawdy w sposób nieoczywisty i różnorodny. Dzięki temu jest życiodajnym środowiskiem psychicznym obfitym w mity, narracje, humor, paradoksy. Zawdzięczamy jej strzępki wspólnej, gatunkowej pamięci, rezerwar niejasnych cieni z przeszłości, katalog lęków. Jest zbiorem milionów pojedynczych doświadczeń uporządkowanych jednak raczej w modelu rhizomy niż biblioteki. Fikcji więc nigdy nie wolno przeciwstawiać prawdzie. Przeciwnością prawdy jest fałsz. Fikcja jest bowiem od prawdy większa. Może się prawdą żywić, może ją w sobie zawrzeć. Trudno sobie natomiast wyobrazić odwrotną sytuację.

Mogłabym więc nawet powiedzieć, że fikcja jest jakimś ogólnie sprawdzonym, poważanym, społecznie uzgodnionym, powszechnie przyjętym i przetestowanym w działaniu rodzajem prawdy.

Dziś to, o co kruszyli kopie Blake i Swedenborg, a także Oskar Miłosz, a pewnie i Mickiewicz, można by nazwać walką o miejsce fikcji, fantazji, metafory w świecie ustalonej prawdy. Czy nie to właśnie tak trapi i jednocześnie fascynuje Miłosza?

To, co jest i nie jest

PAMIĘTAM, ŻE KIEDY NA SŁONECZNYM TARASIE CZYTAŁAM PO RAZ PIERWSZY Swedenborga wydanego niemal w tym samym czasie co moja pierwsza powieść, nieustannie pytałam siebie z niepokojem i może nawet oburzeniem: jak mam to rozumieć, czy te niemożliwe światy opisywane przez Szweda istnieją, czy nie istnieją, są czy nie są? Czy Swedenborg wierzy

PRZEBŁYSKI

w to, co opowiada? I co znaczy wierzyć? Czy metafora jest innym językiem, tajemniczym kodem, który odnosi się do innej rzeczywistości, czy może jedynie inną perspektywą spojrzenia na naszą rzeczywistość? Czy taka literatura może mieć status „jakiejś prawdy” i jak mam się wobec tego do niej odnosić? Czy wewnętrzna spójność fantastycznego systemu nie niesie jakiegoś niepokoju, skoro inne, te realistyczne, są takie niespójne?

Dzisiaj mogę sobie samej odpowiedzieć z dojrzałym przekonaniem: „Nie trzeba się martwić, młoda Olgo. To jednocześnie jest i nie jest”.

Nie musimy wybierać, poparłby mnie Czesław Miłosz. Ludzki umysł jest na tyle pojemny, że potrafi operować oboma tymi trybami, nazwijmy je: trybem dziennym i nocnym. Mogą się one wzajemnie dopełniać, rezonować w naszych głowach, tocząc zacięte dyskusje, nacierając na siebie z impetem, a potem wycofując się z pokorą i uznaniem dla drugiej strony.


W tym miejscu warto jest przywołać ten jungowski termin, bez którego trudne byłoby poruszanie się w przestrzeni, gdzie rozgrywa się odwieczny mecz między tym, co rzeczywiste, i tym nierzeczywistym.

W teorii Junga „rzeczywistość psychiczna” jest fazą pośrednią między fizycznym światem danych zmysłowych z jednej strony a duchowym światem myśli i poznania – z drugiej.

Rzeczywistość psychiczna wydaje się realna dla osoby, która jej doświadcza i nie ma poczucia, że może to nie być prawdziwe. Ktoś, kto widzi ducha i rozmawia z nim, jest przekonany, że dzieje się to naprawdę. Ba, może nawet zmienić swoje życie kierowany poleceniami ducha. Jeżeli rzeczywiste jest to, co wywiera wpływ na realny, materialny świat, to należy temu duchowi przyznać jakiś status ontologiczny. Tak samo jak lękom i obawom (a może i złym snom), które powodują zawirowania na giełdzie i w ten sposób zmieniają rzeczywistość.

Po stronie Miłosza

ZIEMIA ULRO CZESŁAWA MIŁOSZA JEST NIEZWYKLE SZCZERYM I ODWAŻNYM dowodem wahania się każdego twórczego umysłu w obliczu nieskończonej skomplikowanej rzeczywistości. Po której stronie stanąć, jaką perspektywę przyjąć? Część naszego światopoglądu bierze się z posiadanej wiedzy i inteligencji, część wdrukowana jest z kultury, w której żyjemy, ale istnieją też pewne indywidualne skłonności. Na czym oparte? Nie wiem. Szukamy dla siebie miejsca, zwłaszcza w czasach, gdy nasza wyobraźnia i wiedza przestały ogarniać odkrycia nauki i ogromną ilość nowej wiedzy. To wahanie się jest luksusem i dotyczy tylko umysłów otwartych i nieustannie kontestujących. Mamy wprowadzić do wyboru zestaw prawd ogólnych, które łatwo mogłyby nas zadowolić – z jednej strony religie, które dostarczają często bardzo lekkostrawnej diety opartej na wierze w dogmaty, z drugiej strony poglądy filozoficzne i etyczne. (Choć współczesna filozofia już dawno i chętnie pozbyła się tego ontologicznego pola „jak jest”).

Każdy z nas rozpięty jest między tymi dwoma biegunami. Ustalanie własnego światopoglądu, balansowanie między tym, co uspokaja, daje siłę, co niesie poczucie bezpieczeństwa, a tym, co pociąga, czego się pragnie, co fascynuje i napawa grozą, zajmuje nam całe życie. 

Fikcji nigdy nie wolno przeciwstawiać prawdzie. Przeciwnością prawdy jest fałsz. Fikcja jest od prawdy większa. Może się prawdą żywić, może ją w sobie zawrzeć

Il. z cyklu Slavic Gods & Demons Patrycja Prokociszewna



PRZEBŁYSKI

Miłosz wydaje się robić krok w przód i zaraz krok w tył. Jakby stał na krawędzi światów. Z jednej strony podkreśla swój związek z katolicyzmem i często atakuje laicki humanizm „zjadany od wewnątrz przez swoją pustkę”, który korzy się wobec nosicieli rewolucyjnych haseł. Z drugiej – męczy go „ugryzienie” gnostyckie i tropi alternatywne porządki świata. Jako katolik jest Miłosz przeciwnikiem teorii przypadku, argumentując, że jeżeli człowiek powstał z przypadku, to jest obcy Wszechświatowi. A obcy najbardziej jest przez swój wyjątkowy umysł. Ten antropocentryzm oczywisty jeszcze 100 lat temu dziś wydaje się bardzo anachroniczny. Lecz Miłosz jest typem o przenikliwej metafizycznej umysłowości. Nie wystarczy mu prosty polski katolicyzm. W polskiej kulturze rejony herezji i mistycyzmu nie są silnie reprezentowane. Podobnie jak skłonność do głębszej debaty teologicznej. Rodzima wiara jest przystępna, uczciwa, z pewnością nie przeintelektualizowana. Wiara, jaka jest, każdy widzi, można by powiedzieć.

Dziś wszyscy tęsknimy do jakiegoś innego spojrzenia, czułego, szerokiego i ocalającego na to, co nas otacza. Spojrzenia, które umiałoby na nowo ożywić świat i drzemiące w nim nieopisane jeszcze siły, być może tajemnicze, które pozwolą otworzyć się naszej świadomości na całość i na jedność.

Ziemia Ulro jest mocnym głosem za fikcją i poezją, a przeciwko wszelkiemu literalizmowi.

Kto dziś ma odwagę tworzyć światy, obdarzać je mocami i ich wektorami tłumaczyć ludzką rzeczywistość? Z pewnością twórcy gier komputerowych, komiksów i ci, którzy piszą poezję i fikcję.


Stajemy więc po stronie Blake’a i Swedenborga, i po stronie Miłosza, ponieważ oddajemy rzeczywistość nauce, lecz sami wydeptujemy jej peryferyjne terytoria, w które nauka nie chce (nie może, nie potrafi) się zapędzić, a które są naszą wspólną rzeczywistością psychiczną.

Jeżeli stajemy po stronie Blake’a i Swedenborga, to nie dlatego, że mierzi nas rzeczywistość. Raczej z tej przyczyny, iż głęboko czujemy, że rzeczywistość to nie wszystko i w naszej ludzkiej proveniencji jest także coś, co zakorzenia nas w tym, co rzeczywiste nie jest. W oceanie możliwości, obrazów, przeczuc i pamięci, które nie należą do nikogo, ale są własnością wszystkich. Jest to świat znaków, które odsyłają same do siebie, przestrzeń zapętlonych interpretacji, symboli, których nie da się wytłumaczyć słowami, ale które dają do myślenia.

Stąd bierze się nasza pobłażliwość dla czasem naiwnych form, jakie przyjmują te niemożliwe byty, do tych swedenborgianskich aniołów, do mitologicznych postaci z rozpasanej krainy wyobraźni Blake’a.

Istnieje wiele światów pomiędzy zrytualizowanymi religiami a naukowymi laboratoriami. Ograniczenie do prostego rozróżnienia szkielek i oka już nas nie zadowala.

My, ludzkie molekuły, poruszamy się w wielu częstotliwościach, żyjąc, używamy wielu trybów. Nie da się przeżyć i opowiedzieć świata tylko realistycznie.

Życie nie wystarczy. Dlatego istnieje literatura – tymi słowami Mario Vargasa Llosy kłaniam się wahaniu się Miłosza. — 

Olga Tokarczuk

Pisarka, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie literatury w 2018 r.

Okruszki

Jak pokochałam koreańskie seriale

To fascynujący świat, w realnym życiu nie zawsze tak kolorowy, jak by się chciało

Do pewnego momentu w moim życiu chciałam czytać i oglądać treści ambitne, wzbogacające, mądre, często trudne w odbiorze. Lubiłam się tym zmęczyć, poruszyć czułe struny w sercu. Mieć później o czym myśleć, dyskutować zawzięcie i przedstawiać swój punkt widzenia.

Aż przyszła pandemia, a z nią bezradność i chęć ucieczki w jakiś bezpieczny kąt, z kocem, którym można się otulić, w emocje, które ukoją i pozwolą na chwilę wytchnienia.

Podobno kto szuka, ten znajdzie. Nie wiedziałam wówczas, że ten mały kąt rozrośnie się niebawem w całkiem spory pokój, a ja znajdę nową pasję.

Zaczęło się od obejrzenia koreańskiego serialu (*Stranger*, reż. Kim Suk-won). Przez pierwszy odcinek trudno było mi przebrnąć, bo obcy (i dziwny!) język, bo twarze bohaterów niełatwo odróżnić, bo sposób filmowania i pokazywania obrazów tak odmienny od tego, co znałam do tej pory. Lecz z każdym kolejnym odcinkiem coraz bardziej czułam, jak odpoczywam, jak odrywam się od rzeczywistości. O ile wcześniej lubiłam filmy i postaci, z którymi mogłam się utożsamiać, o tyle tym razem było dokładnie na odwrót. Trochę tak, jakby człowiek wkraczał w inny wymiar, w jakieś nierealne historie. Spodobało mi się.

Powoli uczyłam się rozpoznawać twarze, odkrywać ulubionych aktorów. Jednak przede wszystkim chciałam wiedzieć więcej na temat kultury koreańskiej. Wiedzieć, żeby zrozumieć symbole, zachowania i postępowanie czasem zupełnie nieakceptowalne z naszego europejskiego punktu widzenia. Zaczęłam więc czytać o historii (dawniej i współczesnej) Korei, sięgnęłam po literaturę, kulinarię, muzykę. To wszystko działało się jednocześnie. Do tego zapisałam się na lekcje języka. Chciałam spróbować. Nastawiałam się na to, że będzie trudno, ale stwierdziłam, że nawet jeśli nauczę się tylko koreańskiego alfabetu *hanguł*, to i tak będzie warto. I kiedy wszyscy szli na plażę, ja powtarzałam materiał do egzaminu.

Myślę, że nauka nowych rzeczy zawsze otwiera głowę. Niezależnie od tego, czy ma się lat 10 czy 60, wchodzenie na nieznaną tereny i odkrywanie zupełnie świeżej pasji sprawia, że chce się żyć. Dla mnie taką *terra incognita* okazała się Korea Południowa. Wpadłam na *hallyu* (koreańską falę) i płynę z nią, nie tylko oglądając seriale.



Eliza Mórawska-Kmita

Blogerka od 2006 r., tworzy whiteplate.com. Autorka książek kulinarnych, mikończka Azji i domowego wypieku chleba. Warszawianka mieszkająca od niedawna w Poznaniu. Mama trzech córek

Bo jeśli o nie chodzi, są to długie, często godzinne albo ponadgodzinne odcinki, których jest zwykle ok. 16. A w nich (prawie) każdy znajdzie coś dla siebie. Podczas gdy filmy sensacyjne bywają dość brutalne i krwawe (*G.P.*, *My Name*), seriale obyczajowe (*My Mister*, *Something in the Rain*) pozwalają przyjrzeć się tradycjom – widzimy szacunek do starszych (lub starszych stażem) i jego konsekwencje, konflikty rodzinne, codzienne przyzwyczajenia, kuchnię i koreańskie potrawy. Jeśli chcemy zapomnieć o całym świecie, polecam filmy romantyczne (*Chocolate*, *Crash Landing on You*, *Nevertheless*), często tak oderwane od rzeczywistości, że człowiek ma wrażenie, iż ma znowu 12 lat i ogląda bajkę dla dzieci. Pozytywni bohaterowie są w nich piękni, negatywni niezbyt urodziwi, dobro prawie zawsze zwycięża zło. Opowieści o mikońcu, o którą trzeba zawzięcie walczyć, pokonując kolejne przeszkody, to oprócz koreańskich seriali historycznych (*Mr. Sunshine*) mój ulubiony rodzaj rozrywki.

Występujący tam aktorzy są zawsze kierunkowo wykształceni i grają naprawdę znakomicie – w jednym tytule ich nienawidzisz, a w kolejnym kochasz. Mamy tam amantów, policjantów, urzędników, *ajummy* (panie w średnim wieku), *femme fatale* o twarzach anioła itd. To fascynujący świat, w realnym życiu nie zawsze tak kolorowy, jak by się chciało. Koreańscy aktorzy jako osoby publiczne muszą być nieskazitelni, bo inaczej szybko mogą stać się ofiarami powszechnego ostracyzmu, z którym wiąże się nie tylko utrata sympatii widzów, ale też kontraktów na następne seriale i kampanie reklamowe. A rezygnacja z nich to z kolei zarówno strata przyszłej pensji, jak i kary finansowe.

Przyznam szczerze, że zwykle zajmuje mi chwilę przypomnienie sobie tytułów koreańskich seriali. I nie tyle chodzi o ich liczbę (dość pokaźną), ile o pewne... oderwanie od rzeczywistości i nietypową fabułę. Jeśli chcecie od czegoś zacząć, to przedstawiam moje typy na początek:

Crash Landing on You
Something in the Rain
Chocolate
Nevertheless
Stranger
Pachinko — **Z**



George Steiner w swoim domu w Cambridge, 2005 r.
fot. Peter Marlow/Magnum/Forum

Idee

Listonosz i lektor

George Steiner postrzegał swoją pracę eseisty, krytyka literackiego, wykładowcy akademickiego jako pracę listonosza. Jego zadaniem było dotrzeć do czytelników z dziełem literackim, pomóc je zrozumieć i zinterpretować.

Steinera wyróżniała skala jego „pocztowej działalności”. Pisał wnikliwie o języku i przekładzie, myśli klasycznej i literaturze współczesnej, filozofii i teologii. Mówił, że nie ma języka ojczystego, bo od dziecka posługiwał się niemieckim, francuskim i angielskim. Czuł się związany z żydowską tożsamością rodziców, którzy uciekli przed Hitlerem z Wiednia do Paryża, potem zaś do USA, a przede wszystkim z „ideą Europy”. Niedawne wydanie po polsku *Śmierci tragedii* zachęca do ponownego przyjrzenia się jego poszukiwaniom.

Czy wiara w transcendencję sprzyja powstawaniu wielkich dzieł? Dlaczego w nowoczesnym świecie zniknęła tragedia? Czy sztuka usprawiedliwia człowieka z czynienia zła?

Odpowiadają:

George Steiner i Stefan Klemczak

s. 56–72

„Bóg” to jeszcze nie teraz

GEORGE STEINER

Pewny jestem jednego: jeśli pytanie o istnienie lub nieistnienie Boga osunie się w banał, jeśli zostanie odpompowane ze społecznej i jednostkowej świadomości niczym mętna woda, wówczas zmieni się całe nasze dziedzictwo myśli i sztuki

ZWYKLE KIEDY OPOWIADAM O ZAGADKOWEJ I GORZKIEJ HISTORII judaizmu, uciekam się do zwrotu „bliskość z Bogiem”. Jakie znaczenie może przypisywać tym słowom dorosła i racjonalna osoba u schyłku tysiąclecia? Czy mogą mieć inny sens niż ten metaforyczny, narracyjny lub konwencjonalnie wspomnieniowy (historyczny) i czy, co gorsza, da się je poddać poważnej analizie? Postawa ateistyczna ma za sobą solidne argumenty. Stoicka trzeźwość i przytomne żądanie dowodów, które się z nią wiążą, zasługują na szacunek.

Wobec cierpienia

JAK ZAWSZE SEDNEM PROBLEMU JEST TEODYCEA. JEŚLI BÓG ISTNIEJE, TO dlaczego godzi się na rażącą niesprawiedliwość i okropieństwa ludz-

kiego losu? Może jest złośliwym tyranem torturującym, poniżającym, głodzącym i zabijającym mężczyzn, kobiety i dzieci „jako chłopce muchy” (tłum. W. Dzieduszycki). A może raczej bóstwem o ograniczonej lub wyczerpanej potędze. Choć idea ułomnego lub bezsilnego Boga przenika moje dzieła literackie, to sama w sobie graniczy z absurdem. Od wieków próby „wyłożenia ludziom spraw bożych” sięgały po okrutny paradoks wolności. Mężczyznom i kobietom dano wolność wyboru i działania, a to pozwala także wyrządzać innym i sobie samym zło. Bo i jak inaczej miałyby istnieć zasługi czy odpowiedzialność? Powstały legendy o zadoścuczynieniu: za niesprawiedliwe cierpienia przyznaje się w nich wieczne nagrody. Jednak żadna z trzech powyższych narracji – ani diaboliczna, ani bezsilna, ani zadoścuczyniająca – nie odwołuje się do rozumu. Każda na swój sposób obraża inteligencję i poczucie moralności. Pytanie i odpowiedź zadane podczas tortur i powieszenia głodującego dziecka w Auschwitz („Gdzie jest teraz Bóg?”, „Bóg jest tym dzieckiem”) jest z kolei mniej lub bardziej mdlącą dawką antropomorficznego patosu.

Argument z krzyża, doktryna o odkupieniu przez ofiarę i zamianie kozła ofiarnego z człowieka – Abraham i Izaak – na chrześcijańskiego Boga Ojca i jego jednorodzonego Syna może przekonać tylko przekonanych. Dziwne jest i to, że ta argumentacja – poza wybranym Zachodem – była niedostępna dla większej części upadłej ludzkości. Żaden przypadek nadprzyrodzonego objawienia czy interwencji, żadna wiadomość ze świata przekraczającego śmiertelność nie okazały się nigdy, w żadnym opartym na dowodach badaniu empirycznym lub logicznym, niczym więcej jak tylko wytworem ludzkiej wyobraźni lub dyskursu. Sprawa jest równie stara co presokratyk Ksenofanes: gdyby było przyjmowało istnienie boga (może i przyjmuje), ów bóg miałby rogi i kopyta. Ten sam pogląd z zimnym okrucieństwem rozumu powtarza Hobbes w *Lewiatanie* (I, 12): „Za bogów uważano mężczyzn, kobiety, ptaka, krokodyla, cielę, psa, węża, cebulę, pory” (tłum. Cz. Znamierowski).

Powody takich rozrzuconych fantazji nie są bynajmniej tajemnicze. W ludzkiej psychice nie brak miejsca na infantylizm, irracjonalizm, napady lęku i wstrząsy poczucia winy. Miliony mieszkańców naukowo-technologicznego Zachodu kierują się w codziennym życiu wskazówkami astrologii. Trzynastego dnia miesiąca nie wstawaj z łóżka bez drobnego egzorcyzmu. Traktuj czarne koty jak coś nieco demonicznego i zadrżnij, słysząc burzę. Póki co wciąż jesteśmy w złobku możliwej ewolucji. Tęsknimy za nianią, równocześnie się jej bojąc. Przeświadczenie o kosmicznej samotności, podobno nieintuicyjna hipoteza doskonale przypadkowego, „bezsensownego” porządku naturalnego („bezsensownego” dla garstki hominidów w przypadkowym zakątku jednej z wielu galaktyk) jest dla znakomitej większości z nas nie do zniesienia. Pragniemy świadka naszego byle brudu – niech się i nawet rwie do jego sądzenia. W chorobie, psychicznej lub materialnej niedoli, kiedy nasze dzieci umierają na naszych oczach, zanosimy wołania. To, że nasz krzyk trafia w pustkę, że jest zupełnie naturalnym, może nawet terapeutycznym, odruchem, ale niczym więcej, jest niemal nie do wytrzymania. Niewątpliwie wiara w zmartwychwstanie Elvise Presleya i modlitwy

zanoszone przy jego neonowym grobie dają ukojenie i nadzieję jego wyznawcom.

Z punktu widzenia tego świata religie instytucjonalne znacząco przyczyniły się do wielu okrucieństw historii. Niezliczone pokolenia, wspólnoty etniczne i grupy społeczne były prześladowane, zniewalane, masakrowane i siłą nawracane w imię wskazań doktryny. Kręta, ale wyraźna droga wiedzie od średnio-wiecznych pogromów do nazistowskich obozów śmierci. Islam zabijał od swych początków. Banalne jest spostrzeżenie, że wojny religijne i tępienie herezji krucjatami należą do najbrutalniejszych i najbardziej kosztownych przedsięwzięć w dziejach. Także dzisiaj, czy to w Irlandii Północnej, czy w Bośni, czy na Bliskim Wschodzie, czy w Indonezji, szaleją konflikty religijno-ideologiczne. Ateizm nie zna ani herezji, ani „świętych wojen” (wulgarny idiom). Nic w jego prywatnej, pozbawionej instytucjonalizacji strukturze nie nawołuje do nienawiści. Z samej swojej natury nie wymaga nawracania. Rzadkie przypadki „wymuszanego ateizmu”, np. tego stalinowskiego, są prostą imitacją i głupią parodią kościołów państwowych. Nie sposób także wykazać, że postępowanie wierzących pod presją sankcji i obietnic religii jest lepsze niż zachowania ateisty lub humanisty agnostyka. Chciwość i hipokryzja kwitną w społeczeństwach żyjących w cieniu synagog, kościołów i meczetów, z kolei przyzwoitość i wynikająca z własnych decyzji oraz zobowiązań moralność to także sekularne wartości. Z tego powodu Iwan Karamazow, będąc świadkiem braku reakcji Boga na zachłostanie niewinnego

dziecka na śmierć (rzecz powtarzająca się codziennie, tysiącami), dokonuje słynnego zwrotu mu „biletu wejścia”. Żeby było jasne, nie ma cienia dowodu, że człowiek w ogóle kiedykolwiek taki bilet dostał.

Wobec nauki

WSZYSTKO TO KLASYCZNE USTALENIA. Kompleksowość, weryfikowalność i siła przewidywań darwinizmu dodały im ciężaru (choć nie zniknęły uparte znaki zapytania). Zbliży się koniec milenium, a kosmologia i astrofizyka dostarczają coraz spójniejszych, potwierdzonych eksperymentalnie modeli stworzenia. Pojęcie „początku” zyskuje własną matematykę. Pytanie, „co było przed” nanosekundami Wielkiego Wybuchu, nie ma sensu. Uderzając w niepokojąco augustyński ton, kosmologowie postulują, że czas zaczyna istnieć razem z właściwym mu kosmosem – a kosmosów całkiem prawdopodobnie jest niezliczona mnogość, każdy z własną charakterystyką czasoprzestrzenną, „strunami” kolejnych wymiarów materii i antymaterii, zaś żaden z nich nie stanowi wyróżnionego dzieła stworzenia. Kwestia tego, co „przed”, dręczy nas uparcie tylko dlatego, że ludzkie rozumowanie jest uwięzione w atawistycznej grze językowej. Długo po Koperniku trzymamy się „zachodu” i „wschodu” słońca (lądowanie na Księżycu prowokuje do mówienia o wschodzie i zachodzie Ziemi).

Tworzenie w laboratoriach samoreplikujących się cząsteczek, manipulowanie DNA w imię socjogenetycznych założeń – wyeliminowanie chorób dziedzicznych, klonowanie armii – są w zasięgu ręki. Tego rodzaju zmiany będą wymagały od nas rewizji pojęciowego alfabetu. Wszystko, co przez tysiąclecia stanowiło budulec

teologicznych i teleologicznych narracji, utraci na znaczeniu lub zostanie gruntownie przeformułowane, niezależnie czy to deistyczny postulat stworzenia wszystkiego przez boskiego architekta, czy myślenie w kategoriach osobistego, jednostkowego przeznaczenia. Jak zmieni się status ontologiczny ludzkiego życia i osobowości, jeśli zaczną być multiplikowane, ulepszone i kontrolowane w laboratorium, w zinformatywowanym banku nasienia?

Świadomość na razie jeszcze jest nieuchwytnym zagadnieniem. Sięgając po podstarzałe wyrażenia – niewykluczone, że ironicznie – biochemicy, neurofizjologowie, genetycy i psychologowie kliniczni określają kwestię świadomości mianem „Świętego Graala”. Dziś to kluczowy cel ich poszukiwań. Znalazienie odpowiedzi będzie wymagało czasu i geniuszu, ale, jak twierdzi Francis Crick, nie ma powodu, aby sądzić, że problem jest nierozwiązywalny. Sięgając po frazę, której buńczuczna dwuznaczność i arogancja rozgościły się w języku, nauki przyrodnicze, owe „teorie wszystkiego”, zdołają wkrótce poznać „umysł Boga” (Hawking). Co oznacza to, że w niedługim czasie zdobędą teoretyczne i eksperymentalne poznanie neurochemii organizmów, które z prymitywnego i tymczasowego braku lepszych słów wymyśliły sobie „Boga”. Przywołam Hobbesa, raz jeszcze: „Cześć boską oddawali też swemu własnemu rozumowi pod nazwą *mus*; swej własnej niewiedzy pod nazwą *Fortuny*; swej własnej chuci pod nazwą *Kupidyna*; swemu własnemu gniewowi pod nazwą *Furii*; swoim własnym członkom pod nazwą *Priapa*...”.

Pragnąłbym zgodzić się na te przenikliwości. Nie jestem w stanie oprzeć się ich spokojnej sile. Pociągają za sobą egzystencjalne konsekwencje, które uważam za wyzwalające – zwłaszcza w kwestii śmierci. Przy naszym terapeutycznym podejściu śmiertelnie chorzy, starzy ludzie pożerają coraz więcej zasobów, czasu i energii młodych. Na horyzoncie rysuje się żałosa gerontokracja. Wystarczy raz poczuć zapach strachu i moczu na oddziale geriatrycznym albo usłyszeć bezradny krzyk osoby chorej na alzheimera, żeby zrozumieć okropne – pochłaniające nie tylko pacjentów – marnotrawstwo sztucznie podtrzymywanego życia. Dryfowanie przez ból w kierunku bycia rośliną oznacza zbeczeszczenie w sobie i w innych wartości, jaką jest tożsamość. Ateizm przyznaje każdemu prawo wyboru. Żaden zaświat się w to nie włącza i nie dostaje prerogatyw. Żadne mistyczne, z góry wyznaczone powołanie – „Bóg dał mi życie i tylko On może zdecydować, kiedy przyjdzie zwrócić ten dar” – nie odgrywa w tym roli. Czy istnieje fanatyzm bardziej złowieszczy niż utrzymywanie przy życiu tych, którzy chcieliby odejść? Kiedy przyjdzie czas, pragnę wyjść po swojemu.

Mówiąc krótko, chciałbym móc pozbyć się archaicznych gier językowych czy wręcz „patologii mowy” przynależnych światopoglądowi religijnemu. Chciałbym móc wyrosnąć z tej „dziecięcej choroby” (sformułowanie Lenina, ale mogłoby wziąć się też od Freuda) i dojrzeć do czysto racjonalnego, naturalistycznego porządku, który odpowiada jedynie wobec rozumu i samotności.

W dobrym towarzystwie

LISTY SĄ NUDNE I NICZEGO NIE DOWODZĄ. ALE JAK INACZEJ MIAŁBYM wytłumaczyć się z moich „wahań” (elegancki termin zaproponowany „błądzącym” przez Majmonidesa)? Przecież każde wyliczenie wybitnych umy-

słów, analitycznych i myślowych zdolności przekraczających normę musi uwzględnić – ograniczmy się do zachodniej tradycji – Sokratesa, Platona, Arystotelesa, Augustyna, Pascala (który pod wieloma względami posiada pierwszorzędną wrażliwość naukową), Newtona i Immanuela Kanta. Z kolei tam, gdzie rozumne diagnozy próbują liczyć się z dokonaniem potężnej siły wyobraźni czy też „dowodzenia” przez przykład, skorowidz odwołań obejmuje Dantego, Tolstoja i Dostojewskiego. „Bożą obecność” wykazano w pracach Kartezjuszy, Einsteinów i Wittgensteinów. Czyżby nie trzeba kontynuować? Teza jest oczywista: to, co w naszym dziedzictwie „najlepszego pomyślano i stworzono” [*best that has been thought and formed*], z pewnymi charakterystycznymi wyjątkami (Szekspir?) jest w ten czy inny sposób napisane na boskiej obecności, na nieempirycznym wymiarze rzeczywistości, z którego czerpie. Nie ma Bacha ani Beethovena, ani Michała Anioła bez tej dodatkowej gwarancji. Polemika jest nie mniej trywialna: owe wielkie autorytety coraz wyraźniej należą do przeszłości. Stanowią świadectwo pewnego etapu w postępującej biochemicznej ewolucji *homo* (wciąż nie całkiem) *sapiens sapiens*. Trocki obiecywał przecież, że wyrośniemy nawet z Goethego czy Arystotelesa.

Dostrzegam dumną logikę tej kontrargumentacji, uważam ją jednak za wadliwą. W naukach ścisłych i stosowanych postęp podlega weryfikacji. Z kolei założenie, że ja albo ktokolwiek inny nabywamy – na mocy samego tylko kontekstu społeczno-intelektualnego lub upływu bardzo krótkiego czasu – zdolności do analitycznej refleksji i wglądu w naturę człowieka, które okazują się rozleglejsze i wnikliwsze (bo nie powiem „zupełnie inne”) niż bystrość Platona, Dantego lub Pascala, wydaje mi się skrajnie wątpliwe. Podobnie jak zbliżone stwierdzenie, że tego rodzaju mężczyźni i / lub kobiety byli ofiarami zbiorowej iluzji, zgodnie przyjętych przesądów, które logika nazywa „błędami kategorialnymi” (pomyleniem jednej gry językowej z inną). Nie przekonuje mnie mniemanie, że wyrośliśmy ze Spinozy lub Kanta i teraz inaczej opowiadamy nasze historie. Tak, wiem, wszelkie argumenty z autorytetu są podejrzane (choć plenią się i w naukach ścisłych). Niemniej jeśli mielibyśmy sobie swobodnie dobierać myślowe towarzystwo, to wśród tego, co do wyboru, przeważają wierzący. Odrzucenie tego stanu rzeczy i przypisywanie spostrzeżeniom takich osób wyłącznie retorycznego lub antykwarycznego znaczenia oznacza uznanie większej części naszej cywilizacji za niebyłą.

Tylko czy nie taki skutek miały właśnie „nieobecność Boga” w Auschwitz i śmierć dziecka na oddziale onkologicznym?

Przywoływanie wspomnianego porządku – ogromnie intuicyjnego, ale pustego logicznie – wypełnia metafizykę, sztukę, literaturę i muzykę, którymi żyłem. Zakłada się w nich, że nieustannie dochodzi do niewytłumaczalnego cudu bardzo osobistych spotkań i relacji określonego rodzaju. W końcu nie tylko na Zachodzie większość ludzkich wytworów – duchowych, materialnych, intelektualnych – powstaje „ku większej chwale Bożej”. *Ad maiorem Dei gloriam*. *Oresteja* Ajschylosa i *Timajos* Platona; księgi Hioba i Psalmów; świątynie w Paestum i nasze katedry; Augustyńskie *Wyznania* i Dantejska *Komedia*; kaplica Sykstyńska oraz *Missa solemnis*. Wyobraźmy sobie

Przypałem się na myśleniu, dziecinnym fantazjowaniu, że może ludzka historia jest ustępującym koszmarem śpiącego Boga. Że może się z niego obudzi i raz na zawsze uczyni zbytecznym krzyk dziecka i jęk bitego zwierzęcia

krajobrazy wokół nas bez miejsc kultu; wyobraźmy sobie sztuki plastyczne i muzykę bez odniesień do wiary; wyobraźmy sobie filozofię i metafizykę, od presokratyków po Heideggera, którym brakuje nakierowania na..., badań nad... i debaty o doświadczeniu religijnym, pierwszych zasadach i pierwszym poruszcycielu. Przywoływałem już Szekspira jako możliwy i rażąco wyjątek. W jego sztukach brak jakiegokolwiek identyfikowalnego stanowiska religijnego, a jednak „pytanie o Boga” – czasami – pojawia się tam z całą grozą: w *Królu Learze*, w niejasnych przypowieściach o zbawieniu przez trwające do końca uczucie. Nie da się z tego jednak ulepić żadnego *credo*.

Świętość muzyki

WSZĘDZIE INDZIEJ RÓŻNORAKIE estetyki i dyskursy filozoficzne naszej tradycji proklamują, alegoryzują, zgłębiają i narratywizują „czekanie na Godota”. Zwłaszcza muzyka jest czule uwikłana w takie sugerowanie. Znaczna jej część jest w powszechnym mniemaniu „święta”. Dotyczy to zarówno kantat Bacha i Mozartowskiego *Requiem*, jak symfonii Mahlera i kantyków Brittena, tyle że ten związek równocześnie mocniej je przenika i jest trudniejszy do uchwycenia. Jak próbowałem pokazać, u większości z nas muzyka, którą cenimy i która zamieszkuje nas w sposób niezastępowalny, prowadzi do pogłębienia wrażliwości na emocje nazywane przez psychologów „uczuciami oceanicznymi”. Czujemy się „porwani”, „uniesieni” równie oniesmielająco i ekstatycznie jak Mikołaj Podszewka. Tylko jak i dokąd? Narzuca się tu analogia – która mogłaby być czymś o wiele więcej – z psychosomatycznym

doświadczeniem transcendencji, tego, co uparcie niewytłumaczalne. Mówi się, że muzyka jest niczym modlitwa niewierzących lub niepraktykujących. Ale do kogo mieliby się modlić?

Sądzę, że da się doprecyzować całe porównanie. Muzyka jest w najwyższym stopniu znacząca; oznacza coś absolutnie. Tyle że jej sensy i znaczenia nie dają się zwerbalizować, adekwatnie sparafrazować ani pojęciowo przetłumaczyć na żaden inny język poza kolejnymi wykonaniami. Logika nie ma nic do powiedzenia o sensie muzyki. Wydaje mi się wysoce wątpliwe, żeby neuropsychologiczne hipotezy na temat świadomości zdołały kiedykolwiek wyjaśnić genezę muzyki lub jej wpływ na człowieka. Oba te fakty egzy-



□ W zakończeniu Księgi Hioba Bóg przywołuje postacie potworów zaludniających ziemię, aby ukazać Hiobowi i jego przyjaciółom niezwykłość stworzenia – w ten sposób zamyka usta tym, którzy próbują tłumaczyć Jego niezbadane wyroki. William Blake, *Behemot i Lewiatan*, 1825 r. fot. Heritage Art/BE&W

stencjalne, bez których – jak stwierdził Nietzsche – życie byłoby błędem, są empirycznie ewidentne i ontycznie przemieniające w sposób nieznanym ludzkiemu doświadczeniu nigdzie indziej. Równocześnie zdają się przekraczać możliwości analityczno-eksperymentalnego rozumienia.

Podobnie zawiła samooczywistość cechuje znaczące „bezsensy” teologii i nabożeństwa. Może jest tak, że w ich postulatach ucieleśnia się frustrująca próba zapisania radykalnie „muzycznych” powinności uczucia i intuicji za pomocą sztywnego kodu prostych, gramatycznych twierdzeń. Pewny jestem jednego: jeśli pytanie o istnienie lub nieistnienie Boga osunie się w banał, jeśli zostanie odpompowane ze społecznej i jednostkowej świadomości niczym mętna woda, wówczas zmieni się całe nasze dziedzictwo myśli i sztuki. Być może po burzliwym i pozbawionym klarowności okresie przejściowym złoży się to w zupełnie nowe bezprecedensowe historie i stworzy świat-obrazy, których dziś przewidzieć nie umiemy. Już dziś są tacy, którzy jak Foucault głoszą koniec autorstwa, indywidualnego wytwarzania, a w istocie odrębnej osobowości. Skromniej i wiarygodniej można by przewidywać, że w przypadku braku pytania o Boga i powiązanych z nim metafor nie powróci określona skala wytworów metafizycznych i estetycznych, zarówno jeśli chodzi o ich formę, jak i wykonanie. Być może przechodzą właśnie do przeszłości spajające wszystko w całość konstrukcje uprzedniego porządku, które znajdujemy u Dantego, w *Pasji* Bacha, krytykach Kanta i freskach Giotta, a nawet w lakonicznych przypowieściach Kafki, których najzwęższe sylaby przesyca „choroba na Boga”.

Kościół agnostyków

JEDNAK ANI DOBRE TOWARZYSTWO, KTÓRE MA OSOBA WIERZĄCA, ANI PRYMAT religijności w naszej tradycji niczego nie dowodzą. Uważam sam projekt racjonalnego dowodzenia, że Bóg istnieje, za argumentacyjnie niefortunny. Nawet najsubtelniejsze z tzw. dowodów ontologicznych – ten anzelmiański, który Bertrand Russell uznawał za nienaganny logicznie, te autorstwa Kartezjusza czy Schellinga – są jedynie ruchami w gramatologicznej grze umysłów. Kant miał absolutną rację, określając wszystkie rozumowe dowody odnoszące się do Boga jako ślepą uliczkę. W rzeczy samej, cóż by to był za Bóg, gdyby dało się go zdefiniować, ba, wykazać za pomocą ludzkiej dialektyki i wniosowania? Wiara nie ma charakteru dowodowego, chyba że w swym najbardziej naiwnym, na wskroś sentymentalnym aspekcie, kiedy, dla przykładu, odwołuje się do „bogactwa i wspaniałości” stworzonego świata albo jednostkowych potrzeb i dobrostanu. Dowody dostępne ludzkiemu rozumowi i wynikające z empirii pozwalają na jedną tylko uczciwą odpowiedź: agnostyczne „nie wiem”; „nie wiem ani że jest, ani że nie ma”. Taki agnostycyzm, splekany momentami udręczonej modlitwy i bezmyślnego wołania do „Boga” w chwilach cierpienia i grozy, jest wszechobecny na postdarwinowskim, postnietzscheańskim i postfreudowskim Zachodzie. Świadomie czy nie, agnostycyzm jest uznanym Kościołem nowoczesności. W jego cokolwiek wątłym blasku istoty wyedukowane i racjonalne wiodą swe życia wewnętrzne. Zaznaczmy: agnostycyzm nie jest ateizmem. Ateizm, przeżywany i zachowywany konsekwentnie, jest podróżą kompletną, zdyscyplinowanym powrotem do nicości (satre'owskim

l'être et le néant). Pewien specyficzny agnostycyzm odnośnie do rozumu oraz „dowodu” funduje również moje własne fragmentaryczne i przetrzebione przekonania. Nie wątpię, że jeśli „Bóg” istnieje, to nie ma absolutnie nic wspólnego z konceptami ludzkich umysłów na Jego / Jej – jak wymaga od nas dzisiaj grzeczność – temat, choćby były nie wiem jak trafne. Takie konstrukcje – nawet te abstrakcyjne – mogą być metafizycznie sprytnie, ale wywody, gramatyki tworzących je mężczyzn i kobiet pozostaną nieuchronnie antropomorficzne. Będą tragicznie wplecione w nasze mózgowie synapsy, w metaforyczne i analogiczne narzędzia, którymi dysponuje ludzka psychika, a one przecież z mniejszym lub większym wyrefinowaniem ulegają aurze majestatycznego, brodatego *pater familias* – wyobrażonego władcy ludzkości ze sklepienia kaplicy Sykstyńskiej (z jego dziwnym podobieństwem do Karola Marksa). Bliższy związek łączy umysł dziecka z, powiedzmy, ogólną teorią względności niż najprzenikliwszy intelekt z „naturą” „Boga”, cokolwiek te pojęcia mogą znaczyć. Dystans [*the remove*] jest jeszcze najbliższy pojmomalnej definicji nieskończoności. Totem, bożek z drewna lub kamienia, jest całkowicie szczerzy w swoich figuratywnych ograniczeniach. Podobnie jak zupełna pustka Świętego Świętych w jerozolimskiej świątyni, choć w ramach surowszej pedagogiki. Jednak nawet taka pustka jest niczym więcej niż obrazem „czarnym na czarnym tle”. Nie mówi nic o „Bogu”. Stąd moje próby trzymania się wskazówek dawanych przez „teologie negatywne” i niektóre metafizyki. Czuję, że do „Boga” można zwrócić się

tylko z wnętrza jako do całkowicie Innego; że brak tu jest jakichkolwiek sposobów definiowania i przekładania na „nasze”. „No to w takim wypadku – prowokuje agnostyk lub ateista – co za różnica? Skoro ten całkowicie Inny wymyka się ludzkiemu rozumowi i wyobraźni, jeśli myślenie o Jego trosce o nasze żalose, smutne życia jest nonsensownym infantylizmem, po co zawracać sobie głowę?”

Pytanie jest całkowicie słuszne. W odpowiedzi mogę sięgnąć wyłącznie po siłę nierozumu, odwołać się do intuicji będących warunkami brzegowymi, ograniczeniami racjonalności i empiryczności. Moim zdaniem niedostatecznie zbadana arogancja rozumu, zwłaszcza w naukach ścisłych, wycina wyłącznie pojmovalne doświadczenie z masy tego, co może być istotne. Chce wiedzieć wszystko, by nie wiedzieć nic ponadto. W nauce i dyskursie logicznym nie ma nic, co pozwoliłoby rozstrzygnąć lub przegnać Leibnizowskie pytanie wszystkich pytań: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?”. Pozytywistyczne zarządzenie nakazujące dojrzałym świadomościom pytać o świat i istnienie wyłącznie pytaniem „jak?”, a nigdy „dlaczego?” jest skrajnie obskurancją formą cenzury. Dławi głos przemawiający w nas spod innych głosów. A przecież nawet przy pytaniu „jak?” nie ma żadnej pewności, że majestat nauk obdarzy nas niezaprzeczalnymi odpowiedziami. We wspomnianym już stwierdzeniu, że badanie czasu przed nastaniem czasu i pytanie o nanosekundę przed Wielkim Wybuchem są czymś niedopuszczalnym i dziecinnym, kryje się żenujący unik i sofistyka. Jak dla mnie istnieje tu niezaprzeczalna presja obecności, której wyjaśnienie nie

daje się zamknąć żadną dziedziną (a muzyka jest codzienną, niezgłębianą analogią tego rodzaju obecności).

Niemniej trudność nie znika. Jak ów „całkowicie Inny” może na nas wpływać, nie mówiąc już o sygnalizowaniu własnej całkowicie niedostępnej egzystencji?

Istnieje zapewne mnogość najdrobniejszych „cząstek” łączących w całość ludzką świadomość, między ich orbitami dochodzi do kwantowego skoku w wiarę. Ich natury nie potrafią jednoznacznie objaśnić nawet mistrzowie introspekcji i samorozgryzania, tacy jak Pascal czy Kierkegaard. Cząstki owe zapuszczają korzenie u krańców nieświadomości. Doświadczenia z dzieciństwa (miejsce, w którym zdaniem Freuda należy zakończyć dyskusję) mają brzemienne skutki. Jakkolwiek by patrzeć, każdy atom czasu w historiach naszych żyć może pociągać za sobą konsekwencje. Wiara z niewiarą głęboko rezonują – choć na sposoby tak zawile, że opierają się analizie – z naszym zanurzeniem w języku lub rozczarowaniem nim. Jeśli Bóg mówi jak byt do bytu, to my z kolei odpowiadamy lub przeczymy Bogu słowami (jak modli się głuchoniemy?). Tradycja, ta nieprzypadkowo irracjonalna i sformalizowana rutyna dziennych rytuałów, choćby tradycja ortodoksyjnego judaizmu, może równać się zgodzie na Boga. niesprawiedliwość, katastrofa bez uzasadnień – jak lizbońskie trzęsienie ziemi, które przyprawiło o traumę deistów oświecenia – może wykorzystać wiarę. Niektórzy mężczyźni i kobiety dają się formować – jak dłoni garniarza – apostołom czy nauczycielom, inni tę rękę kłusają. Geneza osobistego poczucia sensu Boga lub nonsensowności jest równie różnaita, złożona i opierająca się klarownym podsumowaniom jak sama indywiduacja. Asumpt do czegoś lub przeciw czemuś, skok w lub wyskok to zagadnienie z chemii nieznanego. Mogę zdać sprawę tylko z symptomów – medyczna fraza cudownie trafna u tych, co są *krank an Gott*.

Koszmar śpiącego Boga

KIEDY ZA SPRAWĄ DONIESIEN, ZDJĘĆ CZY OSOBISTYCH NOTATEK STAJĘ SIĘ świadkiem zadawania bezsensownego cierpienia dzieciom lub zwierzętom, zalewa mnie rozpaczliwy gniew. Są tacy, którzy wylupują dzieciom oczy czy w nie strzelają albo biją po oczach zwierzęta. Podobne fakty napawają mnie ponurą odrazą. Nienawiść i zwątpienie, które we mnie budzą, dalece przekraczają moje zasoby psychiczne i nerwowe. Czarna kipiela, w którą się pogrążam, pozbawia mnie woli. Spętuje mnie jej ogrom. Jednak taka beznadziejna nienawiść i smutek, owe mdłości duszy, mają osobliwe kontrecho. Nie umiem tego ująć inaczej. Jądrzem przyprawiającej o szaleństwo rozpacz jest uparte poczucie – znów nie mam na to innych słów – że doszło do zerwania umowy. Poczucie odstręczająco konkretnego kataklizmu. W daremnym krzyku dziecka i w cichej agonii torturowanego zwierzęcia pobrzmiwa też „dźwięk tła” – odgłos grozy stworzenia, bycia wyrwanym z logiki i błogostanu nicości. Coś – jakże bezradny może być język – poszło straszliwie nie tak. Rzeczywistość powinna, mogłaby wyglądać inaczej (być „Inna”). Sadyzm, bezustanna krzywda naszych czynów nie powinny być – mogłyby nie być – dopuszczalnym fenomenem organicznego, świadomego istnienia. Bezradna wściekłość, poczucie winy rządzące moją tożsamością i zagarniające ją


wiążą się z roboczą hipotezą, lub „metaforą roboczą” jeśli wolicie, „grzechu pierworodnego”.

Nie jestem jednak w stanie połączyć z tym wyrażeniem żadnej racjonalnej, a co dopiero historycznie ugruntowanej, treści. Z pragmatyczno-narratologicznej perspektywy opowieści o pierwotnym występku i dziedziczonej winie są uniwersalnymi baśniami – czymś niepokojąco głębokim i trwałym. Ale niczym więcej. A jednak w obliczu zbitego, zgwałconego dziecka lub konia czy muła uderzonego biczem po oczach z mroczną klarownością dopada mnie intuicja Upadku. Jedynie tego rodzaju zdarzenie, niedestylowalne rozumem, zapewnia jakąś pojmovalność – choć zawsze lokującą się na skraju nieznośności – realnościom naszej historii na tej jałowej ziemi. Zostaliśmy skazani na bycie okrutnymi, chciwymi, egoistycznymi, kłamliwymi. A przecież miało być, powinno było być, inaczej. Przecież prawda i współczujące samopoświęcenie niezwykłych mężczyzn i kobiet dobitnie pokazują, jak mogło być. Przyłapałem się na myśleniu, dziecinnym fantazjowaniu, że może ludzka historia jest ustępującym koszmarem śpiącego boga. Że może się z niego obudzi i raz na zawsze uczyni zbytecznym krzyk dziecka i jęk bitego zwierzęcia.

Miłość jest dialektyką nienawiści, jej lustrzanym przeciwieństwem. Miłość jest, w różnych natężeniach, cudownym imperatywem irracjonalnego. Jest równie nienegocjowalna co (wyklęte) poszukiwanie Boga przez osoby nim zakazane. Drzeć w głębi duszy, do nerwu, do kości na widok, głos, dotyk najłżejszy ukochanej osoby; zabiegać, pracować, kłamać bezgranicznie, byleby tylko dotrzeć, znaleźć się bliżej kochanego mężczyzny, kochanej kobiety; przekształcić swój sposób bycia – osobisty, publiczny, wewnętrzny, materialny – nagle i bez przygotowania, gdy przyjdzie miłość i pod jej wpływem; doświadczać niewypowiadalnego bólu i pustki, gdy nie ma ukochanej osoby, gdy obumiera sama miłość; utożsamiać boskość z emanacją miłości, jak czyni platonizm, czyli cały zachodni model transcendencji – wszystko to znaczy uczestniczyć w najpowszechniejszym i niewytłumaczalnym sakramencie ludzkiego życia. Znaczy to na miarę osobistych możliwości doświadczyć dojrzałości ducha. Zrównanie tego wszechświata doświadczeń z tym, co libidalne, jak czyni Freud, zdawanie z niego sprawy w języku prokreacyjnych, biogenetycznych korzyści stanowi redukcję niemal godną pogardy. Miłość może być więzią nie z wyboru między osobami rażąco do siebie niepasującymi, czymś prowadzącym aż do autodestrukcji. Seks może być w niej przypadkowy, przejściowy albo zupełnie nieobecny. Ludzie brzydzy, nędzni, najwięksi złoczyńcy mogą być przedmiotami bezinteresownego, żarliwego erosa. Pragnienie, by umrzeć za osobą ukochaną lub za przyjaciela – *l'amie*, jak precyzyjnie i świetliście mówią Francuzi – i wyrachowane szaleństwa zazdrości są kontrproduktywne w każdym możliwym biologicznym (darwinistycznym) i społecznym ujęciu. Słynna maksyma Pascala, że serce ma swoje racje, których rozum nie zna, ostrożnie pogrywa z racjonalnością. Jednak to nie „racje” zaludniają serce, lecz konieczności o zupełnie innej proveniencji. Poza rozumem, poza dobrem i złem, poza seksem, który nawet na granicy ekstazy jest aktem wielce drobnym i efemerycznym. Przestałem kiedyś na ulewnym deszczu cały wieczór, aby wypatrzeć, jak moja ukochana skręca za róg ulicy. Może to nie była nawet ona. Miej litość, Boże, nad tymi, co nigdy nie poznali

miraży światła wypełniających ciemność stojącym na warcie.

Z bezrozumnej, niepoddającej się analizie, często niszczącej wszechmocy miłości wypływa jedna myśl – czy to znów tylko dziecinada? – że „Bóg” to jeszcze nie teraz. Że On dopiero zaistnieje czy też dokładniej: zamanifestuje się w sposób uchwytny dla ludzkiej percepcji wówczas, kiedy miłość miażdżąco przeważa nad nienawiścią. Każde jedno okrucieństwo, każda jedna niegodziwość wyrządzana ludziom i zwierzętom usprawiedliwia ateistyczne ustalenia, ponieważ powstrzymuje Boga przed czymś, co byłoby w istocie jego pierwszym przyjściem. Jednak nawet w najgorszych chwilach nie potrafię porzucić wiary, że dwa cuda uzasadniające istnienie śmiertelnych to miłość i wynalezienie czasu przyszłego. Ich połączeniem, jeśli kiedykolwiek do niego dojdzie, będzie Mesjańskość.

„Kto sięga po wielkie myśli, popełnia wielkie błędy” – powiedział Martin Heidegger, teolog parodysta naszych czasów (słowu „parodysta” przypisuję jego najdonioślejsze znaczenie). Również ci, co sięgają po „małe myśli”, mogą wielce błędzić. Taka już demokracja łaski lub potępienia. — 

Fragment książki Errata. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

Tłumaczył Michał Rogalski
© George Steiner 1997

George Steiner (1929–2020)

Krytyk literacki, nauczyciel akademicki i eseista, autor wielu książek poświęconych Zagładzie, historii tragedii, refleksji nad językiem

Z powrotem do tekstów

STEFAN KLEMCZAK

Co się stało – pyta George Steiner – że obecnie nie powstają już wielkie tragedie? Dlaczego w nowoczesnym świecie gatunek nie osiągnął wcześniejszych wyżyn?

JEDNĄ Z NIEDOSTATECZNIE przemyślanych antynomii wczesnej historii świadomości europejskiej było wynalezienie przez Greków kosmosu i tragedii, twierdzi Hans Blumenberg w obszernym studium *Die Genesis der kopernikanischen Welt* (Geneza kopernikańskiego świata, 1975). Kosmos jawił się Grekom jako rozumny zdobny ład, boski i wieczny. Tragedia zaś przedstawia świat sił znajdujących się poza domeną rozumu, niesprawiedliwych i niszczycielskich. Wyroki boskie ukazane w tragedii wydają się przypadkowe i absurdalne. Ajschylos sądził, że bogowie są wszędzie i można w świecie dostrzec boską sprawiedliwość, jednak nie można odnaleźć w nim ładu. Światem włada bowiem przemoc.

Jak zauważa Blumenberg, Anaksagoras i Sofokles żyli w Atenach w tym samym okresie. W tragedii *Edyp w Kolonie* chór starców wiedzących już coś o życiu wyrokuje: człowiekowi „najlepiej się nie urodzić”. Myśl tę Arystoteles przypisywał Anaksagorasowi, który na pytanie, dlaczego ludzie wolą się

rodzić, aniżeli nie istnieć, miał odpowiedzieć: by podziwiać niebo i cały porządek kosmosu. Człowiek, starając się polepszyć swój los, musi działać. Wolność i wybór zrodziły prawa ustanowione. Reguły gry narzuca jednak Mojra. U Homera to jedna postać, u Hezjoda trzy siostry: Kloto, Lachesis i Atropos, niepodlegające władzy bogów olimpijskich. O antynomii wolności i konieczności, konflikcie władz, wolności w nieuchronności opowiada tragedia. Chór w *Antygonie* dziwi się: wiele jest niezwykłości (niesamowitości, na wiele sposobów można przełożyć *deinà*), żadna zaś tak niezwykła (niesamowita) jak człowiek. W pierwszym stasimonie mowa jest o rozumie, co wszystko zwycięży, o wynalezieniu mowy i skrzydłej myśli, o życiu ujętym w porządek i prawa. Przemysłność człowieka budzi podziw, a jednak nie uchroni go od śmierci. Co się stanie, gdy przemożna siła *Ananké* zaczyna kierować losem, ukazali na scenie Ajschylos, Sofokles i Eurypides. Nie byli pierwszymi ani jedynymi twórcami tragedii, lecz zachowane sztuki wzbudziły zachwyt i namysł potomnych. Dzieła tragiczków pozwoliły zauważyć Arystotelesowi, że poezja jest bardziej filozoficzna niż historia.

Tragedia stara się oswoić przemożne siły, tworząc wobec nich estetyczny dystans. Inaczej próbowali zapanować nad nimi filozofowie, uważając, że człowiek winien zestroić swoje życie z porządkiem natury. Naśladować jej harmonijne reguły. Jak pisze Marek Aureliusz, dla rozumnej istoty „tym samym jest działanie zgodne z naturą i zgodne z rozumem” (tłum. K. Łapiński). W filozofii starożytnej spotkamy odmienne strategie przewyciężenia *homo tragicus*, jedną z nich są ćwiczenia duchowe. Tak nazywa Pierre Hadot techniki samodoskonalące praktykowane w szkołach filozoficznych Grecji i Rzymu. Wzorem człowieka ćwiczącego *areté* jest Sokrates ze spokojem przyjmujący wyrok śmierci wydany przez Ateńczyków. O ile widok nieba gwiazdzistego budził jeszcze podziw i głęboką cześć (*Bewunderung und Ehrfurcht*) Kanta, o tyle Arystoteles twierdził, że ludzki los ukazany w tragedii wzbudza litość i trwogę. Zaznaczył przy tym w *Poetyce*, że tragedia posiada moc oddziaływania również bez wystawienia na scenie i udziału aktorów.

Tragedia attycka kwitła przez ok. 80 lat w V w. p.n.e. Tyle czasu dzieli pierwsze sztuki Ajschylosa i ostatnie Eurypidesa, zmarłego w 406 r. p.n.e., w których dopatrzeć się można załączków śmierci gatunku. Jak potoczyły się późniejsze dzieje tragedii? Dramaty sceniczne pisał Seneka, tragedia kwitła w elżbietańskiej Anglii, w XVII-wiecznej Francji tworzyli Racine i Corneille. Również *Faust* Goethego to *Der Tragödie*. Jak zauważa George Steiner w książce *Śmierć tragedii* (1961) [w nawiasach daty wyd. oryg. – przyp. red.], właśnie *Faust* jest koronnym dowodem upadku klasycznej formy. Tragedia bowiem, pisze Steiner, jest „świadomym podążaniem na skraj przepaści życia, gdzie umysł musi się zmierzyć z mrokiem, ryzykując zawrót głowy. Goethe był zdecydowany podążyć ku górze, więc szedł, nie odrywając wzroku od światła” (tłum. K.F. Rudolf). Niemniej Goethe, który nie tolerował nieładu i w zakończeniu uratował Fausta, poświęcał wiele uwagi tragedii. „Od starożytności aż do czasów Szekspira i Racine’a wydawało się, że osoba utalentowana potrafi stworzyć podobne arcydzieło” – zauważa Steiner. Co się stało – pyta – że obecnie nie powstają tragedie tej rangi? Dlaczego w nowoczesnym świecie gatunek nie osiągnął wcześniejszych wyżyn? Czy dlatego że w teatrze pojawił się nowy człowiek „historyczny” z gazetą w kieszeni?


Tragedia absolutna

ODPOWIADAJĄC NA TE PYTANIA, STEINER przedstawia tragiczną, gdyż zakończoną śmiercią, historię tragedii. By uzasadnić tezę, że dramat tragiczny uległ rozkładowi w nowo-

czesnym świecie, śledzi jego dzieje, przyglądając się dziełom, komentarzom oraz debatom. Publikując *The Death of Tragedy*, wielokrotnie wznawianą, przełożoną na liczne języki, był już autorem komparatystycznego studium o Tolstoju i Dostojewskim (*Tolstoy or Dostoyevsky: An Essay in Contrast*, 1959). Zderzał w nim homerycką z ducha prozę Tolstoja z tragiczną prozą Dostojewskiego, sięgającą do Szekspira. Steiner ukończył studia w Chicago, uczył się w Oxfordzie i Princeton, gdzie powstała książka prezentowana w ramach *Gauss Seminar*. Pracował przez kilka lat w redakcji „The Economist”.

Śmierć tragedii przyniosła mu rozgłos, był już wówczas wykładowcą w Cambridge. Osia książki jest historia recepcji gatunku zawężonego do tragedii absolutnej. Steiner ogniskuje rozległą problematykę: „Pojmuję tragedię w sensie radykalnym jako przedstawienie dramatyczne, (...) dramatyczną próbę zbadania takiej wizji rzeczywistości, w której człowiek jest nieproszonym gościem na tym świecie”. Posiłkuje się metaforą wyrzucenia za drzwi, wyobcowania, odnalezioną w niemieckim słowie *Unheimlichkeit*. Źródła wyobcowania mogą być różne, „wyrzucenie” może powodować pierwotna kara, przeliczenie się z własnymi siłami, „upadek”. Dostrzega „tragedię w absolutnym sensie, tam gdzie pojawia się obraz człowieka, którego życie jest niepożądane”, gdzie „bogowie uśmiercają dla zabawy, niczym rozbrykani chłopcy muchy”. W tragedii, docierając do granic, ludzki rozum i wrażliwość zatrzymują się, stają dęba. Zdaniem Steinera to właśnie tragedia absolutna jest gatunkiem wymarłym w nowoczesnym świecie, gdzie pojawiły się złagodzone jej formy. Poświęca im zresztą wiele miejsca, omawiając sztuki Kleista, Grillparzera, Strindberga i Ibsena, *Matkę Courage* Brechta, dzieła późniejszych autorów, jako dowody obumarcia tragedii absolutnej.

Warto przypomnieć, że w tym samym roku, w którym ukazała się *Śmierć tragedii*, Peter Szondi opublikował *Esej o tragiczności* (1961). Porusza temat pokrewny zajmujący nowoczesnych myślicieli i poetów, począwszy od Schellinga i Hölderlina, Goethego i Hegla, obecny w pismach Schopenhauera i Nietzschego. W nowoczesnych, rozpoczętych pod koniec XVIII w. debatach klarowały się koncepcje człowieka pojętego jako *homo tragicus* i tragiczności. Katalizatorem tych dyskusji była refleksja wypływająca z filozofii dziejów, groza i fascynacja ruinami, podziw dla greckiej tragedii oraz Szekspira. Steinera interesuje debata dotycząca recepcji dzieł stradfordczyka. Służy za przykład trudności w kontynuowaniu tradycji. Jak twierdził John Dryden, „magii Szekspira nie sposób naśladować”. Victor Hugo, pisząc „o największym poecie”, uważa go za uosobienie dramatu (*Shakespeare, c'est le drame*). Podobny podziw słyhać w debacie niemieckiej, *Shakespeare und kein Ende*. Temat tragedii scenicznej nie jest tożsamy z filozofią tragiczności zarysowaną przez Szondiego. Mówi ona bowiem o kondycji ludzkiej również poza sceną teatralną, przenosząc wielkie tragiczne widowisko na deski historii. Tragiczność przedstawiona przez Szondiego pojawiła się wówczas, gdy zdaniem Steinera umarła tragedia absolutna. Ostatnie kształty reliktywnej formy zachowuje *Fedra* Racine’a, można ją także zauważyć w *Woyzecku* Büchnera, w sztukach Strindberga.

W eseju *Tragedia absolutna* (1990) Steiner powraca do rozważań zawartych w *Śmierci tragedii*. Podkreśla wyjątkowość gatunku. „Jest to dramat, 

dzieło sztuki lub utwór muzyczny, opierający się ściśle na założeniu, iż życiem ludzkim rządzi fatum. Dramat ten z definicji zakłada, że lepiej jest się w ogóle nie urodzić albo – skoro już do tego doszło – przynajmniej umrzeć młodo” (tłum. J. Burzyńska). Drążąc problem, opuszcza obszar sztuki scenicznej – „w absolutnie tragicznym ujęciu zbrodnią człowieka jest sam fakt istnienia”. Poszukiwania zawężone do artystycznych tekstów najwyższej miary obejmują już otwarcie wydarzenia historyczne. „Podczas Holocaustu Romowie czy Żydzi popełnili z premedytacją zbrodnię istnienia”. Tragedia traktowana jako zdarzenie historyczne nie umarła, przeciwnie – monstrualnie się rozwinęła. Poszerzenie pola rozważań zapowiada już epilog, ostatni rozdział *Śmierci tragedii*, w którym pojawia się osobiste wspomnienie z podróży pociągiem przez południową Polskę. Pasażerowie opowiadają o miejscach ukazujących się za oknem, o historiach rodzinnych, z których wiele rozegrało się w obozach koncentracyjnych. Okrucieństwo opowieści podsuwa Steinerowi konkluzję. Ten sam krzyk Kasandry wyczuwającej krew w domu Atrydów, „budzący w ludziach poczucie życia”, ciągnie się nadal jako „dziki i czysty lament nad człowieczą niehumannością i upadkiem. Być może zatem linia tragedii nie została zerwana”.

Steiner wielokrotnie wraca do tematu XX-wiecznych ludobójstw, zastanawia go czasowe, a niekiedy przestrzenne sąsiedztwo wysokiej kultury i masowych mordów. W eseju *Wydrążony cud* pochodzącym z tomu *Language and Silence* (Język i cisza, 1970) rozważa stan kultury niemieckiej po II wojnie światowej. Interesują go język, relacje sztuki

i myśli po dojściu Hitlera do władzy. Podobnie w artykule opublikowanym w „New Yorkerze” poświęconym Albertowi Speerowi (*Z domu umarłych*, 1976) powraca temat III Rzeszy i znaczenia Hitlera, „który przenika całą narrację niczym mroczna mgła” (tłum. O. i W. Kubińscy). *Notabene* Steiner jest autorem powieści o Hitlerze, który na potrzeby fabuły przeżył zdobycie Berlina i zbiegł do Ameryki Południowej. By przedstawić problem, nadający się raczej na esej historyczny, genezy państwa Izrael za przyczyną działań Hitlera, przeniósł Führera do amazońskiej dżungli, skąd uprowadza go Mosad. *Transport A.H. do San Cristóbal* (1981) jest jedną z dwóch prób prozatorskich Steinera. W przeciwieństwie do Umberto Eco nie zyskał dzięki nim rozgłosu.

Homodycea

POSZUKIWANIA STEINERA SPRAWIAJĄ WRAŻENIE HOMODYCEI. PRÓBUJE USPRAWIEDLIWIĆ trwanie człowieka po tym, gdy dokonał on niezliczonych okrutnych zbrodni i zniszczeń. Krąży wokół tematu 70 mln ofiar dwóch wojen, gułagów, obozów koncentracyjnych. Jednocześnie, będąc pasjonatem i wykładowcą uniwersyteckim, zajmuje się wielkimi dziełami literackimi i filozoficznymi, debatami językoznawczymi, śledząc z zaciekawieniem poszukiwania przyrodników. Namiętny słuchacz muzyki klasycznej, miłośnik obrazów, zwraca uwagę na ich wyjątkowość i ponadczasowość. Dzięki pojawieniu się dzieł Homera, tragedii attyckiej, *Commedii* Dantego, sztuk Szekspira, utworów Goethego, Hölderlina, Kafki („którego wujem jest Bóg”) i Becketta, jak sądzi, ludzie usprawiedliwiają swoje istnienie. Czy da się jednak ważyć na szalach osądu wysoką sztukę (myśl) i ludobójstwo? Masowe mordy i dzieła artystyczne, które zachwycają? Linia obrony człowieka przywołuje na usprawiedliwienie nieliczne jego wytwory, dzięki którym „człowiek może rościć sobie prawo do godności. Mściwa nienawiść i niesprawiedliwość bogów, ich zawiść czyni z człowieka szlachetniejsze stworzenie” – pisze w *Śmierci tragedii*. Charakterystyczna dla Steinera oscylacja myśli, tym razem pomiędzy najdoskonalszymi twórcami ludzkimi i najgorszymi zbrodniami, wyznacza pole refleksji poświęconej *conditio humana*.

Steiner traktuje rozprawy filozofów podobnie jak dzieła innych twórców. Poszukuje wyjątkowości myśli, pomysłowości językowej. W książce *Poezja myślenia* (2011) dzieli się refleksją z lektur, ukazując związki poezji z filozofią i *vice versa*. Podąża heideggerowskim tropem podkreślającym pokrewieństwo

Filozoficznym usprawiedliwieniem życia ludzkiego, homodyceą, wydała się Anaksagorasowi kontemplacja pięknego nieba, odległego od świata podksiężycowej ludzkiej krzątaniny

między oddalonymi przez Platona obszarami myśli i sztuki. Również tutaj powraca do tematu tragedii, spotkania Hegla i Hölderlina z Sofoklesem, do którego dołączył Heidegger. Hegel uważał Antygonę za najwspanialszą postać, jaka pojawiła się na Ziemi. Steiner, dzieląc fascynację, zauważa, że „jak żaden inny tekst *Antygonę* unaocznia polaryzację, antagonistyczne tezy podstawowe dla ewolucji ludzkiej świadomości” (tłum. B. Baran). Heglowskie odczytanie tragedii wraca w głośnej pracy Steinera *Antygonę* (Antygony, 1984). Nawiązując do *Śmierci tragedii*, zajmuje się historią recepcji sztuki Sofoklesa, jej długim trwaniem, aż po współczesne odniesienia teatralne, poetyckie, operowe i prozatorskie. Odnajduje zapomniane Antygony, przygląda się przekładowi, śledzi spory polityczne i filozoficzne nowożytnego świata, w których pojawia się jej postać.

Płynnie przechodząc od rozważań historycznoliterackich, analiz przekładu do filozofii historii i religii, zwraca uwagę na obcość tragedii światopoglądowi judaistycznemu. Sprawiedliwości wszak musi stać się zadość, nawet w historii Hioba stanowiącej dobry materiał na tragedię. W *Śmierci tragedii* nie drąży tego wątku, ale tragedia *à la grecque* nie występuje w chrześcijaństwie. Eschatologiczna wizja zakłada możliwość wyrównania rachunków, nie do pomyślenia w świecie tragedii, gdyż „tragedia jest nieodwracalna”, a „rachunki bogów z ludźmi nie wyrównują się nigdy”. Po tym, co przydarza się sofoklejskiemu Filoktetowi, nie ma zadośćuczynienia, odwrócenia losu, zapłaty za cierpienie. Wizja chrześcijańska zakłada sprawiedliwą, mówiąc językiem Dantego,

zasadę *contrapasso*, „kroku w tył”. Chrześcijański obraz świata przyczynił się do zmiany znaczenia pojęcia, zrzucając ciężar odpowiedzialności za zły los na samego człowieka i jego świadome wybory. „Jeśli przyczyny katastrofy przynależą do tego świata, jeżeli dany konflikt można rozstrzygnąć przy użyciu środków technicznych lub społecznych (...), mamy do czynienia z poważnym dramatem, ale nie tragedią” – pisze Steiner. Człowiek, odpowiadając za to, co czyni, może być więc sprawiedliwie ukarany lub nagrodzony, bo jego los ma rozsądną kontynuację.

Pojęcie tragedii pojawia się w *Commedii*, więcej uwag zawiera jednak list poety do Cangrande, gdzie przykładem jest *Eneida*. Dzieło Wergilego, zdaniem Dantego, charakteryzuje się poważnym tematem, subtelnym stylem, napisane zostało szlachetną łaciną. Cechy stylistyczne, język oraz zło zakończenie wyróżniają ówczesne pojmowanie tragedii, któremu przeciwstawia Dante swoją *Commedię*. Napisana w języku ludu – *lingua volgare* – dobrze się kończy. Poeta opowiada w niej także tragiczne historie. Paolo i Francesca poruszają go do tego stopnia, że mdleje, hrabiego Ugolino nie sposób zapomnieć. Jednak tragedie postaci spotkanych w *Piekle* mają uzasadnienie, rozsądną, sprawiedliwą zasadę. Steiner dostrzega podobieństwo, nieco tylko szarżując, prób ominięcia tragedii w chrześcijaństwie i marksizmie. „Światopogląd marksistowski, nawet wyraźniej niż chrześcijański, dopuszcza błąd, ból i chwilową porażkę, lecz nie ostateczną tragedię”. Przekonanie, że można opanować świat przyrody i historii, nasuwa mu porównanie: „marksistowska koncepcja historii to w zasadzie świecka *commedia*”. *Optymistyczną tragedię* Wsiewołoda Wiszniewskiego z 1934 r. kończy antytragiczna konkluzja. Marksistowski optymizm – „konieczność jest ślepa tylko wówczas, gdy się jej nie pojmuje” – służy Steinerowi za argument ukazujący jedną z przyczyn zaniku tragedii.

W artykule *Variations sur Créon* z 1983 r. powraca do tragedii, tym razem ukazując historię fascynacji Kreonem. Z mitu Antygony, który można odnaleźć w powieści Alfreda Döblina *November 1918*, wyrasta nie mniej znaczący mit Kreona. Dzisiaj to sekretarze Kreona zajmują się przypadkiem Antygony, zauważył Dürrenmatt. Również w wykładzie pt. *Art and Chess* (Sztuka i szachy), wygłoszonym w Tate Gallery w 1991 r., Steiner przybliży geometrię konfliktu tragicznego. Napięcia pojawiające się podczas gry w szachy pomiędzy figurami czarnymi i białymi, w tebańskim pałacu pomiędzy Kreonem i Antygoną, opozycja miłości i nienawiści, siły i słabości tkają sieć, w którą wpadną bohaterowie. Steiner sam przeżył epizod fascynacji szachami podczas studiów w Chicago. Przez kilka miesięcy, o czym wspomina w jednym z wywiadów, wahał się, czy zajmować się dalej literaturą, czy poświęcić całkowicie szachom. Obie pasje połączył w eseju *Śmierć królów* (1968) opublikowanym w „New Yorkerze”. Omawia w nim literackie opowieści o szachistach i ich „przepięknej monomanii”, przyglądając się zwłaszcza *Schachnovelle* Zweiga i *Obronie Lużyna* Nabokowa.

Obecna nieobecność

CO SPRAWIŁO ZATEM, ŻE W NOWOCZESNYM ŚWIECIE TRAGEDIA ABSOLUTNA zniknęła? Pojawiają się liczne hipotezy. Jednym z powodów jest zanik



poetyckiego języka. Tragedie były pisane wierszem, „przez ponad dwa tysiące lat, wiersz był niemal nierozłącznie związany z pojęciem dramatu tragicznego. Koncepcja tragedii prozą jest wyraźnie współczesnej proveniencji i dla wielu poetów i krytyków wciąż ma posmak paradoksu”. Do jej śmierci przyczyniło się przedawnienie formy wiersza scenicznego, nowe gatunki: powieść i opera, zmiana oczekiwań publiczności. „W *Nowej Heloizie* i w *Werterze* tragedia przeistoczyła się w zjawisko osobiste, a prywatna tragedia staje się domeną nie dramatu, lecz nowej, dopiero rozwijającej się sztuki powieści”. Na przemiany społeczne odpowiada typ dramatu Ibsena i Czechowa. Przedstawili oni współczesny świat z pomocą scenicznej prozy i realizmu, w sposób równie bogaty i przekonujący jak „konwencje tragedii pisanej wierszem”. Steiner sądzi, że do upadku tragedii absolutnej przyczyniła się klęska romantyków. Nie potrafili oni przywrócić ideału wysokiej tragedii, co doprowadziło do rozdziału pomiędzy literaturą i teatrem oraz radykalnej zmiany w pojmowaniu tragizmu i komizmu widocznej u Czechowa, Pirandella, w sztukach Becketta. Łagodząc swoją tezę, mówi, że jego praca nie dowodzi, by tragedia absolutna nie mogła kiedyś powstać. W kilku miejscach wspomina o filmie, lecz nie rozwija myśli. Być może w kinie należy szukać obrazów tragedii w sztuce? Filmy Michaela Hanekego, doświadczonożego reżysera teatralnego, takie jak *Miłość* (2012), mają wiele wspólnego z tragedią. Fabrykę tragedii ukazał László Nemes w filmie *Syn Szawła* (2015), zaś krótki film Andrzeja Brzozowskiego *Przytorze kolejowym*

z 1963 r., zachowując jedność czasu i miejsca, pozwala dojrzeć jej kształt. Film nie spełnia postulatów formalnych tragedii, niemniej przypomina jej daleką krewną, potrafi budzić litość i trwogę. Rozważania Steinera o tragedii są zarazem rodzajem krytyki kultury, szkicują filozofię dziejów, a jedną z jej współczesnych wyznacza tragedia absolutna. Społeczne i kulturowe przemiany nowoczesnego świata, jawiące się Steinerowi często jako regres i kryzys, łączy on z nieobecnością „rzeczywistej obecności”.

Steiner bowiem formułuje jeszcze jedną hipotezę. By mogły powstawać wielkie dzieła przeszłości, tragedie greckie, sztuki Szekspira, potrzebne było założenie istnienia Boga, bogów, obecności sił wyższych. Wraz z nowoczesnym topnieniem konsensusu dotyczącym istnienia boskości umarła tragedia absolutna. „Tragedia zalicza się do tych form sztuki, które wymagają nieznośnego ciężaru boskiej obecności – zauważa. – Dziś jest martwa, ponieważ Boży cień nie pada na nas, tak jak padał na Agamemnona, Makbeta czy Atalię”. Tym samym brak obecności Boga / bogów warunkujący jego zdaniem wielkie dzieło ma swój udział w nowoczesnej śmierci tragedii. „Dramat tragiczny mówi nam, że rozum, porządek i sprawiedliwość mają ograniczony zasięg i nie może tego zmienić ani rozwój nauk, ani postępy techniki. Na zewnątrz człowieka i w jego środku znajduje się *l'autre*, inność tego świata”. W *Rzeczywistych obecnościach* (1989) rozwija założenia: „Czy chcemy, czy nie (...) mieszkamy w sąsiedztwie transcendencji. Poezja, sztuka, muzyka to medium owego sąsiedztwa” (tłum. O. Kubińska). Muzyka zdaniem Steinera najbardziej materializuje ową wizję, wnosząc logikę sensu odmienną od logiki rozumu. Celebrytuje tajemnicę przeczuć transcendencji. Nieco tajemnicze uwagi, wprowadzając *quasi*-religijny wymiar do jego rozważań, przybliżają rozumienie tragedii: „Bóg szczególnie często nawiedza tragedię – do tej pory chyba najbardziej elokwentny, dociekliwy ze wszystkich gatunków estetycznych”. Steiner uważa, że źródło tragedii, które wyszło wraz ze „śmiercią Boga” i agnostycznym sekularyzmem, tkwi w pogłębieniu tego, co nie do przyjęcia, w „otchłanności”.

W *Rzeczywistych obecnościach* deklaruje: „Zakładam istnienie transcendencji, przyjmuję, że w akcie twórczym i jego recepcji, w doświadczeniu znaczącej formy kryje się założenie obecności”. Formułuje tym samym swoisty dowód na istnienie. W jednym z wywiadów mówi, że jest niewierzący i niepraktykujący, w innym wspomina deistyczną, Wolterowską religijność ojca. Píše o nim w przedmowie do *Śmierci tragedii*: „Sztuki, które tutaj omawiam (...), czytał mi w dzieciństwie (...). Od samego początku






□ Przedstawienie *Edyp w Kolonie* na festiwalu sztuk starożytnych w Epidauros w Grecji, 17 sierpnia 2018 r. fot. Giannis Alexopoulos/NurPhoto/Gettyx

odrzucał wszelki prowincjonalizm w sprawach umysłowych. (...) Nauczył mnie, że wielka sztuka nie jest zarezerwowana wyłącznie dla specjalistów (...), że najlepiej ją poznać i najbardziej pokochać może ten, kto żyje w sposób najintensywniejszy”. Dowody „obecności” odnajduje Steiner w artystycznej tradycji, w różnego typu dziełach: *Kwintecie* Schuberta i *Pani Bovary*, w tryptyku z Isenheim Grünewalda i *Ptaku* Brâncușiego. Ubolewa, że

ludzie nowocześni dostrzegają je z coraz większym trudem. *Credo* religii sztuki Steinera brzmi pozornie prosto: „Znaczenie literatury, sztuki, muzyki, wskazuje na konieczną możliwość rzeczywistej obecności”.

Listonosz i lektor

W KSIĄŻCE O JĘZYKU I MYŚLI HEIDEGGERA (HEIDEGGER, 1978), WYJAŚNIAJĄC, dlaczego nieprofesjonalny filozof napisał o filozofii, Steiner przedstawia swoje zainteresowania, wymieniając trzy obszary. Pierwszy dotyczy interpretacji tragedii ludzkiej i jej relacji z państwem mającej podwójne źródło w tragedii greckiej i śmierci Sokratesa. Drugi obszar obejmuje naturę i rozwój języka ze szczególnym zainteresowaniem przekładem. Autor tekstu *Przekład jak conditio humana* (2004) sądzi, że każdy akt językowy jest przekładem. Trzeci dotyczy związków pomiędzy dziełami artystycznymi, 

filozoficznymi i naukowymi oraz XX-wiecznymi totalitaryzmami. Dalej, charakteryzując swoją praktykę zawodową, przywołuje dwa niemieckie terminy: *Sprachphilosophie* i *Kulturkritik*, filozofia języka i krytyka kultury. Przybliżając swoje rzemiosło w innych publikacjach, posługuje się metaforą listonosza. Powołuje na Puszkina, który lubił powtarzać wydawcom, krytykom i tłumaczom, że im dziękuje z całego serca za ich wysiłek, lecz teksty to on pisze sam. Oni zaś pomagają dostarczyć je innym. Różnica pomiędzy twórcą dzieła,

wiedliwość i zagrażający życiu ciężar. Niewielu ludzi – to Hölderlin – musi schwytać błyskawicę gołymi rękami”.

Nienasycona hermeneutyka kultury Steinera, głodna wrażeń, potrafi zaskoczyć tematami esejów jak w przypadku tekstu *Nocne słowa. Pornografia wysokich lotów a intymność*. Wspólnym mianownikiem jego poszukiwań jest zazwyczaj analiza języka. Albo krytyka, której przykładem jest esej *Koneser zdrady* (1980), poświęcony wybitnemu historykowi sztuki i szpiegowi Anthony'emu Bluntowi. Przybliżając działalność jednego ze światowej sławy znawców Poussina, związanego z Instytutem Warburga w Londynie, doradcy Jej Królewskiej Mości do spraw sztuki i szpiega KGB w jednej osobie, rozważa postawę elit uniwersyteckich, ich ograniczenia i pasje. „Zdrada i obłuda profesora Blunta nakłaniają do sformułowania fundamentalnych pytań o naturę intelektualno-akademickich obsesji, o współistnienie w ramach jednej i tej samej wrażliwości najwyższej prawdy i fałszu” (tłum. O. i W. Kubiński). Steiner przygląda się owej wrażliwości również w innych esejach i studiach. Ulubionym poetą obok Paula Celana jest Ezra Pound, z francuskich pisarzy Louis-Ferdinand Céline, z niemieckich filozofów Martin Heidegger. Zwraca uwagę ich żarliwy antysemityzm. „Zmagałem się z tą łamigłówką przez czterdzieści lat czytania, pisania i nauczania. »Przypadek Celine'a« (...), w porównaniu z którym prostacki faszyzm Ezry Pounda, zatwardziały antysemityzm T.S. Eliota czy głoszony przez W.H. Audena postulat »koniecznego morderstwa« (...) należą do zjawisk nader powierz-

chownych”. Sądzi, że Destouches jako człowiek (tak nazywał się Céline) nie zasługuje na usprawiedliwienie, jednak jego dzika pieśń „nadal ożywia język i otwiera go na nowe użycia”. Według Steinera bronią ich oryginalność i wyjątkowość językowa mimo poglądów i wyborów życiowych. Zgadzając się z krytykami co do marności antysemickich przekonań, usprawiedliwia myśl Heideggera. Przywołuje usłyszaną podczas debaty uwagę Gadamera: to był wielki myśliciel i mały człowiek. Po oddzieleniu dzieła od autora sąd estetyczny przeważa nad etycznym.

Gęsty splot łączący autorów i teksty najczęściej czytane w oryginale, katalogi nazwisk i tytułów, skoki historyczne i zaskakujące asocjacje pozwalają podczas czytania pism Steinera przeżyć *rollercoaster*. Esei poświęcony przyczynom niechęci Tolstoja i Wittgensteina do Szekspira nie ogranicza się do uwag o filozofii Wittgensteina. Zahacza o jego upodobania estetyczne i niemieckojęzyczną recepcję Szekspira. Odpowiedź wymaga dróg okrężnych, gdzie ważne okaże się znaczenie niemieckiego słowa *Dichter*. Głównym obszarem jego zainteresowań pozostają literatura, sztuka (wiele pisze o muzyce), filozofia nowożytna i współczesna, językoznawstwo. Dzięki studiom klasycznym swobodnie sięga do literatury i myśli antyku, fascynuje go Biblia, której – nad czym ubolewa – nie

dziełem a czytelnikiem, odbiorcą, zdaniem Steinera jest abisalna. Nie umniejsza on znaczenia pracy tłumaczy, krytyków i wydawców, lecz wprowadza dystynkcje, podkreślając wagę dzieła artystycznego. Zadaniem listonosza jest je dostarczać i pomóc czytać, zrozumieć. W humanistyce, pisze w *Dziesięciu (możliwych) przyczynach smutku myśli* (2005), wszystko, co uznajemy za oryginalne, „niemal zawsze jest odmianą lub innowacją formy” (tłum. O. i W. Kubiński). Faktyczna oryginalność myśli, „pomyślenie danej myśli po raz pierwszy”, należy do rzadkości. Nie ma w geniuszu „miejsca na demokrację; mieści się tu wyłącznie straszliwa niespra-

Czy da się ważyć na szalach osądu wysoką sztukę i ludobójstwo? Masowe mordy i dzieła artystyczne, które zachwycają?

czyta w oryginale. *Basso continuo* poszukiwań jest jego sceptyczny stosunek do nowoczesnych przemian, prześwitujący w koncepcji śmierci tragedii. W eseju *W zamku Sinobrodego* (1971), z podtytułem: *Kilka uwag w kwestii przededefiniowania kultury*, w czterech odsłonach zawarł krytykę czasu, w którym „słowa uległy korozji wskutek fałszywych nadziei i kłamstw, jakim udzieliły głosu” (tłum. O. Kubińska). Problem erozji języka łączy Steiner z zachwytem nad możliwościami tworzenia zdań kontrfaktycznych lub czasu przyszłego. Trafnie zauważa, że pesymistyczna krytyka kultury jest tworem pozytywnym, dlatego jego książki zazwyczaj głoszą pochwałę języka, żywiołu, który tworzy człowieka.

Do repertuaru krytyki kultury należą zmiany zachodzące w sposobach kształcenia, o czym wiele mówi w książce *Nauki mistrzów* (2003). Jeden z ich skutków stanowi utrata umiejętności czytania klasycznych tekstów. Wymagania stawiane studentom Cambridge, by znali opinie T.S. Eliota o Dancie, nie znając dzieł florenckiego poety, zdają się Steinerowi przykładem upadku edukacji. Zanik znajomości klasycznych tekstów może prowadzić, stwierdza w eseju *Humanae Literae*, do przerwania relacji z przeszłością, utraty ciągłości kulturowej. Przybliżając zadania komparatystyki literackiej, powraca do sztuki czytania całych tekstów, z lękiem i przyjemnością. Podkreśla, że w stosunku do twórczości czytanie to akt wtórny, jednak nigdy nie był tak ważny jak obecnie, za sprawą zaniku zdolności czytania i rozumienia. Nieznajomość klasycznych

tekstów może sprawiać, że owe największe ludzkie akty twórcze zapadną w ciszę. Książki, podobnie jak muzyka wykonawców, potrzebują czytelników.

Budowałem moje życie emocjonalne, intelektualne i zawodowe, nie ufając teorii – pisze w autobiografii *Errata* (1997). Jedną ze słabości, do których się przyznaje w wywiadzie Laure Adler, jest brak odwagi, by rzucić się w twórczość artystyczną. Nie brakuje mu jednak odwagi w pracy listonosza. W *Rzeczywistych obecnościach* wszczyna polemikę wokół znaczenia teorii w naukach humanistycznych, zaczynając od historii pojęcia. Ukazuje nowożytną przemianę znaczenia, kiedy to teoria – kolejne pojęcie wynalezione przez Greków, które zrobiło karierę – stała się podstawą nauk przyrodniczych. Zakłada ona policzalność, wymierność, sprawdzalność, możliwość opisu powszechnych praw. Od czasu gdy Kartezjusz i Newton przedstawili wyjaśnienia mechaniki nieba, aż po współczesne teorie, idzie o znalezienie obiektywnych praw rzeczywistości empirycznej, przekonuje Steiner. Dlatego posługiwanie się koncepcją teorii w interpretacji, w krytyce, w odniesieniu do literatury, muzyki, sztuk plastycznych uważa za „pomyłkę kategorialną”. Przenoszenie pojęcia z nauk ścisłych w obszar, gdzie rządzą już inne reguły twórcze i poznawcze, ma za zadanie dowartościować naukowo humanistykę. Za Popperem twierdzi, że teoria winna być falsyfikowalna lub przynajmniej weryfikowalna, musi udowodnić własną przydatność w orzekaniu o przedmiotach. Dzieła artystyczne, literackie wymykają się teoretycznym aktom mowy, gdyż każde z nich jest pewnego rodzaju osobliwością, zjawiskiem przypadkowym, fenomenem, który mógł, chociaż nie musiał, pojawić się w postrzegalnej formie. Sąd estetyczny, interpretacja znaczenia dzieła stanowi pochodną indywidualnego procesu recepcji, subiektywnego odczytania reorganizującego tekst lub dzieło sztuki. Co gorsza, jedne interpretacje nie unieważniają poprzednich: „Edyp Arystotelesa czy Edyp Freuda istnieje tak samo jak Edyp Sofoklesa”.

Gdy w uznawanym często za najważniejsze dzieło *Po wieży Babel* (1975) podsumowuje historię osiągnięć językoznawstwa, porządkuje rozległą dziedzinę w swoim stylu: „Humboldt jest jednym z bardzo niewielu myślicieli zajmujących się językiem – wymieniłbym na krótkiej liście Platona, Vico, Coleridge’a, de Saussure’a, Romana Jakobsona – którzy wnieśli coś nowego i istotnego do dyskusji na ten temat” (tłum. O. i W. Kubińscy). W tym samym studium znajduje się polemika z papieżem językoznawstwa Noamem Chomskim. Wyliczając słabości teorii „struktur głębokich”, niespodziewanie powołuje się na własne doświadczenie: „Mój ojciec urodził się na północ od Pragi, a wykształcenie zdobył w Wiedniu. Panieńskie nazwisko mojej matki (...) wydaje się wskazywać na pochodzenie z Alzacji (...). Ja urodziłem się w Paryżu, dorastałem w Paryżu i Nowym Jorku. (...) O ile pamiętam, od zawsze w równym stopniu władałem językiem angielskim, francuskim i niemieckim”. Następnie twierdzi, że nie przypomina sobie, by któryś język pełnił funkcję pierwszego. Brak *Muttersprache*, wielojęzyczność, prowadzi od refleksji na temat problemów językoznawczych do uwag o środkowoeuropejskim i judaistycznym humanizmie. Doświadczenie osobiste człowieka przekładającego, emigranta, kosmopolity, euro-

pejskiego Żyda, jak o sobie mówił, ożywia jego poszukiwania przelamujące konwencje w imię obrony tradycji. W książce *Po wieży Babel* rozumienie języka i przekładu pozwala przedstawić mu pewną wizję świata. Pojawia się w niej problem entropii: „Ciągle pamiętam przedziwny cios wewnętrzny, którego doświadczyłem w dzieciństwie, kiedy zrozumiałem, że w wyniku przyszłych przemian termodynamicznych zachodzących na Słońcu pochłonie ono planety wewnętrzne wraz z dziełami Szekspira, Newtona i Beethovena”. I tak powraca nowoczesny wariant antynomii kosmosu i tragedii.

„Nie jestem zawodowym filozofem, ten zamknięty światek współczesnych technik filozoficznych negatywnie ocenia to, co napisałem” (tłum. W. Dłuski) – mówi Steiner w rozmowie z Raminem Jahanbegloo. Jakby szukając kłopotów, wyznaje, że nie uważał nigdy, by istniał „jakiś podział między poezją a filozofią, muzyką a matematyką. Jako porządny platonik uważam, że wszystkie dziedziny łączą”. O ile wszystkie dziedziny łączyli jeszcze Athanasius Kircher lub Leibniz, na przełomie XX i XXI w. zazwyczaj takie próby nie wychodzą. Za tą platońską wizją kryje się pewna formuła języka. Steiner wyróżnia trzy języki: uniwersalne matematyki (matematycznego przyrodoznawstwa) i muzyki oraz języki naturalne wymagające nieustannego przekładu i komparatystryki. Łącząc je, otrzymuje językową wizję całości, do której dochodzi jeszcze cisza. Jego pojmowanie komparatystryki jako poszukiwania dawnego i obecnego sensu

świata w języku, wyjaśnienia uwarunkowań oraz granic wzajemnego rozumienia i niezrozumienia pomiędzy językami ukazuje główny żywioł jego dociekań. W tej samej rozmowie z Jahanbegloo przyznaje: „To prawda, że mogę popełniać błędy, tym bardziej że niecierpliwość, z jaką dążę do sedna rzeczy, niekiedy zwodzi mnie na manowce”.



W ESEJU *THE UNCOMMON READER* (NIEZWYKŁY CZYTELNIK, ZE ZBIORU *NO passion spent. Essays 1978–1996*) inspiracją do namysłu jest obraz Jeana Charidina *Le Philosophe lisant* pochodzący z 1734 r. Czytający filozof, jego ubiór, światło, pomieszczenie, klepsydra, otwarta księga pozwalają Steinerowi rozważać, czym jest czytanie. Jak zwykły robić, porusza się po okrężnych drogach. Uwagi o czytaniu prowadzą w kierunku ćwiczeń duchowych, święta jako niecodzienności, rozważań o ciszy i kontemplacji. By uważnie czytać, potrzebna jest samotność, liczy się doświadczenie osobiste, przeżycie towarzyszące lekturze, skupienie. Relacja pomiędzy czytelnikiem a tekstem – Steiner używa tu włoskiego słowa *cortesia* – między czytelnikiem a czasem jest grą egzystencjalną najwyższej wagi. Podczas czytania traci się własne życie, jednocześnie przedłużając życie tekstu. Czytelnik doświadczony, praktykujący sztukę nie pozostaje bierny, pisze marginalia, notuje, sprzeciwia się, dialoguje z autorem. Czytać dobrze to prowadzić rozmowę, odpowiedzieć na tekst, wymienić się z autorem. Steiner podkreśla przywilej posiadania biblioteki, możliwość czytania w ciszy, która wydaje się obecnie luksusem. Odróżnia „życie jako życie”, gdzie liczy się bezpośrednie doświadczenie (o którym pisał Husserl), od „życia słowa”, refleksyjnego, niekiedy melancholijnego życia z tekstami, które potrafi być intensywne i głębokie. Czytając i ucząc się tekstów na pamięć (*by heart*), Steiner łączy swoje życie z dziełami. Syci je tekstem, słowem, tak by stało się „obecne”. Żyje, gdy jest czytany i kiedy czyta. Poznanie nie oznacza czerpania wiedzy z rzeczywistości, ale nałożenie na nią pewnego schematu myślowego, który można czerpać z wielkich dzieł. — z

Korzystałem z książek George'a Steinera oraz przekładów tekstów i wywiadów umieszczonych w „Przeglądzie Politycznym” (nr 91/92, 2008), a także antologiach Przekładając nieprzekładalne. O wierności, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2009 oraz Niewspółmierność. Perspektywy współczesnej humanistyki, red. T. Bilczewski, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010.

Stefan Klemczak

Dr hab., filozof, pracuje w Instytucie Religioznawstwa UJ. Zajmuje się antropologią filozoficzną i teorią mitu. Autor m.in. książki *Deus ex metaphora. Bóg filozofów i jego funkcje* (2019)

Kościół – mój dom?

Jest nadzieja

Postawa czterech biskupów pomocniczych, którzy wybrali solidarność ze skrzywdzonymi zamiast milczenia i lojalności wobec abp. Dzięgi, jest dla mnie znakiem nadziei dla Kościoła w Polsce

Wymuszona przez Watykan rezygnacja abp. Dzięgi przejdzie do historii Kościoła w Polsce nie tyle ze względu na sam fakt jego dymisji, ile z powodu towarzyszących jej okoliczności.

Zacznijmy od tego, że Stolica Apostolska – jak ma to w zwyczaju – nie wyjawia przyczyn odejścia metropolity szczecińsko-kamieńskiego. Nuncjusz ogłosił jedynie enigmatyczny komunikat o przyjęciu jego rezygnacji przez papieża (24 lutego). A przecież duża część wspólnoty Kościoła w Polsce od lat czekała na tę dymisję, uważając urzędowanie Dzięgi – w sytuacji, kiedy stawiane są mu zarzuty (m.in. o tuszowanie przestępstw seksualnych popełnionych przez ludzi Kościoła) – za skandal i źródło zgorzenia, i licząc na ujawnienie prawdy o czynach i zaniechaniach arcybiskupa.

Jak można się było spodziewać, milczenie nuncjusza wykorzystał sam zainteresowany, ogłaszając (24 lutego) ociekający pobożnością list do księży, w którym tłumaczył swą rezygnację pogarszającym się stanem zdrowia. Obciążony tak poważnymi oskarżeniami, nie skorzystał przy tym ze sposobności, aby wyrazić skruchę, ograniczył się jedynie do ogólnikowych przeprosin. Jednak nie zwrócił się z nimi do pokrzywdzonych i zgorzonych, tylko do współbraci w kapłaństwie – na wypadek gdyby „[jego] stałości, w tym niepełne zrozumienie określonych okoliczności, a czasem nawet (...) zwykłe ludzkie zmęczenie”, stały się przyczyną ich „niepokoju” (!).

Te słowa wywołały burzę. I nie chodzi tu tylko o komentarze takich osób jak Tomasz Terlikowski, Zbigniew Nosowski czy ks. Alfred Wierzbicki, ale o fakt niemający precedensu we współczesnej historii Kościoła w Polsce. Mam tu na myśli publiczne zabranie głosu przez kilku biskupów pomocniczych, dla których wierność Ewangelii okazała się silniejsza od *quasi*-korporacyjnej lojalności wobec współbrata w episkopacie. Warto zapamiętać nazwiska tych biskupów: Artura Ważnego (to on zaprotełstował jako pierwszy – i uczynił to już 25 lutego), Grzegorza Suchodolskiego, Adama Baba i Piotra Wawrzynka. Co w tym kontekście ważne, wszyscy czterej spotkali się niedawno z Tością Szewczyk, osobą skrzywdzoną, autorką książki *Nie umarłam*.

Być może – oby! – dołączą do nich kolejni hierarchowie, pomimo wylewanego na nich przez niektóre środowiska wiadra pomoy. Bo przecież – jak napisał w mediach społecznościowych bp Suchodolski – „są wybory (moralne) ważniejsze niż wybory nawet najważniejszego



Janusz Poniewierski

Publicysta, redaktor „Znaku”, autor monografii o Janie Pawle II *Pontyfikat. 1978–2005*

prezydium; jest kapitał duchowy (...) o wiele ważniejszy niż stary lub nowy fundusz kościelny; jest prawda formująca (...) bardziej niż jedna lub dwie godziny religii w tygodniu”.

Te słowa – i wyrażona przez biskupów solidarność ze skrzywdzonymi – są dla mnie promykiem nadziei dla Kościoła w Polsce. I już teraz jakoś zmieniają kościelną rzeczywistość. Świadczy o tym chociażby kolejne stanowisko nuncjatury apostolskiej, która – pod naciskiem opinii publicznej – zdecydowała się (26 lutego) jednak ogłosić, że powodem dymisji abp. Dzięgi nie były problemy zdrowotne, ale wyniki dochodzenia prowadzonego przez Stolicę Apostolską. Szkoda tylko, że nawet teraz nie nazwano rzeczy po imieniu (i nie powiedziano wprost o tuszowaniu przestępstw popełnionych przez ludzi Kościoła, ochronie sprawców, matactwach procesowych itp.), ograniczając się jedynie do stwierdzenia, że chodzi tu o „zaniedbania, o których mowa

w dokumencie papieskim *Vos estis lux mundi*”.

To wielka sztuka: tak mówić, żeby powiedzieć jak najmniej.

*

Śmierć niemieckiego teologa i tłumacza Winfrieda Lipschera (1938–2024) odnotowuję na tych łamach nie tylko z poczucia kronikarskiego obowiązku, ale i z potrzeby serca. Ten niemiecki Warmiak, do 1957 r. mieszkający w Barczewie, był bowiem przyjacielem Polski (a także szeroko pojętego środowiska Znaku), jednym z pionierów pojednania niemiecko-polskiego, człowiekiem, który mawiał o sobie, że jest „Niemcem z polską wrażliwością”, „człowiekiem funkcjonującym równolegle w dwóch światach i dwóch kulturach: polskiej i niemieckiej”.

Jako radca ambasady RFN w Warszawie, świetnie znający nasz język, a w dodatku świadomy katolik, nawiązał bliski kontakt z kard. Wyszyńskim i stał się nieformalnym pośrednikiem (jak sam mówił: „listonoszem”) pomiędzy prymasem i kanclerzem Helmutem Schmidtem.

Był człowiekiem nadziei. Mimo ostatnich lat, w których pojednanie polsko-niemieckie z wyboru naszych władz bywało tak mocno kwestionowane, on wciąż w nie wierzył i nie poddawał się pokusie zniechęcenia. I do końca życia – mimo zmniejszających się wraz z wiekiem możliwości – ciągle to dialogiczne poletko uprawiał. — **Z**

7 marca 2024 r.

Malarka czasów Goethego

PIOTR OCZKO

Anna Dorothea Lisiewska-Therbusch była jedyną niemiecką malarką, która w swej epoce osiągnęła spektakularny sukces – nie udało się to żadnej innej tworzącej wówczas kobiecie. A wszystko to osiągnęła, będąc w dużej mierze samoukiem

*An Robert, meinen Ehemaligen
Lebensgefährten*

URODZIŁEM SIĘ 28 LAT PO wojnie i wychowałem zarówno na traumach Dziadków, jak i na wszechobecnej w szkole „antykrzyżackiej” propagandzie (Krzyżak oczywiście pochodził z RFN). Moja przygoda z kulturą niemiecką nie miała więc dobrego początku. Gdy w 1989 r. pojechałem po raz pierwszy na Zachód, do Fryburga Bryzgowijskiego (młodszym Czytelnikom i Czytelniczkom wyjaśnię, że trzeba było wówczas mieć wizę i zaproszenie), Babcia nie mogła spać po nocach przekonana, że w kraju potworów na pewno spotka mnie coś złego (było dokładnie na odwrót). W jaki jednak sposób z bezczelnego ośmiolatka, który niemieckim turystom na Wawelu rzucił pogardliwe: „Heil Hitler”, wyrósł germanofil? Stało się tak przede wszystkim za sprawą języka, w którym zakochałem się do tego stopnia, że nawet myślałem o germanistyce. Do dziś zresztą sądzę, że

nie ma piękniejszego wyznania miłosnego niż zamykające wiersz Rilkego wersy „*und wirfst du in mein Hirn den Brand, / so werd ich dich auf meinem Blute tragen*” („a jeśli w mózg mój rzucisz swe płomienie, / ja ciebie na krwi mojej będę niość”, tłum. M. Jastrun). A potem przyszło kilka ważnych pobytów w Niemczech i przede wszystkim ktoś, kto mi wówczas towarzyszył. Upalny, pachnący czerwonym joopem, tętniący energią i niezgentryfikowany jeszcze berliński Prenzlauer Berg latem 2000 r. Ulm, do którego pojechałem mniej więcej w tym samym czasie, dołączając nieoficjalnie do wymiany licealnej młodzieży jako opiekun. Mieszkałem wtedy u nauczycielki biologii w eleganckich wnętrzach urządzonych resztkami burżuazyjnej świetności, paroma biedermeierami i XVIII-wiecznymi portretami przodków. Na ścianie wisiało też zdjęcie w sepii przedstawiające rodzinną manierystyczną kamienicę udostępnioną kiedyś NSDAP. „Przetrwiała bombardowania, ale zburzyli ją po wojnie, choć przecież dom nic im nie zawinił” – tłumaczyła gospodyni. By sparafrazować Stefana Chwina – niestety, Faust miał tu jednak wstęp. Były jeszcze Görlitz Jakoba Böhme, Spreewald i pojawiające się na horyzoncie wieże Naumburga. Wreszcie Turynia, Jena oraz Weimar i letni dom Goethego, który wywarł na mnie ogromne wrażenie: sosnowe podłogi, batystowe firanki w oknach, kilka skromnych oryginalnych mebli i marmurowych popiersi. Kwintesencja prostoty, spokoju i niemieckiego mieszczaństwa w najlepszym wydaniu.

Z Mazur do Prus

W TAKICH POKOJACH RACZEJ NIE MIESZKAŁA MALARKA, KTÓRĄ GOETHE poznał zresztą osobiście. Anna Dorothea Lisiewski (lub Lisiewska) urodziła się 23 lipca 1721 r. w Berlinie jako siódme z dziewięciorga dzieci Georga i Marii Elisabethy z domu Kahlow, córki pomorskiego organo-

O DAWNYCH ARTYSTKACH I ICH ŚWIATACH

□ Anna Dorothea Lisiewski-Therbusch, *Autoportret w monoklu*, 1782. Gemäldegalerie, Staatliche Museen zu Berlin, Berlin fot. domena publiczna



CYKL: „MALARKI TYLKO PRZYSZPILAJĄ CIEŃ..”

mistrza. Matkę straciła, mając 12 lat. Ojciec był nadwornym malarzem, wziętym portrecistą arystokratów, a przede wszystkim oficerów i generałów. Zmilitaryzowane Prusy pod panowaniem Fryderyka Wilhelma I, króla żołnierzy, zdecydowanie nie były ojczyzną dla muz. Dość wspomnieć, że monarcha bez wahania wymienił swe zbiory chińskiej porcelany na kilkunastu roślących chłopów, których do jego pułku olbrzymów dostarczył mu z Saksonii August II Mocny. Surowe, oszczędne w wyrazie i niezdradzające emocji pozujących obrazy malarza musiały się więc niewątpliwie na dworze podobać (jeden z nich, portret Friedricha von Tettau, ma w swoich zbiorach Muzeum Narodowe w Warszawie).

Choć czasem Annę Dorotheę określa się jako Polkę, polskie było jedynie nazwisko zakończone na -ski. Dawniej uważano Georga za drobnego szlachcica z Oleśka w dzisiejszej Ukrainie, obecnie jednak przyjmuje się, że pochodził on z Olecka (niem. Marggrabowa) w Prusach Wschodnich, gdzie żyło wielu Lisiewskich, zniemczonych potomków osadników z Mazowsza. Z całą pewnością był za to luteraninem, a w Berlinie należał do wspólnoty pietystów. Nie wiemy, gdzie nauczył się fachu – istnieje hipoteza, że był służącym architekta Johanna Friedricha Eosandera von Götheho, który zauważył jego talent i posłał go na naukę do Davida von Kraffta, nadwornego malarza w Szwecji, o czym świadczą mogą podobieństwa stylistyczne pomiędzy oboma twórcami. Georg miał potem ze swym chlebowcą przybyć do Berlina.

Lisiewski musiał dbać o rozwój swoich dzieci, sam je też kształcił – malarstwem zawodowo zajęło się aż troje z nich. Starsza siostra Anny Dorothei Barbara (znana później jako Anna Rosina de Gasc) poślubiła artystę i tworzyła na dworach w Anhalt-Zerbst i Brunshwiku, zaś młodszy brat Christoph Friedrich Reinhold pracował w książęcych rezydencjach w Dessau, Lipsku, Dreźnie i Ludwigsluście. Co więcej, karierę malarską wybrały też potem dwie wnuczki i dwóch wnuków Georga.

Anna Dorothea od ojca nauczyła się podstaw warsztatu portrecisty, do wszystkiego innego dochodziła sama. Na jej wczesną berlińską twórczość wywarł silny wpływ Antoine Pesne, francuski malarz i dyrektor berlińskiej akademii sztuk pięknych, a przy tym konkurent Lisiewskiego na dworze. Za jego sprawą w Prusach pojawił się też nowy, świeży styl – rokoko, który rozkwitł po objęciu tronu przez Fryderyka II Wielkiego. Młoda malarka kopiowała prace Pesne'a i tworzyła tzw. *fêtes galantes* (wytworne zabawy), czyli przedstawienia dworskich rozrywek, w których celowali Antoine Watteau, Jean-Baptiste Pater i Nicolas Lancret. Do tej właśnie tradycji nawiązują jej dwie najwcześniejsze prace, *Huśtawka* oraz *Towarzystwo grające w lotki* – obraz, który namalowała, mając 20 lat. Wyraźnie widać, że pod względem technicznym obraz jest surowy i niedokładny, jakby podpatrzony u ojca, natomiast kompozycja w pełni oryginalna i własna.

Wyrodna matka?

KRÓTKO PO NAMALOWANIU TYCH SCEN, W 1742 R. ANNĘ DOROTHEĘ WYDANO za starszego o 10 lat zamożnego berlińskiego karczmarza Ernsta Friedricha Therbuscha. Przez kolejne dwie dekady pomagała mężowi prowadzić gospodę „Zur weißen Taube” (Pod Białym Gronem) przy dawnej Heiliggeiststraße 21 – rzut kamieniem od tego miejsca stoi dziś słynna wieża telewizyjna na Alexanderplatz. Zajmowała się też domem i urodziła pięcioro dzieci, z których jedno nie przeżyło. Pierwszy biograf artystki, Johann Georg Meusel w szkicu *Lebensumstände der Madame Therbusch* (Koleje życia Madame Therbusch, 1783) wspominał o niezyczliwej teściowej nierozumiejącej artystycznych aspiracji

Pierwszy biograf artystki wspominał o niezyczliwej teściowej powtarzającej nieustannie, że powinnością kobiety jest wydawanie na świat potomstwa oraz troska o gospodarstwo. Anna Dorothea nie zapomniała jednak o malowaniu i robiła to w tajemnicy

□ Anna Dorothea Lisiewski-Therbusch, *Autoportret z rodziną w ogrodzie*, ok. 1750. Stiftung Stadtmuseum Berlin fot. domena publiczna



pani karczmarzowej i powtarzającej nieustannie, że powinnością kobiety jest wydawanie na świat potomstwa oraz troska o gospodarstwo. Nadmieniał także, że Therbusch czuła, iż nie należy do świata, w którym przyszło jej odgrywać rolę żony i matki. Na temat pożycia małżonków źródła milczą.

Anna Dorothea nie zapomniała jednak o malowaniu i wręcz, jak pisze Meusel, robiła to w tajemnicy. Z tego okresu znamy tylko jeden niezbyt udany obraz, *Autoportret z rodziną w ogrodzie* datowany na ok. 1750 r. Na tle gęstwiny drzew pomiędzy teściową we wdowim stroju i niańką siedzi sama artystka trzymająca na kolanach książkę oglądaną właśnie przez córkę, Annę Louise. Służąca podaje do stołu tacę z serwisem do herbaty. Po prawej stronie, niejako osobno, usiedli dwaj

mężczyźni – ten w czerwonym płaszczu z nieproporcjonalnie dużą dłonią to pan Therbusch. Na pierwszym planie możemy też zauważyć odpoczywającego psa. Zaskakująca jest przy tym kompozycja portretu zbiorowego, na którym malarka umieściła się wbrew konwencji epoki w samym środku sceny, co dodatkowo podkreślają jeszcze padające na nią światło i wyróżniająca ją zdobna zielona suknia, zdecydowanie odbiegająca od reszty ubiorów.

Gdy teściowa zmarła, a potomstwo przestało wymagać matczynej opieki, Anna Dorothea zdecydowała się na odważny i bezkompromisowy krok. W 1761 r. wybrała wolność i sztukę, opuściła rodzinę i wyjechała do Stuttgartu, by jako malarka pracować na rozpuszonym dworze księcia Wirtembergii Karola Eugeniusza, miłośnika sztuki i libertyna, a także, jak się szacuje, ojca ok. 70 nieślubnych dzieci. Niestety, nie wiemy, jak na tę decyzję zareagowali bliscy i jak ten niewątpliwie skandal przyjęła berlińska socjeta. W księdze kościelnej, w której odnotowano rozstanie małżonków, Ernsta Friedricha określono jednak jako *Candid. Juris*, czyli aplikanta. Najprawdopodobniej porzucił on rozpoczętą niegdyś karierę prawniczą, by objąć odziedziczoną po ojcu gospodę, mógł więc w jakimś stopniu rozumieć ambicje żony, tym bardziej że oficjalnie wyraził zgodę na jej samodzielne podróże, a nawet przez kilka lat wspierał ją finansowo.

W Stuttgarcie, w wieku 40 lat Therbusch malowała już zupełnie inaczej niż jako młoda dziewczyna dyletantka – po prostu świetnie, nieporównywalnie lepiej niż brat i ojciec, który mógłby się teraz od niej wiele nauczyć. Niemal mistrzowsko opanowała kolor, technikę i kompozycję, jej

CYKL: „MALARKI TYLKO PRZYSZPILAJĄ CIEŃ..”

obrazy nabrały miękkiego modelu, a wyraźną, toporną ojcowską manierę zastąpiła zachwycająca lekkość pędzla i celowa szkicowość. Nauczyła się oddawać faktury tkanin i zaczęła przedstawiać twarze w wymyślonym przez siebie specyficznym odcieniu różu, z rumieńcami nadającymi postaciom naturalności oraz pięknie kontrastującymi z bielą sukni i koszul – ta innowacja stanie się jej znakiem rozpoznawczym. Zmiany te tłumaczyć może jedno: Lisiewska-Therbusch nigdy *de facto* nie porzuciła sztalugi jako oberżystka, żona i matka cały czas się kształciła, do wszystkiego dochodziła samodzielnie, a wreszcie wypracowała własny styl. Jeśli w ogóle korzystała jeszcze ze wskazówek rodzica, to niedługo – odszedł bowiem w 1751 r. Musiała też w jakiś sposób promować swoją twórczość, wysyłać obrazy potencjalnym pracodawcom, robić plany i badać możliwości zarabiania na chleb – na wirtemburski dwór wybrała się bowiem nie w ciemno, ale na osobiste zaproszenie księcia.

Zaraz po przyjeździe szybko wykonała 18 supraport (alegorii sztuk, cnót i pór roku) do galerii lustrzanej w Nowym Pałacu, które zyskały powszechny poklask. Niestety, to pierwsze wielkie zlecenie strawił pożar, który wybuchł w 1762 r. – z tego okresu przetrwały głównie malowane przez nią wówczas portrety. W tym samym czasie została przyjęta jako członkini honorowa (*membra honoraria*) do założonej przez księcia miejscowej Académie des Arts; niedługo potem w swe szeregi wzięła ją też akademia bolońska. Dwa lata później przyszło kolejne zaproszenie, tym

razem z Mannheimu – książe elektor Karol IV Teodor Wittelsbach poprosił ją, by została jego malarką nadworną. Therbusch stworzyła tam wiele obrazów o tematyce mitologicznej i portretów, w tym dwa swego patrona. Na uwagę zasługuje zwłaszcza ten, na którym pozuje on w niebieskim stroju przepasanym czerwoną szarfą, z wyeksponowaną gwiazdą Orderu św. Huberta. Znak jego władzy: podbity gronostajami elektorski płaszcz, został rzucony na stół i krzesło – jest obecny, ale nienachalny. Książę jedną dłonią podpira biodro, w drugiej trzyma tabakierkę. Malarka, zamiast skupić się na pompie i przepychu, celowo zaakcentowała codzienność chwili i prywatność nowoczesnego oświeconego władcy, świadczącą przeciwieństwo o jego wielkości. Tym samym Therbusch stała się prekursorką nowego sposobu wyrazu, półoficjalnego rokokowego portretu w krajach niemieckich. Z tego samego okresu pochodzi też uznany natychmiast za arcydzieło *Portret Giovanny Chichiniere von Verschaffelt*, żony nadwornego rzeźbiarza księcia (ok. 1764, Alte Pinakothek w Monachium).

Nagi Diderot

ARTYSTKA SZYBKO ZACZĘŁA WYRABIAĆ SOBIE RENOMĘ, A ZADOWOLENI klienci chwalili ją i polecali znajomym. W 1765 r., po krótkiej wizycie w Berlinie, Therbusch wyruszyła na podbój Paryża. Cel miała ambitny – zostanie członkinią Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby, co oznaczało wówczas największy możliwy prestiż i przepustkę do międzynarodowej sławy. Dla kobiety i cudzoziemki było to niemal jak porwanie się z motyką na słońce. W odróżnieniu od swej poprzedniczki, Rosalby Carriery, Therbusch była we Francji zupełnie nieznaną, musiała przedstawiać listy polecające, a na dodatek miała jeszcze tupet, by zaistnieć nie jako portrecistka, lecz autorka scen historycznych sytuujących się w hierarchii tematów malarskich na samym szczycie. Pobyt w Paryżu znamy głównie z relacji i recenzji Denisa Diderota, z którym Anna Dorothea nawiązała bliższą znajomość. Publikowane były one na łamach „Correspondance littéraire, philosophique et critique”, poufnego i tym samym niecenzurowanego biuletynu poświęconego aktualnościom we francuskiej literaturze, sztuce i filozofii. Pisany ręcznie nieoficjalny periodyk abonowały żądne modnych nowinek europejskie dwory i arystokracja.

Pierwsze staranie się o członkostwo w Akademii było zarówno porażką, jak i uznaniem talentu Therbusch. Przedstawiony w 1767 r. obraz komisja odrzuciła, uznano bowiem, że jest zbyt dobry, by mogła go namalować kobieta. Artystka nie poddała się i niemal natychmiast poddała pod ocenę scenę rodzajową pt. *Młodzieniec trzymający w ręce kielich oświetlony świecą* – tym razem z sukcesem. 28 lutego została wpisana do ksiąg Akademii; powstałe zaraz potem dzieła sygnowała nawet z dumą „A.D. Therbouche de Lisiewska peintre du Roy de France”. Niestety, praca *Jupiter przemieniony w Pana ku zdziwieniu Antiope*, którą zgłosiła w tym samym roku na paryski salon, nie została przyjęta. Stwierdzono, że jest obsceniczna, ponieważ pokazano na niej nagie postaci. Diderot uważał zaś, że obraz ma „nieszlachetny charakter”, gdyż jako modelka posłużyła artystce jej pokojówka albo służka z oberży. Pisał też, że Therbusch była tak zrozpaczona odmową, iż „krzyczała,

rzuciła się na podłogę i chwyciła za nóż, nie wiedząc jeszcze, czy chce go wbić w siebie czy w obraz”.

Czytelnicy „Correspondance littéraire...” mogli zapoznać się również z historią powstania portretu Diderota, w zamierzeniu autora zapewne wyjątkowo dowcipną. Gdy pozował on artystce, ta utyskiwała, że szyję zasłania mu kołnierz. „By powstrzymać jej irytację, poszedłem za zasłonę, rozebrałem się i pojawiłem przed nią niczym model w akademii. (...) Byłem nagi, zupełnie nagi. Malowała mnie i roz-

mawialiśmy sobie z swobodą i niewinnością godną pierwszych wieków” – donosił autor *Kubusia Fatalisty*, ale zaraz potem nadmieniał o tych członkach Adama, które z powodu grzechu pierwszego rodzica nie poddają się kontroli męczyzny. Na temat relacji pomiędzy pisarzem i malarką krążyły w Paryżu plotki, być może tak samo wiarygodne jak powyższa opowieść. Diderot wyjaśniał bowiem gdzie indziej, że do niepowodzenia Therbusch we Francji nie przyczynił się niedostatek talentu, tylko brak młodości, urody, skromności i kokieterii. Dodawał także, że aspirujące malarki powinny posiadać „dobre piersi i pośladki oraz poddać się swemu nauczycielowi”. Cóż, nawet główni przedstawiciele Wieku Rozumu mogli cierpieć na jego brak. Portret nie zachował się, ale odwzorowują go ryciny – pisarz jest rozebrany na nich tylko od pasa w górę.

Malarka Fryderyka Wielkiego

ARTYSTKA OPUŚCIŁA PARYŻ W 1768 R. ZE WZGLĘDU NA PROBLEMY FINANSOWE.

Wracała do Berlina przez Niderlandy, zatrzymując się w Brukseli, Hadze i Amsterdamie, gdzie oglądała obrazy XVII-wiecznych mistrzów holenderskich i flamandzkich, do których zaczęła potem szybko nawiązywać. U Rubensa musiała na pewno podpatrzeć technikę malowania twarzy przy użyciu wielu warstw cienkich laserunków. To jeden z dowodów na to, że była uważna i szybko uczyła się z samego tylko oglądania dzieł innych twórców. Podczas podróży otrzymała też pokrzepiającą wiadomość – namalowany przez nią portret niemieckiego pejzażysty Jakoba Philippa Hackerta zdobył tak duże uznanie wśród członków wiedeńskiej akademii sztuk pięknych, że jako pierwsza kobieta została przyjęta w jej szereg. Mimo iż trzyletni pobyt nad Loarą nie był do końca udany, to zdobyte tam doświadczenia, nawiązane kontakty, a przede wszystkim paryski *entourage* sprawiły, że po powrocie do rodzinnego Berlina w 1769 r. Therbusch stała się artystką wziętą i popularną, zaczęła się też obracać w kręgach intelektualistów, uczonych i artystów; poznała choćby Goethego i jego środowisko.

Spotkał ją też ogromny zaszczyt – w dowód jej talentu i uznania król Fryderyk II Wielki mianował ją swą malarką nadworną. Była pierwszą niemiecką artystką na tak wysokim stanowisku. Do jej obowiązków należało m.in. malowanie



□ Anna Dorothea Lisiewski-Therbusch, *Portret Karola IV Teodora Wittelsbacha w niebieskim stroju*, ok. 1764. Alte Pinakothek, Monachium fot. xRMN/BE&W

CYKL: „MALARKI TYLKO PRZYSZPILAJĄ CIEŃ..”

portretów monarchy. Szczególnie lubię dwa z nich. Ten z Wersalu, z 1772 r., ukazuje Króla Filozofów na tle zielonej doliny, wskazującego palcem na odłożony na skałę kapełusz. Drugi przedstawia 63-letniego Fryderyka w sposób reprezentacyjny, ubranego w niebieski pruski mundur i napierśnik oraz upięty na ramionach płaszcz koronacyjny, na którym wyszyto gwiazdę Orderu Orła Czarnego. Sam model uznał wizerunek za zbyt pochlebny i żartobliwie skomentował potem: „*Um ihren Pinsel nicht zu entehren, hat sie mein verzerrtes Gesicht wieder mit der Grazie der Jugend aufgeschmückt*” (By nie ubliżyć jej pędzlowi, powiem, że ozdobiła ona me zniszczone oblicze wdziękiem młodości).



□ Anna Dorothea Lisiewski-Therbusch, *Portret Fryderyka II Wielkiego*, ok. 1775. Château de Ferney-Voltaire fot. Alamy/BE&W

Im dłużej patrzę na ten obraz, tym bardziej jednak dochodzę do wniosku, że Therbusch Fryderyka na nim obnażyła. I nie chodzi tu o fakt, że sam portret jest w rzeczy samej mało subtelny i niewyidealizowany, a czerwone policzki oddane zbyt realistycznie, tylko o rozdźwięk pomiędzy konwencjonalną, oficjalną formą a niepasującą do niej, zaskakującą intymnością spojrzenia. To nie rozdający karty w Europie władca, lecz przegrany i zmęczony człowiek. Nienagannie wyglądający, zadbanej męczyzna wydaje się spięty, ma nieobecny wzrok i smutne, melancholijne oczy, które zbyt wiele już widziały, w tym ścięcie w kostrzyńskiej twierdzy ukochanego przyjaciela, Hansa von Katte, 6 listopada 1730 r., a potem jego zwłoki – celowo zostawione na wiele godzin pod więziennym oknem 18-letniego Fryderyka. Gdyby monarcha żył dzisiaj, zapewne nie wychodziłby od terapeuty.

Anna Dorothea malowała także sceny mitologiczne do pałacu Sanssouci w Poczdamie – w 1772 r. za obraz *Diana z nimfami* dostała od króla zawrotne honorarium wynoszące 600 talarów, czyli równowartość rocznych zarobków profesora na uniwersytecie w Lipsku. Mitologia pozwoliła jej przy tym sprawdzić się w dziedzinie kobiecego aktu – przed Therbusch odważyła się na to bodajże tylko jedna artystka, Lavinia Fontana. Nieustannie tworzyła portrety członków berlińskich elit oraz dworu. W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie prócz wcześniejszego (lata 60.) *Portretu generalowej*

Anny von Wartensleben znajdziemy datowany na ok. 1772 r. urokliwy *Portret rodziny księcia Fryderyka Wilhelma*. Bratanek Fryderyka Wielkiego i przyszły król Prus pozuje w domowych pieleszach w fotelu otoczony gronem najbliższych, drugą żoną Fryderyką Luizą i czworgiem dzieci. Stojąca na stole czarna urna być może odnosi się do zmarłej rocznej córeczki, księżniczki Krystyny. Marcin Latka zwraca uwagę na swoistą dwoistość obrazu, nawiązującego swym spokojem i dekoracyjnością do tradycji francuskiego rokoka, a także do trzeźwego realizmu rodzącej się właśnie mieszczańskiej niemieckiej sztuki ze ściśle wpisanymi w nią rolami płci. Obraz dzieli się przecież wyraźnie na dwie części, oszczędniejszą w wyrazie sferę męską z globusem – znakiem odkrywania świata i nauki – oraz bardziej wyszukaną i kolorową sferę kobiecą, w której akcentuje się macierzyństwo.

Mąż Therbusch zmarł w 1772 r. – na krótko przed śmiercią artystka zdążyła jeszcze sporządzić jego podobiznę, a potem namalowała autoportret w czerni. Jako wdowa, czyli kobieta oficjalnie już wyzwolona od męzowskiej władzy, razem z bratem Christophem otworzyła pracownię przy Unter den Linden. Na lukratywne zlecenia, głównie portretowe, nie narzekali –



□ Anna Dorothea Lisiewski-Therbusch, *Portret rodziny księcia Fryderyka Wilhelma*, ok. 1772. Muzeum Narodowe, Warszawa fot.Alamy/BEGW

caryca Katarzyna II zamówiła u nich choćby osiem wizerunków pruskiej rodziny królewskiej. Malarka wykształciła też dwóch uczniów, w tym Johanna Christiana Samuela Gohla, który został potem drugim mężem jej córki Dorothei. Therbusch była czynna aż do śmierci; zmarła w Berlinie 9 listopada 1782 r. w wieku 61 lat. Została pochowana na cmentarzu w dawnej dzielnicy Dorotheenstadt (dziś Berlin Mitte) – w 1965 r. w ruinach przyległego kościoła znaleziono jej epitafium.

Spojrzenie w monoklu

BYŁA JEDYNĄ NIEMIECKĄ MALARKĄ, która w swej epoce osiągnęła spektakularny sukces – nie udało się to żadnej innej tworzącej wówczas kobiecie, np. jej siostrze Annie

fyryderycjańskiego rokoka i ikony sztuki kobiecej w Niemczech. Zapisała się też w literaturze, i to jeszcze za życia, stając się bohaterką nieskończonej i wydanej dopiero w 1951 r. sztuki Diderota pt. *Mystification ou Histoire des portraits* (Mystyfikacja albo historia portretu). Akcja dramatu rozgrywa się w jej atelier. W 1997 r. Éric-Emmanuel Schmitt (autor choćby wydanego przez Znak bestsellerowego *Oskara i pani Róży*) napisał sztukę *Le Libertin* (Libertyn) luźno opartą na znajomości Therbusch z encyklopedystą. Życie artystki stało się również kanwą powieści historycznej Cornelli Naumann *Die Portraitmalerin. Die Geschichte der Anna Dorothea Therbusch* (Portrecistka. Historia Anny Dorothei Therbusch, 2014).

Na podstawie archiwalnych zapisów szacuje się, że spod jej pędzla wyszło ok. 200 obrazów (dziś w większości zaginionych) namalowanych przeważnie w technice olejnej, choć zdarzały się też pastele. To całkiem sporo, wzięwszy pod uwagę, że była czynna zawodowo tylko przez dwie dekady. Aż 85 z nich stanowiły portrety, resztę alegorie, sceny mitologiczne, historyczne i rodzajowe. Sporadycznie tylko sięgała po tematy religijne. Stworzyła też 12 autoportretów, na których widzimy ją jako dojrzałą, spełnioną i pewną siebie kobietę, często stojącą z paletą przy sztalugach. Na tym namalowanym niedługo po porzuceniu rodziny będąca u progu kariery Anna Dorothea eksponuje nawet dekolt i filuternie się uśmiecha, jakby cieszyła się z odzyskanej właśnie wolności (1761, Staatsgalerie w Stuttgarcie). Najbardziej niezwykły jest jednak autoportret ostatni, namalowany już w roku

Rosinie de Gasc, Margarethe Geiger, Ludovike Simanoviz czy Susanne Henry, córce Daniela Chodowieckiego. Co więcej, była jedną z niewielu europejskich artystek mogących cieszyć się wówczas międzynarodowym uznaniem i członkostwem w aż tylu akademiach. A wszystko to osiągnęła, będąc w dużej mierze samoukiem. Twórczość Anny Dorothei doczekała się kilku wystaw przekrojowych – ostatnia, zorganizowana z okazji trzechsetnych urodzin, miała miejsce w berlińskiej Gemäldegalerie (2021–2022), gdzie pokazano jej najważniejsze prace. Mniej więcej dwie dekady temu zaczęło się też odkrywanie malarki na nowo i włączanie jej do kanonu jako głównej reprezentantki

CYKL: „MALARKI TYLKO PRZYSZPILAJĄ CIEŃ...”

śmierci. Zachował się on w dwóch wersjach: mniejsza (65,7 × 54,6 cm) z kolekcji Germanisches Nationalmuseum w Norymberdze jest bardziej wyszukana; artystka umieściła się na niej w kamiennej rzeźbionej ramie okiennej (podparzonej zapewne u Gerarda Dou). Ma na sobie różową jedwabną suknię, a za plecami, na sztalugach widać powstający właśnie obraz przedstawiający jakieś wytworne towarzystwo. Do mnie jednak bardziej przemawia wersja większego formatu (153,5 × 118 cm) z berlińskiej Gemäldegalerie. Do jej skończenia malarce zabrakło już czasu.

W tej wersji Lisiewska-Therbusch siedzi na fotelu z zielonym obiciem, lewą stopę wsparła na malutkim taborecie, co dodaje jej pozę swobody, a nawet pewnej non-szalancji (zwróćmy też uwagę na pantofle). Ubrana jest w skromną, jedwabną, srebrzystobłękitną połyskliwą suknię (tu z kolei kłania się malarstwo Gerarda ter Borcha młodszego), a mocno przyprószone siwizną włosy skrywa długa, opadająca aż po pas tiulowa chusta. Atrybutów malarskich brak, choć niewykluczone, że w niewykończony lewej dłoni miała później znaleźć się paleta. Jest za to książka, której lekturę artystka na chwilę przerwała. W ten sposób podkreśla ona zapewne, że jest osobą wykształconą, damą doby oświecenia. Co więcej, kojarzyć może się nam wręcz z Sybillą trzymającą księgę boskich przepowiedni. Anna Dorothea z życzliwym zainteresowaniem spogląda wprost na widzów i zdaje się zapraszać do rozmowy. Jest naturalna, nie stara się przedstawić młodszą, niż jest, ani bardziej atrakcyjną. Wprost

przeciwnie, duży, rzucający się natychmiast w oczy monokl zwisający na skórzanym pasku wydaje się mówić: owszem, jestem stara i krótkowzroczna, ale przy tym doświadczona i mądra. Podobnie opisywali ją współcześni: jako sympatyczną, ciekawą świata, pewną siebie, ambitną, szczerą i kochającą wolność.

W ekranizacji *Godzin* Michaela Cunninghama (1998, reż. Stephen Daldry) na samym końcu filmu pojawia się przejmująca scena, której nie ma w powieści. Richard, umierający na AIDS pisarz mający tego wieczora świętować w mieszkaniu swej przyjaciółki Clarissy otrzymanie nagrody literackiej, właśnie popełnił samobójstwo. Z Kanady przybywa jego wyrodna matka, pani Brown, którą widzowie poznali już wcześniej; byli świadkami jej wewnętrznego rozdarcia i miotania się w pozornym rodzinnym rajku na amerykańskich przedmieściach, a przede wszystkim próby samobójczej w hotelowym pokoju. Niepytana przez nikogo kobieta zaczyna nagle tłumaczyć się przed Clarissą i jej córką (a tak naprawdę chyba sama przed sobą) z tego, co zrobiła kilkadziesiąt lat wcześniej: porzucenia nagle męża, nowo narodzonej córki i małego, kochającego ją bez reszty Richarda. „Byłoby cudownie móc powiedzieć, że się tego żałuje. Byłoby łatwo. Ale co to znaczy żałować, kiedy się nie miało żadnego wyboru? A jedynie to, co się dało znieść. No tak – przecież nikt mi nie wybaczy. To była śmierć. Wybrałam życie” – mówi cicho pani Brown. Może podobnie wybrała pani Therbusch. — **Z**

To już ostatni odcinek cyklu Malarki tylko przyszpilają cień.... Wszystkie opublikowane w nim eseje w rozszerzonych wersjach (a także kilka nowych opowieści) znajdują się w książce Piotra Oczki, która jesienią ukaze się nakładem Znaku

Korzystałem m. in. z: Anna Dorothea Therbusch. Ausstellung zum 250. Geburtstag, red. G. Bartoschek, Poczdam 1971; Zwischen Ideal und Wirklichkeit. Künstlerinnen der Goethe-Zeit zwischen 1750 und 1850. Ausstellungskatalog, red. B. Kovalevski, Gotha-Konstanzja 1999; K. Küster, B. Scherzer, A. Fix, Der freie Blick. Anna Dorothea Therbusch und Ludovike Simanowiz. Zwei Porträtmalerinnen des 18. Jahrhunderts. Katalog zur Ausstellung des Städtischen Museums Ludwigsburg, Heidelberg 2002.

Piotr Oczko

Prof. dr hab., pracownik naukowy Wydziału Polonistyki UJ. Anglista i polonista przekwalifikowany na niderlandystę i historyka sztuki. Ostatnio opublikował *Pocztówkę z Mokum. 21 opowieści o Holandii*

Czas wolny

Trzy doby

Fantazja o czterodniowym systemie pracy jest też fantazją o trzydniowym weekendzie. Co zrobić z tym dodatkowym dniem, czemu się poświęcić?

Bylałam w kawiarni, miałam migrenę. Usiadłam z herbatą, żeby na kogoś poczekać, i przez może kwadrans nic nie robiłam. Rozglądałam się i czułam dziwną niezręczność. Nagle sobie uświadomiłam, przez kontrast z otoczeniem, że osoba beczynnie siedząca przy stoliku to nieoczywisty widok. W kawiarni wszyscy coś robią. Obsługa, co oczywiste, jest mocno zajęta, a odwiedzający patrzą w komórki albo prowadzą rozmowy telefoniczne, najczęściej jednak siedzą nad laptopami.

Tak jakby ciążył nade mną przymus wykonywania czynności użytecznych nawet w czasie wolnym.

Tymczasem z Wielkiej Brytanii płyną wnioski z eksperymentu, jakim był czterodniowy tydzień pracy przy zachowaniu pełnego wynagrodzenia. Dla miążdżącej większości firm, które wzięły w nim udział, okazał się on obiecującym na przyszłość kierunkiem rozwoju. Ponad 80% przedsiębiorstw zdecydowało się wprowadzić to rozwiązanie na dłużej, w różnych wariantach. Skrócenie pracowniczego tygodnia przyniosło szereg korzyści: zmniejszenie rotacji personelu, wzrost wydajności i zadowolenia z pracy. Nie są to raczej przełomowe wnioski, bo oczywiście wydaje się, że człowiek, który może przeznaczyć więcej czasu na odpoczynek, ma więcej energii i jest bardziej przyjaźnie nastawiony do rzeczywistości, również tej zawodowej. A jednak pojawiają się głosy, że w Polsce potrzebowalibyśmy innego typu badań, opracowanych według odmiennych założeń, ponieważ nasz rynek pracy różni się od brytyjskiego i znacznie mniejszą jego część zajmują białe kołnierzyki.

Pewnie tak, jednak chciałabym, żeby tego typu rozwiązania mogły być perspektywą dla wszystkich grup zawodowych, bo nie chodzi w nich tylko o zmniejszenie wymiaru etatu, ale również o zmiany systemowe.

Koncepcja otrzymywania wynagrodzenia za dni, w które się nie pracuje, ma nieco ponad 100 lat i nie wszędzie przyjęła się w tym samym momencie. Wszelkie dni wolne i czas odpoczynku były ustalane w odniesieniu do pracy. Wakacje dla uczniów też przecież nie zostały wprowadzone po to, by dzieci mogły odetchnąć od trudów nauki, tylko z powodu rytmu prac polowych i konieczności zaangażowania w nie wszystkich członków rodziny, w tym najmłodszych.



Olga Gitkiewicz

Redaktorka i dziennikarka. Autorka reporterskich książek *Nie hańbi* oraz *Nie zdążyć*. Współpracuje z Instytutem Reportażu. Ostatnio opublikowała *Krahelska, Krahelskie*. Obecnie pracuje nad książką o przestrzeniach wspólnych i osobnych

Poza rolnictwem jeszcze pod koniec XIX w. tydzień roboczy miał sześć dni, a każdy z nich – z wyjątkiem sobót – po 10, 12, 15 godz. pracujących. Oprócz niedziel wolne były pojedyncze dni, święta państwowe i religijne. W Polsce w 1922 r. prawo do urlopu otrzymały osoby zatrudnione w przemyśle i handlu, lecz mimo to pracodawcy masowo omijali przepisy, zwłaszcza w kryzysowych latach 30. Gdyby kwestię analizować szerzej, w 1936 r. Międzynarodowa Organizacja Pracy przyjęła konwencję dotyczącą płatnych urlopów i wezwała do wprowadzenia corocznego płatnego urlopu w wymiarze co najmniej sześciu dni roboczych po roku nieprzerwanej pracy.

Art. 24 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka uchwalonej przez ONZ w 1948 r. głosi, że każdy człowiek ma prawo do urlopu i wypoczynku, włączając rozsądne ograniczenie godzin pracy.

Sam pięciodniowy czas pracy został w Polsce wprowadzony w 1989 r., natomiast już wcześniej od początku lat 70. stopniowo zwiększała się liczba wolnych sobót. Może 35 lat później, w zupełnie innych warunkach, kiedy tak często mówimy

o zmęczeniu, wypaleniu, chorobach zawodowych i przebodźcowaniu, warto przemodelować myślenie o pracowniczym tygodniu.

Fantazja o czterodniowym systemie pracy jest też fantazją o trzydniowym weekendzie. Co zrobić z tym dodatkowym dniem, czemu się poświęcić?

Martwię się, że te 72 godz. mogą się okazać trudne, zwłaszcza dla tych, którzy już dziś pracują bardzo dużo. Jest wiele osób, które pracują w weekendy i w święta, które straciły – albo którym odebrano – umiejętność odpoczywania, i wcale nie chodzi tylko o pracowników i pracownice wielkich korporacji.

Nawet teraz, kiedy ćwiczeniowo projektuję sobie, co zrobić z takim dniem, od razu przychodzą mi na myśl wszystkie sprawy urzędowe, wszystkie nieodebrane awiza, zakupy, na które brakuje czasu, drobne remonty i naprawy, kto wie, może sport, kultura, czytelnictwo, samokształcenie. W późnym kapitalizmie bezproduktywny czas wolny wymyka się wyobraźni. Nie przychodzi mi więc do głowy niecierpienie, choć przecież tak mi go brakuje. — **Z**

Wydraż mi rodzinę w serze

ALEKSANDRA KASPRZAK

Mój brat jest moją siostrą

MÓJ BRAT MAREK POSTANOWIŁ, ŻE BĘDZIE DZIEWCZYNĄ.

Wtedy wydawało mi się to podszytym ciekawością kaprysem, bo przecież i ja zastanawiałam się czasem, jak to jest sikać na stojąco, rozbijać nosy innym chłopcom i przeglądać zabłocone gazetki w lesie. Szybko zrozumiałam, że bratu nie zależy na zabawie w księżniczki i malowaniu kwiatów na szkle – Marek naprawdę chciała stać się siostrą. To pragnienie doprowadzało ją do szału. Zaciskała pięści, w oczach wodospad, spojrzenie chmurne jak wtedy, gdy w sklepie z zabawkami wybierała kolor Power Rangersa.

Podeszłam do tego pragmatycznie. Po obiedzie wymknęłam się do piwnicy i otworzyłam karton z martwymi sukienkami. Ktoś rzucił je na dno. Skłębiły się tuż obok rajstop siostry, które wydawały z siebie węzowe syki. Chciałam podkraść te grube czarne, z wzorem w kotki na udzie.

Dopiero później dowiedziałam się, że syczące rajstopy były tak nieprzyjazne intruzom, bo siostra Aneta chowała pod nimi okazałą kolekcję wibratorów.

Musiałam obejść się bez rajstop. Naręcze sukienek w dłoń i do góry, schody skrzypiące, omijając szósty, gdy liczone od dołu, bo mocno się chwieje i osoba, która wyłamie go do końca, wpadnie do czarnej dziury, spędzi wieczność w piecu, gdzie małe dziewczynki zamieniają się w kiełbaski w ciągu pół godziny.

Trudno było przejść obok kuchni niezauważonym. Mama przeważnie siedziała na rogówce, paliła papierosy i gasiła je na krzyżówkach przy hasłach, których nie potrafiła rozwiązać. Czasami wrzeszczała: inaczej rodzina, pięć liter. Marek mówiła: gównno. Ona na to: chyba ty, niewdzięczny dziwoląg. Cisza. Popiół na nieuzupełnionym hasle.

A gdy skończyły się fajki, mama przycinała kwiaty, a mieliśmy ich w domu całe mnóstwo: azalie, żonkile, hiacynty, anemony. Szczególną czcią obdarzała te ostatnie, królowe wśród

kwiatów, a czasem zwykle ciemnoróżowe dziwki, jak nazywała je w przypiływie złości, by potem godzinami gładzić ich płatki, szeptać, że to tylko taka zgrywa, ściema i bujda, wszystko naraz, i niech one sobie lodyg tym nie zawracają, bo w domu mamy kłopoty większego kalibru, na przykład te o imieniu Marek. Gleba żyzna, a ten jeden chwast rośnie w poprzek, jakby na przekór przynależności gatunkowej, tak mówiła mama, obserwując ruchy Marka i wędnące hiacenty, bo najbardziej nie lubiła odpadających liści i tego, że Marek coraz częściej używała żeńskich końcówek.

Przemyt sukienek był naszym tajnym rytuałem odgrywanym tuż po sobotnim śniadaniu, na które jedliśmy naleśniki z tulipanem i żabimi oczkami. Kolorowe kiecki ukrywałam za grubymi książkami, najczęściej za encyklopedią, bo koleżanka powiedziała mi, że nikt tam nigdy nie zagląda. Opowiadała, że podkładała siostrze majtki i ukrywała je w encyklopedii, a później sprzedawała obślinionym facetom z internetu. Tak zarobiła na elektryczną hulajnogę, którą przyjeżdżała codziennie do szkoły.

Pamiętam pierwszy raz, gdy Marek przymierzyła sukienkę. Wyszła zza szafy kaczym chodem. Wstydliwie machnęła nóżką. Miała zaczerwienione policzki i oczy błyszczące jak ślipia Anety wpatrującej się w telefon nocami. Marek miała dziewięć lat, patykowate nóżki, na głowie jasne spirale, haczykowany nos. Wyglądała dużo bardziej dziewczęco ode mnie. Trochę jej tego zazdrościłam, gdy tak paradowała po pokoju w mojej starej sukience, w której, jak dobrze pamiętam, byłam na pierwszym w życiu weselu. Markowi było w niej bardziej do twarzy – choć zawsze mnie dziwiło takie gadanie, bo czemu akurat ubrania mają pasować do twarzy, a nie do ramion czy kolan? Bufiasta, błękitna suknia pasowała jej do powiek, łokci i wyrostka robaczkowego.

Zazdrośnie zawłaszczyłam przestrzeń przy lustrze. Ona piękna, ja raczej bestia, workowate spodnie, twarz nijaka, cyków nie widział u mnie nikt, nawet szkolna pielęgniarzka. No, może jakieś tam minimalne stożki, ale takie to miał i ojciec, gdy wracał z siłowni i uroczyście zrywał z siebie koszulkę, a potem otwierał piwo, nadstawiając rybie usta w kierunku kłębiącej się piany.

– Chodź, Marek, zrobię ci z twarzy dzieło sztuki, będziesz jak Marilyn Monroe lub pani Ziętkowska na rozpoczęciu roku – nęciłam ją podkradzionymi Anecie kosmetykami.

Trochę pudru, fluid – magiczne składniki, którymi okrywałam kielkujące pryszcze na twarzy Marka, na koniec korektor, tak jak uczyli w internecie. Marek wniebowzięta, trajkotała bez opamiętania, słodka Marek, taka rozanielona w swojej nowej odsłonie niczym nastolatka z „Bravo Girl”. Im bardziej ją ukobiecałam, tym sama bardziej neutralniałam, czułam, jak surowiej mi rysy twarzy, uwydatniają się kości policzkowe, nad ustami rosną cienkie włoski, które próbowałam wyrwać paznokciami.

– Gryczanka, nie możesz cały czas mówić do mnie Marek, myślałam nad tym, wiesz no, coś tam czytałam, nie dużo, ale podobno ważne są łagodne przejścia. Inni się boją, a ja chyba nie. Ktoś nazwał to sytuacją pająka. Że niby taki mały i niestraszny, wiesz, pająk to ja, łapiesz? Ale ludzie uciekają, w sensie przed moim nowym imieniem, mówią Marek, a ja bym chciała być Martą, zmiana niewielka, kwestia kilku liter, to chyba niedużo?

Tego dnia Marek została Martą, a później regularnie praktykowałam wymienianie się płciami. To była nasza rutyna – jak przypalone naleśniki na śniadanie, plucie kwiatami przez okno, obklejona piwem podłoga, przeklinanie matki, śmierdzące stęchlizną pranie. Po szkole biegłyśmy do łazienki, wymieniałyśmy się ubraniami i szybko do kuchni, puste mieszkanie, woń grzyba, wyginałyśmy ciała, wcinając stare kawałki sera, jakby jutra miało nie być. Wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy, że mama prowadziła szczegółowe wyliczenia, istny rejestr

nabiału, że znikające plastry to powody nocnych awantur, rzutów poduszkami, ale nie w ten dziecięcy sposób, że można nurzać się w pierzu i śmiać przy piccolo, nie, to było tak, że lepiej wciskać głowę w kołdrę, otulić się w szlafrok, nastawić budzik i liczyć na szybki sen, z dała od kruszącego się tynku, trzaskających drzwi, agresywnie wypalanych papierosów, z których dym wpadał przez uchylone latem okno. Śmierdziało, jakby palono żbika, a wiedziałam, jaki to smród, bo raz sąsiad podpałił jednego w ogródku, nie wyglądał na kota, więc w bibliotece otworzyłam album ssaków drapieżnych i znalazłam tam zdjęcie żbika, który w zasadzie był trochę większy niż standardowy Burek.

To musiało się wydarzyć – któregoś dnia zostałyśmy nakryte, szczęście w nieszczęściu, że przez Anetę. Była już dojrzałą kobietą, taką, co nosi marynarkę i jest poważną studentką, mama była z niej strasznie dumna, opowiadała o jej osiągnięciach wszystkim, którzy chcieli słuchać, a nawet tym, którzy nie chcieli. Raz nawet dostała za to po mordzie od sąsiadki, bo zachwycała się pierwszą piątką Anety, i to od poważnego profesora, który wydał książkę pod tytułem *Jezus Chrystus w twojej zupie*. Problem tkwił w tym, że odwoziła akurat Linkowską na dołek, gdzie trafiła jej pijana w trzy sosny córka. „Sosny”, bo podobno nie można mówić „dupy”, to nieładnie i nie przystoi dziewczynkom, ale Marta przecież też nią jest i nikt nie zwraca jej uwagi, gdy powie słowo „dupa”, a nawet gorzej, bo raz słyszałam z jej ust „kurwę”, a mama odpaliła tylko kolejnego papierosa i otworzyła „100 panoramicznych”.

– Dobry boże, przecież wy się pozamienialiście miejscami! – przeraziła się mądra Anetka, a żadna z nas nie wyprowadzała jej z błędu, bo przecież Aneta była uczoną siostrą, taką, co każdego ranka wkuwała całe strony Biblii i rzucała nimi jak z rękawa podczas rodzinnych uroczystości.

– Nic w przyrodzie nie ginie – tłumaczyła nam powiedzonkami, bo jak nie dało się przypowieściami o krzewie gorejącym i Sodomie i Gomorze, to trzeba było użyć innych środków.

Nie jej wina, że byłyśmy tak odporne, Marta miała fora internetowe, a ja czytałam dużo różnych książek, więc przeżyłam swoje, zapewne dużo więcej niż Aneta na tym swoim katolickim uniwersytecie, gdzie wszyscy zasypiali z modlitwą na ustach, a siostry zakonne świeciły po oczach latarką. Chciały kontrolować, czy ciała niewieście nie łączą się w jedno z ciałami męskimi, tak

mówiła, raz, gdy wróciła w stanie chybotającym się po jakiejś uroczystości, na którą wjechał baniak wina mszalnego.

– Anetko, jaki stosunek do wibratorów mają księża? – zapytałam tego wieczoru przy herbacie tuż po długim monologu, w którym Aneta starała się cofnąć nadanie nowego imienia i przechrzcic Martę z powrotem na Marka.

– To nie moje, przechowuję je dla koleżanki spoza uczelni, bardzo mnie prosiła, bo walczy z pokusą. Co ty możesz o tym wiedzieć, masz dopiero czternaście lat, nie powinnaś dotykać moich rzeczy, mówiłam ci sto razy, a ty jak zwykle nie słuchasz. Powinnaś się z tego wyświadać, takie zachowanie nie przystoi młodej damie.

Tego dnia Marek
została Marta,
a później regularnie
praktykowałyśmy
wymienianie się
płtami. To była nasza
rutyna – jak przypalone
naleśniki na śniadanie,
plucie kwiatami przez
okno, obklejona piwem
podłoga, przeklinanie
matki, śmierdzące
stęchlizną pranie

I tak dalej, i tak dalej, nie wiem, wyłączyłam się dość szybko, myśląc o wszystkich dziwnych wypustkach, próbując przeanalizować, jak działa ten mechanizm.

Postanowiłam to sprawdzić jak najszybciej, zanim Aneta wróci na uczelnię i zabierze wszystkie przedmioty ze sobą. Marta stała na czatach, a ja przesuwiałam rękoma po kolorowych artefaktach – niektóre były dłuższe, niektóre całkiem krótkie, jak zatyczki do uszu ojca. Gdy za oknem usłyszałam szczekanie, doskonale wiedziałam, co muszę zrobić. Rzuciłam jedno średniej wielkości urządzenie prosto w zęby owczarka niemieckiego. Drakula chwycił wibrator i zaczął biegać z nim w zębach jak z kością, więc zatrzasnęłam okno i wróciłam do Marty.

– Anetka nie jest wcale taka grzeczna – oznajmiłam.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że wszystko to obserwowała mama pijąca z sąsiadką browara pod drzewem.

Akwarium wody


OJCIEC RACZEJ NIE PRACOWAŁ, GDY NIE MUSIAŁ, A NAWET GDY MUSIAŁ, TO WOLAŁ SZWENDAĆ się po osiedlu i gadać o rybach. Nigdy nie łowił, lecz oglądał dużo filmów, w których prawdziwi mężczyźni zbierali się przy rzece, zarzucali wędki i godzinami wpatrywali się w taflę, zagryzając nudę krakersami.

Pływał między blokami, styl rozchwiany od klatki do klatki, rzyg przy hydrancie, gazetka ze spożywcza jako tacka i tatusiowa echolokacja – w ciągu kilku minut potrafił zgromadzić wokół siebie całe stado piwnie napakowanych ojców z wystającymi brzuchami i ukrywanymi pod czapkami zakolami.

Często zakładali się o różne sprawy – kto dłużej wytrzyma sunięcie brzuchem po śniegu bez koszulki, kto zrobi więcej pompek na potłuczonym szkle, kto ukradnie więcej przedmiotów z supermarketu. Raz nawet stracił palec, a stało się to w trakcie zakładu o pilnowanie latarni. To nie była byle jaka latarnia – znajdowała się w najbardziej ruchliwym miejscu osiedla, tuż obok ławek będących znanym miejscem schadzek. Założył się z Węgorzem o to, kto dłużej będzie tej całej latarni pilnował. Reguły były proste, pierwszy, który zdejmie z niej rękę, przegrywa.

Zrobiła się z tego duża sprawa – zaczęli nad ranem, a cały konkurs trwał trzy doby. Donosiliśmy ojcu posiłki i browary. Zebrał się spory tłum zagrzewający uczestników do walki. Gdy któryś z nich oddawał mocz, odwracaliśmy się pokornie i przysypywaliśmy urynę piaskiem. Drugiego dnia, tuż po chłodnej nocy, podczas której zawodnicy szczękali zębami i rozgrzewali się wódką, sąsiad z bloku obok, Okoń, zaczął przyjmować zakłady. Postawiłam na ojca znalezioną pod rynną złotówkę, ale powiedzieli mi, że zakłady liczą się od piąta w górę, więc postanowiłam kupić sobie lody. Mama wyłożyła dychę, na co tata trochę się pogniewał, bo odebrał to jako pokazowy brak wiary w jego wytrzymałość, i zażądał, by postawiła stówę, na co ona wykrzyczała mu, że za stówę to może był jej pierścionek zaręczynowy i że ani przed, ani po swoim trupie tyle na niego nie wyłoży, choćby ktoś napchał jej gębę kamieniami.

Zrobiła się z tego afera, bo Węgorz, licząc, że małżeńska klótnia osłabi zapał ojca, zaczął kadzić mamie, że on to za samą jej obecność zabrałby ją na podróż do Ciechocinka. Tata próbował mu przyłożyć, tłum zapał, licząc na rychłe rozwiązanie pojedynku, ale sytuacja uspokoiła się po kilku głębszych, a mężczyźni objęli się pojednawczo, nawet nie próbując osłabić przyklejonej do latarni dłoni oponenta.

Ranek trzeciej doby był decydujący. Obaj spali z dłońmi opatulonymi warstwą taśmy i bandaży, żeby przypadkiem nie przegrać przez sen, gdy nagle pojawiła się zamaskowana postać. Ojciec zawsze opowiadał o tym ze wzburzeniem – ubrany na czarno chłystek, czerwona 

bandana, nóż myśliwski. Gdy tata otworzył oczy, było już po wszystkim. Mówił, że krew lała się jak mocz po popijawie. Wyrwał przyklejoną do latarni dłoń bez zastanowienia.

– Ten sukinkot uciął mi palec – bardziej odparł, niż wrzasnął.

A Węgorz nawet się nie obudził. Krew lała im się po butach, ojciec wyśpiewywał litanie przkleństw, uroczyście zabrzmiał hymn kurew i ich synów, ziemia pulchna od ślinotoku drugiego stopnia, którym udało się zwieść dżdżownicę wyrwane spod ziemi i wskrzeszone mieszaniną płynów ustrojowych mojego skacowanego starego.

Nie zgłosił sprawy na policję. Wiedział, że na świecie są sytuacje przyziemne i takie, w jakich stawką jest honor.

Ostatni bandaż zużył na przywiązanie się do latarni, więc matka owinęła mu krwawiący kikut moją koszulką. Odkąd z niej wyrosłam, grała rolę ścierki do podłogi.

Pierwsze godziny były ciche. Ojciec wysłał mnie pod latarnię w poszukiwaniu uciętego palca – wyczytał w internecie, że przy dobrym przechowywaniu da się jeszcze te kawałki zszyć, poskładać do kupy jak wyjątkowo proste puzzle. Odgrażał się, że jeśli nie odzyska palca, to już tym bardziej nigdy nie pójdzie do roboty, wieczny emeryt i rencista, zamieszka w sanatorium, pozwie wszystkie szpitale, wywlecze na dwór wszystkich chłystków średniego wzrostu i przetrzepie im parszywe mordy, aż wypłaczą imię złooczyńcy. Mówił, że będzie ich łoł na trzepaku jak umorusane błotem dywany. Wspominał też, że będziemy musiały poszukać sobie nowego ojca, bo taki bezpalczasty jest bezużyteczny – ani nie trzaśnie amanta zbitą pięścią, ani nie zapozuje do eleganckiego zdjęcia z przyszłą panną młodą.

Nie mogłam tego słuchać. Postanowiłam nie tracić czasu i rozpoczęłam poszukiwania kawałka ciała taty. Przeczesywałam kałuże, bo zdążyło się rozpaść, a ja z wrażenia włożyłam zwykle szmaciaki i podeszwy przesiąkły mi krwią. Podeszłam do zajęcia poważnie, więc wzburzałam kałuże patykami w poszukiwaniu czegoś, co przypominałoby palec wskazujący ojca. Wypatrywałam jakichkolwiek części ciała w bliższej i dalszej okolicy latarni. Pomyślałam, że przecież złodziej mógł chwycić palec i z wrażenia go upuścić.

Zapał straciłam dopiero w porze obiadowej. Przyszło mi na myśl, że może warto odciąć sobie kawałek swojego palca – ojciec z radości kupiłby mi wielką paczkę chipsów i znalazłby robotę, a więc miałabym więcej czasu na oglądanie telewizji. Nie wiedziałam tylko, czy taka hybryda naszych ciał by się przyjęła – jego paluchy były jak konary drzew, a moje jak gałązki. Musiałabym chyba odciąć sobie całą rękę.

Wtedy też spostrzegłam, że korowód sąsiedzkich głów sunął w kierunku naszej klatki schodowej. Okazało się, że wszyscy jak jeden mąż, jedna żona i jedno dziecko postanowili wybrać się do mamy, przynieść jej prowiant, popitkę i zapytać o zdrowie, równocześnie celebując niezwykle bohaterstwo poległego męża. Wieść o krwawej ofierze rozeszła się po osiedlu szybko i tak samo prędko ewoluowała w pokrewne historie – że mu Węgorz głowę odrąbał skrywaną w kieszeni siekierą; że przyszła mama i mu tę stówę, banknot niezgody, wepchnęła do gardła i udusił się stary pianą zwracanego etanolu; że przybiegł otyły szczur i odgryzł obu zawodnikom ręce, rozpoczynając epidemię gorszą od dżumy.

Wielkie było ich rozczarowanie, gdy okazało się, że chodzi o palec, i to nawet nie palec najważniejszy, bo po utracie niektórych trzeba strzelić sobie w łeb, a bez innych można jeszcze jakoś wytrzymać. Jest taki kciuk, który pokornie zwiślał z dłoni ojca, palec ważny, bo chwytny, bez takiego ani piwa utrzymać, ani pokazać podniesionych kciuków na widok korzystnej promocji, życie bez kciuka byłoby życiem straconym. A w tym wszystkim chodziło o palec wskazujący, który jest i tak rzadko używany, może nie aż tak rzadko jak mały, choć i z tym



Ilustracja: Paweł Ponichtera

można polemizować, bo przecież obietnice na paluszek i te sprawy, a wskazujący to przecież ledwo jeszcze palec. Wytykać kogoś palcami i tak niekulturalnie, a najlepiej wiedział o tym syn Krzętowskiej, który laził po osiedlu i tak wytykał, wytykał, aż mu w końcu ten palec połamali, więc ojciec miał od razu problem z głowy, pokusy żadnej, a lewą przecież wskazywał nie będzie, bo jeden rodzaj palca wskazującego warto byłoby zachować na ciele choćby z rozsądku, bo nigdy nie wiadomo. Środkowy jest kluczowy, to jasne, można odganiać zbójów, w dodatku jest najdłuższy i może gdyby ojciec nie spał przyklejony śliną do latarni, udałoby mu się wyciągnąć broń, środkowy palec, co mogłoby zapobiec atakowi. No i jest też serdeczny, palec raczej nudny, ale dorośli obrączkują się na nim jak krowy i potem z daleka widać, komu można sunąć po kolanie rączką bez ryzyka przetrzepania mordy.

Przynieśli kosze z golonką, parujące tace z kartoflakiem, naszyjniki z pęczków kielbas, kufle złocistego piwa, a nawet plastikową koronę z poprzyklejonymi setkami. Zamyśl był taki, by dopomóc wdowie po bohaterze, który nawet na łożu śmierci mężnie ścisnął latarnię. Trochę się zdziwili na widok ojca rozmemłanego na fotelu w bokserkach z pilotem w jednej ręce i ze ścierką w drugiej.

Opowiedział im więc, jak było, ubarwiając nieco historię o złoczyńcę z piłą mechaniczną i trzygodzinne tortury, podczas których facet próbował wyciągnąć z niego tajne hasło w osiedlowym na dziesięć piw w cenie dziewięciu. Słuchacze wstrzymali dech, mielenie gębami mięsa ustało w pełnym szacunku milczeniu. Ojciec zawiesił głos.

– No, ale kurde nic mu nie wygadałem, uznałem, że zginę prędzej, niż skażę panią Halinkę na jakieś nieprzyjemności.

Aplauz przetoczył się przez nasze mieszkanie, które ledwo było w stanie pomieścić taką liczbę gości. Po godzinie zjawił się Węgorz, który początkowo nie został przyjęty zbyt entuzjastycznie, bo według komisji do spraw etyki składającej się ze starców z trzeciego piętra istniało wysokie ryzyko, że Węgorz sam nasłał na ojca zbrojną, by zagarnąć wygraną. Bardzo się facet oburzył i bez zawahania potwierdził najdrastyczniejszą wersję ojca. Pieniędźmi jednak podzielić się nie chciał, na co jeden z kumpli ojca wszedł na stół i poprosił wszystkich o uwagę.

– Mieliśmy dziś zaszczyt doświadczyć niezwyklej lojalności ze strony Krzysia, naszego wspaniałego Szczupaka – rozpoczął, używając wodnego pseudonimu ojca. – Dlatego wydaje mi się, że powinniśmy dokonać zmian. Oficjalnie wnoszę o przemianowanie Szczupaka na Suma, króla wód!

Kolejny aplauz, gorące oklaski. Ojciec wykonał szeroki ukłon i nawet ten Sum do niego pasował – był wielki, gruby i nosił dziwne podkręcone wąsy.

A potem lała się woda, rybacy zamienili się w ryby pływające w parzącym oczy zbiorniku, nieważne – słodkowodne czy słonowe, ryk disco polo o czternastej, obiad złożony z porzrzuconych wszędzie skrawków mięsa, Marta skulona pod stołem w kuchni, sąsiedzi uczący się tańczyć kankana, o piętnastej hymn Polski, dłonie na sercach, powaga spuchniętych gęb, obmacywanie się w kątach, pajęczyna we włosach, duchota przeпоonych podkoszulków, musztarda pod podeszwą, interwencja policji jeszcze przed dwudziestą, groźby rozwodu, krew w garnku, ujadające na klatce schodowej psy.

Gdy regał zaczął się chwiać, dołączyłam do kryjówki Marty. Przeglądałyśmy razem książki o rekinach, z której dowiedziałyśmy się, że jako jedyne ryby posiadają one powieki. — z

Tekst to fragment przygotowywanej do druku debiutanckiej powieści

Kwestionariusz

Stacja: Literatura to miejsce na opowiadania i eseje literackie. Zatrzymujemy się tu dla tych tekstów. Ciekawią nas jednak także ich twórcy, sposób, w jaki pracują, i jak myślą o literaturze, dlatego zadajemy im kilka pytań

Aleksandra Kasprzak

Z *W jaki sposób Pani pracuje?*

Myślę o swoich bohaterach jak o żywych memach. Współtworzenie portalu satyrycznego pomaga łąpać dystans. Przeważnie we wszystkich tekstach staram się łączyć smutne ze śmiesznym. W pracy nagrywam rolki i gdy jakaś hejterka nazywa moje włosy pakułami, zaczynam śledzić dzieje przerozu słomy lnianej. Pracując nad historiami, często staram się, by wyprowadzać je z jakiegoś detalu. W mojej książce *Wydróż mi rodzinę w serze* akcja kręci się wokół Sera Królewskiego „Sierpc”, a zaczyna od skradzionego przez aspirującą zakonnice wibratora.

Z *Co najchętniej Pani czyta?*

To zależy. Lubię „chore gówno”, więc podobają mi się Leonora Carrington i Kathy Acker, ale lubię też przeciągające się smuteczki, takie jak twórczość Barbary Kingsolver lub Eleny Ferrante. Lubię czytać o kobietach i queerach. Choć jestem też koneserką reportaży, więc ostatnio musiałam odetchnąć od pożogi cyklu neapolitańskiego Ferrante i odpocząć przy reportażu o Columbine i opowieści o baronach przemysłu farmaceutycznego.

Z *Czego nie wiedziała Pani o sobie 10 lat temu?*

10 lat temu? Nie wiedziałam o sobie nic! Wtedy zaczynałam naukę w liceum, uczyłam się na biolchemie i wydawało mi się, że pretensjonalne wiersze o kosmosie to dobry plan na przyszłość. Prawdopodobnie wciąż wierzyłam, że dostanę list z Hogwartu. Wszystko było dla mnie bardzo



fot. z archiwum autorki

Dziennikarka w ASZdziennik.pl, memiara, slamerka. Finalistka 18. edycji Potowu Biura Literackiego za projekt książki *Wydróż mi rodzinę w serze*. Ultraska chipsów koperkowych. Lubi brokat i kaczki

poważne, żyłam życiem jak z *Ukrytej prawdy* i nie wiedziałam, że w rok mojego urodzenia narodziła się zebra z niebieskimi oczami. Nie wiedziałam też, że mam w sobie siłę, by występować publicznie, choć jeszcze 10 lat temu paraliżowała mnie myśl o podejściu do tablicy i opowiedzeniu o pierścienicach. Teraz slamuję, występuję w podcastach i opowiadam głupoty w internecie. I jakoś leci.

Z *Gdybym nie była tym, kim jestem, byłabym?*

Kruszynką rdzawoczułką. Lub prezydentką Poznania (nie jest to próba zdetronizowania pana Jaśkowiaka).

Z *Jacy są bohaterowie Pani życia codziennego?*

Pieski, które robią śmieszne „mlem” i „blep”. Politycy Konfederacji, którzy zawsze zrobią coś zabawnego i będzie można przerobić to na memy. Moja dziewczyna, która wie, że lubię spać na tyżeczce.

Z *Którego autora / autorkę chciałaby Pani przywrócić do życia i dlaczego?*

Oglądałam ostatnio *Biedne istoty*, więc pozwolę sobie rozdzielić ożywianie mózgu i ciała. Chciałabym, żeby do życia powrócił mózg Leonory Carrington. Włożyłabym go do ożywionego ciała Wojaczka, bo jako mężczyzna byłby traktowany z powagą i szacunkiem, więc mogłabym oszczędzić Leonorze walki z literackim szklanym sufitem i umożliwić bycie szpieżką. Dzięki temu rozmon-towałaby patriariat od środka.

Poza tym mogłabym z nią zagrać w szachy błyskawiczne. Chociaż nie wiem, czyby chciała. — **Z**

□ Katarzyna Faszczewska w spektaklu *Jestem baba. Rzecz być może o Annie Świrszczyńskiej* w reżyserii Anny Gryszkówny, Nie Teatr, Białystok
fot. . Magdalena ŁawreszulaNews



Wszystko jest we mnie

ANNA MARCHEWKA

Joginka i jaroszka, uprawiająca jogging na Plantach. Feministka, gorszycielka i ekolożka. Miłośnica życia i – przede wszystkim – prowodyrka rozróby w poezji

KIM BYŁA ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA? Czas przeszły, ten natręt, pcha się do zdania, bo przecież poetka, dramatopisarka, autorka utworów dla dzieci i młodzieży, autorka utworów muzycznych, zmarła 30 września 1984 r., ale może właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, czas terazniejszy konieczny jest w opisie jej roli, twórczości i oddziaływania na twórczość innych.

Opowieść w typie portretowym zwykle się rozpinać na ważnych datach, najbardziej pomocne we wzmacnianiu kreski zawsze były zwłaszcza te okrągłe. W tym roku można swobodnie wybierać między życiem a śmiercią: 7 lutego Świrszczyńska obchodziłaby 115. urodziny, a 30 września minie 40 lat od jej śmierci. Jednak nie na przeszłości [▶](#)

tylko trzeba się skupiać, inaczej niż w słynnym tytule książki Czesława Miłosza poświęconej życiu i twórczości Anny Świrszczyńskiej trudno pytać: „jakiegoż to gościa mieliśmy”, i nie chodzi wcale o różnicę rodzaju. Świrszczyńska nie była gościnią, która przemknęła, którą należy odpominać, po której nie został ślad. Świrszczyńska jest mocno obecna we współczesnej poezji, literaturze, badaniach literackich, jej wiersze – tak proste i trudne – są mocnym, jeśli nie najmocniejszym, punktem odniesienia. W końcu nie trzeba nikomu wierzyć na słowo, można sprawdzić samodzielnie. „Polecam poczytać Świrszczyńską”, fejsbukowa strona, a właściwie społeczność do niedawna spełniała funkcję kolporterki wierszy trudno w inny sposób dostępnych, choć nie było łatwo iść za owym poleceniem. Przez lata utwory Świrszczyńskiej krążyły w półoficjalnym obrocie: od 1997 r., gdy *Poezja* ukazała się w „złotej” serii Państwowego Instytutu Wydawniczego, udało się wydać drobne wybory, takie jak: *Kona ostatni człowiek* (oprac. Konrada Góra, Biuro Literackie) czy *Jestem gotowa* (oprac. Barbara Gruszka-Zych, znowu Państwowy

Instytut Wydawniczy). Nieobecność wznowień w literackim rynku powinna skazać książki czy nawet autorkę na nieistnienie, biblioteki są słabym wsparciem w tych tarapatach, dział poezji zwykle jest działem najuboższym i nie pomaga uzupełniać luk czy niedoborów. Wbrew tym wszystkim przeszkodom (a może właśnie dzięki nim) wiersze Świrszczyńskiej żyją jeszcze intensywniej niż w czasach, gdy sama poetka była jeszcze wśród żywych – może i dlatego, że lepiej je rozumiemy.

Prześlepiona rewolucja

ZESZŁY ROK BYŁ OFICJALNIE ROKIEM WISŁAWY SZYMBORSKIEJ, ALE SZCZĘŚLIWIE świat nie kończy się już, gdy na literackiej scenie pojawia się więcej niż jedna autorka, rozmówczyni. Szczęśliwie brak autorek – na pewno przez osoby czytające, trochę inaczej sprawy się mają na poziomie urzędniczym – jest już postrzegany jako problem, który należy rozwiązywać, w czym pomagają inicjatywy herstoryczne takie jak działająca (do czasu) w Krakowie Przystanek Kobiety czy rozwijający się w imponującym tempie Łódzki Szlak Kobiety. Już nie trzeba wybierać, można – czy nawet należy – czytać równolegle, jest wystarczająco dużo miejsca w przestrzeni literackiej, by pomieścić więcej niż jedną poetkę. W zeszłym roku ukazały się nie tylko *Wiersze wszystkie* noblistki, ale również opasły zbiór *Poezje zebrane* Anny Świrszczyńskiej. Zestawienie obu tych książek może być (oby tak się stało) początkiem większej rozmowy o tradycjach pozornie bez kontynuacji. Bywało przecież, że obie poetki oświeślały podobne problemy, działały w tych samych okresach historycznych, nawet w tych samych miejscach – urodzona i do końca II wojny światowej związana z Warszawą Świrszczyńska po wyzwoleniu zamieszkała w Krakowie, przez pewien czas były sąsiadkami, obie mieszkały w Domu Literatów przy Krupniczej 22.

Jakże inaczej jednak toczyły się ich losy: Świrszczyńska, choć starsza, ale jakby z tyłu, niedoceniana, niekoniecznie rozumiana, bywało nawet, że ośmieszana. Przeprowadzała jednak z uporem, z mozołem, w cierpieniu i radości rewolucję, której znaczenie, zasięg i wagę widać dopiero dzisiaj. Widać nie tyle przez porównania (bo z tymi lepiej dać sobie spokój, w trybie lektury równoległej, lektury znoszącej hierarchie nie tylko nie są potrzebne, ale nawet szkodliwe) dzięki wierszom: gdziekolwiek by otworzyć tę księgę opatrzoną posłowiem poetki i literaturoznawczyni Aldony Kopkiewicz, tam odkrycie i przypomnienie: o tym już napisała Świrszczyńska. Był więc zeszły rok również rokiem Świrszczyńskiej, choć nie miała na to wpływu uchwała podjęta na najwyższym szczeblu, zdecydowały o tym książki.

Pierwsza to *Poezje zebrane* (ważna liczba mnoga), dzięki którym już nie trzeba wierzyć na słowo różnym mądralom obrosłym w niedostępne tomy, ale rzeczywiście poczytać i pomyśleć samodzielnie. Druga to wybitny *Wybuch wyobraźni. Poezja Anny Świrszczyńskiej wobec reprodukcji życia*

Można widzieć w Świrszczyńskiej poprzedniczkę Rebekki Solnit czy Toni Morrison. Poetka w centrum ustawia „siostry z dna” – kobiety stare, bite, biedne, poniżane, uznawane za bezwartościowe

społecznego Katarzyny Szopy, rodzaj instrukcji obsługi, narzędziownika pomocnego w przekładaniu doświadczenia prywatnego na publiczne, we wpisywaniu wierszy Świrszczyńskiej w zjawiska nie tylko literackie. Dzięki tej rozprawie dostrzec można prekursorski charakter twórczości Świrszczyńskiej, która w praktyce poetyckiej wyprzedzała teorię czy filozofię literatury, ale można też przełamać ugruntowane przekonanie o jej osobności. Szopa odłożyła na bok tradycyjną biografię jakby świadoma niebezpieczeństw z nią związanych, czytana przez wypadki miłosne, zniknąć może jako autorka, przygnieciona głodem sensacji i jednoznacznymi ocenami postawy życiowej. Neomarksistowska perspektywa pomogła Szopie zbudować pełniejszy obraz lektury, takiej, jaka zdolna jest objąć życie.

Szopie blisko do myślenia Świrszczyńskiej o świecie, jednak nie stapia się z nią, nie zatrzymuje w pół tylko emocjonalnego gestu. Śledzi zaangażowaną autorkę żywo reagującą na skandale dużo większe niż te towarzyskie: wszechobecną i znormalizowaną przemoc (również seksualną) wobec kobiet, wykluczenia i dyskryminacje jako sposób regulacji życia społecznego. Tytułowy „wybuch wyobraźni” umożliwia Świrszczyńskiej nie tylko jasne widzenie spraw pełnych mroku (można ją czytać jak poprzedniczkę Rebekki Solnit czy Toni Morrison), ale i konieczną zmianę perspektywy. Poetka w centrum ustawia „siostry z dna” (tzw. wariatki, kobiety stare, bite, biedne, poniżane, ośmieszane, uznawane za bezwartościowe), zmienia perspektywę, pyta o skrzywdzone i poniżone tak, by nie tylko odsłonić mechanizmy przemocowe, ale i wyobrazić sobie świat, w którym już takich mechanizmów nie będzie. Praca na wyobraźni jest podstawą, bez niej nie ma szans na zmianę i pomyślenie świata na nowo. Szopa nie stosuje efekciarskich, sprawdzonych zagrywek, nie próbuje sprzedawać nam poezji Świrszczyńskiej, używając kategorii nowości, tej karty nie do zdarcia, która wciąż z powodzeniem nakręca rynek nie tylko książki.

Szopa czyta twórczość Świrszczyńskiej nie w oderwaniu, lecz włączając ją w istniejące genealogie. W tym trybie staje się Świrszczyńska ogniwem łączącym międzywojenne projekty emancypacyjne z tymi, których działania doświadczamy współcześnie. Umiejętnie i uważnie czyta ówczesność Szopa, by pokazać, że okres powojenny, czyli ten, na który przypadła lwia część aktywności artystycznej Świrszczyńskiej, nie był okresem pustym feminizmu. Po 1989 r. nie trzeba było wymyślać go od zera, bo wcześniej istniała praktyka, porzucona najprawdopodobniej na fali antykomunizmu. Powrót do Świrszczyńskiej jest szansą na wzmożenie pracy na wyobraźni przy użyciu „podręcznych wulkanów” (podobnych trochę do butelek z benzyną) rozsadzających skostniałe i szkodliwe schematy. Świrszczyńska podkreślała, że „poeta powinien reagować intensywnie na wszystkie problemy swego czasu i swego miejsca na ziemi. Powinien być jak pokój, co składa się z samych okien otwartych szeroko na świat. Interesować się wszystkim, wsadzać nos we wszystkie nie swoje sprawy, być wrażliwym, jak bolący ząb”. Wcale nie dążyła do utopii, wstawała od biurka i wychodziła na ulicę, by wyrazić to, co już istniało, ale było słabo (jeśli w ogóle) reprezentowane we wciąż skrępowanej snobizmami literaturze. Jej radykalna niezgoda na obowiązujące zasady, jej ryzykanctwo, jej buntowniczość sprawiły, że sięgała po historie mniejsze, by wyrazić nie-

zgodę na dominację narracji zwycięzców. Jej twórczość jest zapisem sięgania do głębszych niż archiwalne pokładów wiedzy, zainteresowania nie tyle ludową, ile rdzenną kulturą. Rozprawa Szopy umożliwiła dostrzeżenie u Świrszczyńskiej nomadyczności i ofelizmu; kobiety włóczęgi, kobiety stare, szalone, prostytutki są tutaj pełnoprawnymi bohaterkami. Możemy dostrzec (już ze wsparciem Silvii Federici) to, jak Świrszczyńska odczarowywała mit kapitalistycznej teleologii, budowała w myśl ekonomii innej niż opłacalności. Dlaczego tak słabo tę rewolucję pamiętaliśmy? Może i dlatego, że zmiana jest krucha, że utrwalanie jej wymaga troski, wymaga czasu, wymaga podjęcia i podtrzymania przez kolejne zuchwałe, zorientowane na bunt czytelniczki, pisarki – wszystko to zadania kolektywne.

Od dobrze przyjętego debiutu (*Wiersze i proza* ukazały się w 1936 r.) do wydanego pośmiertnie tomu *Cierpienia i radości* (czyli roku 1985) można wskazać kilka momentów przełomowych w twórczości Świrszczyńskiej. Barbara Klicka i Agnieszka Waligóra, autorki trzeciej ważnej w nieformalnym roku Świrszczyńskiej książki, czyli *Przyszli zobaczycie poetkę. Antologia poezji po 1972 roku*, nie mają wątpliwości, na kiedy wypada punkt przełomowy. We wstępie do zbioru piszą: „W roku 1972 Anna Świrszczyńska wydała tom *Jestem baba*. Rok publikacji jej tomu uznałyśmy za cezurę czasową”. To właśnie tutaj ukazały się poematy: *Miłość Felicji*, *Miłość Antoniny*, *Miłość Stefanii*, właśnie tutaj pojawiły się *Siostry z dna*, to właśnie w tym zbiorze *Kobieta mówi o swoim życiu*. Ale i tutaj, długo przed tzw. zwrotem ludowym, pojawił

się wiersz, od zeszłego roku jeden ze świeżo odkrytych, najpopularniejszych, zapewne dzięki *Chłopkom* Joanny Kuciel-Frydryszak:

Chłopka

Dźwiga na plecach
dom, ogród, pole,
krowy, świnie, cielęta, dzieci.

Jej grzbiet dziwi się,
że nie pęknie.
Jej ręce dziwią się,
że nie odpadną.
Ona się nie dziwi.

Podpiera ją jak krwawy kij
umarła harowaczka
jej umarłej matki,
Prababkę
bili batem.

Ten bat
błyszczący nad nią w chmurze
zamiast słońca.

Grunt pod *Chłopki* przygotował ten i wiele innych wierszy Świrszczyńskiej z *Jestem baba*, takich jak *Przebudzenie*, *Życiorys wiejskiej baby* czy *Krowa ją kocha*. Pół wieku może i czytane, ale po cichu, dzisiaj stały się częścią opowieści zarazem prywatnej, jak i publicznej, budując kanon poza podstawą programową, tym trwalszy, że dobrowolny.

Antologia Klickiej i Waligóry jest próbą stworzenia panoramy „krajobrazu polskiej sceny poetyckiej ostatnich pięćdziesięciu lat”, krajobrazu nieodwracalnie zmienionego przez tę prześlepioną powszechnie, ale ocaloną, poniesioną kolektywnie zmianę wyobraźni, perspektywy, wartościowania. Tytuł antologii gra z tytułem znanego wiersza Tadeusza

Świrszczyńska podkreślała, że „poeta powinien być jak pokój, co składa się z samych okien otwartych szeroko na świat. Interesować się wszystkim, wsadzać nos we wszystkie nie swoje sprawy, być wrażliwym, jak bolący ząb”


Różewicza: *przyszli żeby zobaczyć poetę* z 1983 r. Dodana litera „k” (jak kobieta) wszystko zmienia. Poetkę, czyli: kogo?

Dorosnąć do treści

NIE TYLKO AUTORKI ANTOLOGII, POETKA I BADACZKA LITERATURY, DYSKUTUJĄ z Różewiczem, czyniła to sama Świrszczyńska, latami szukająca formy zdolnej pomieścić możliwe życie po końcu świata bez wypierania przeżyć wojennych. Nad *Budowałam barykadę* (zbiór ukazał się cztery lata po *Pamiętniku z Powstania Warszawskiego* Mirona Białoszewskiego; zadeedykowała go „Mojej córce i wszystkim synom i córkom”) pracowała trzy dekady. Wcześniej już próbowała pisać o tamtych doświadczeniach, ale stworzone wtedy wiersze brzmiały jak wprawki lub po omacku, z rozpacz i poczucia obowiązku składowane świadectwa, grzęznące w starej, nieodpowiedniej formie. Gdy w końcu udało się jej wypracować nową, zdolną dźwignąć oskarżenie i zgrozę, zdolną wyzwolić się z potrzasku powinności wobec silniejszych, wobec patriarchy, powstały wiersze takie jak *Harcerka*:

Kiedy umierała w szpitalu
powiedziała koleżankom że się wstydzi
że jest wojna że ona jest żołnierzem
więc bardzo się wstydzi ale prosi
ona nigdy nie była na zabawie
żeby ją ubrały po śmierci w tę sukienkę
z koronką.

Gdy umarła ubrały ją w sukienkę
i stanęły we cztery na baczność
przy jej łóżku i stały godzinę.

Świrszczyńska w 1973 r. pisała, że: „Celem słowa w poezji jest dorosnąć do treści”, a dorastanie czy stawanie się trwa, nie można go sztucznie przyspieszać. Cierpliwość, żmudna praca bez oczekiwania na sukces to główne obowiązki poetki, która jest „wrażliwością i sumieniem świata”. 

□ Anna Świrczyńska w swoim mieszkaniu w Krakowie, 1965 r. fot. . Andrzej Szypowski/East News



Wyznawała też bez ogródek: „Wojna zrobiła ze mnie innego człowieka. Wtedy też po raz pierwszy wdarło się do moich wierszy moje życie i czas, który mnie otaczał. Miałam wielkie trudności z wyrażaniem przeżyć okupacyjnych”, by w końcu wyrazić wiarę w ideał słowa poetyckiego jako słowa magicznego. „Styl to wróg poety”, przestrzegała Świrszczyńska, „a największą jego zaletą jest nieistnienie. Można by powiedzieć w paradoksalnym skrócie, że piszący ma dwa zadania. Pierwsze – tworzyć własny styl. Drugie – niszczyć własny styl. To drugie jest trudniejsze i wymaga więcej czasu”. Wypełniała te zadania do samego końca.

Z przywołanym w tytule antologii Klickiej i Waligóry wierszem Różewicza dyskutowała sama poetka. W ostatnim, pośmiertnie wydanym zbiorze ukazał się utwór *Spotkanie autorskie*:

Leżę skulona w kłębek
jak pies,
któremu zimno.

Kto mi powie,
po co się urodziłam,
po co istnieje potworność
zwana życiem.

Nagle telefon. Mam iść
na spotkanie autorskie.

Wchodzę.
Stu ludzi, dwieście oczu.
Patrzą. Czekają.
Wiem na co.

Mam im powiedzieć,
po co się urodzili,
po co istnieje
potworność zwana życiem.

I czy mówi? Więcej niż to, co zawarła w tytule zbioru, że „cierpienie i radość”?

Stawanie się

JEST TEN OSTATNI ZBIÓR RODZAJEM POWROTU DO POCZĄTKÓW TWÓRCZOŚCI Świrszczyńskiej, a może do początków w ogóle. Świrszczyńska, córka malarza Jana Świerczyńskiego (różnica w nazwiskach wynika z błędu urzędnika, poetka nigdy go nie skorygowała) i ślicznej Stanisławy z Bojarskich, która „śpiewała czystym sopranem / w towarzystwie śpiewaczym »Lutnia«”, dokonuje rozliczenia z dziedzictwem nędzy, etosem socjalistycznym, oddaniem działaniu artystycznemu za cenę zdrowia, wygody, spokoju, cenę, którą opłacać musieli również bliscy. Świrszczyńska przez całe życie wspierała ojca, jak nikt wierzyła w jego talent, w przejmującym filmie Marii Kwiatkowskiej *Pasja* (1973) opowiada o obrazach ojca z rozpaczliwą żarliwością, broni – czy bardziej siebie, czy jego? Po co tak walczyć, po co tak uparcie pracować, pisać, działać, biegać, dlaczego nie dać sobie (i innym) spokoju? Już wcześniej, w *Budowałam barykadę*, zadeedykowała ojcu wiersz *Umiera piękno* zaczynający się od tego słynnego już fragmentu: „Płonie muzeum. Jak słoma / pali się piękno / czczone przez pokolenia. Bez-cenne / jak ciało człowieka”. Jest Świrszczyńska córką swojego ojca, ale i wie, że musi znaleźć sposób na odcięcie się od tego brzemienia otrzymanego w spadku. Cały blok *Wierszy o ojcu i matce*, jak *Walizka z tektury*, *Ojciec wspominał*, *Moja matka*, *panna Stasia*, *Zupa dla nędzarzy*, *Przeprowadzka artysty*, *Trzy cukierki*, *Pracownia ojca czy Mam jedenaście lat*, składa się na portret, którego nie trzeba już rekonstruować, można do niego odesłać. Ten gest autoetnograficzny związany jest z pragnieniem dojrzewania czy może raczej niekończącej się przemiany, stawania się. Bliscy poetki pozwalają jej szukać odpowiedzi na pytania o tożsamość, ale i o to, co się naprawdę zdarzyło. Zachowanie różnicy – nie tylko w nazwisku – jest ważnym elementem procesu emancypacyjnego zapisanego w wierszach Świrszczyńskiej, możliwego właśnie dzięki wypracowanemu dystansowi, jak w wierszu *Muszę walczyć z aniołem*:

Muszę walczyć z moim aniołem,
którego odziedziczyłam
po ojcu i matce.

Paś się
na ich łzach, jadł trawę
ich dwu nieszczęść,
pił wodę z czystych źródeł
ich cierpienia.
Wyrósł piękny i bardzo anielski,
jego skóra
jest niewidzialna, on
nie ma skóry.
On zjada moją skórę, moją sierść,

moje pazury i kły,
czym mam się bronić
przed światem.

Chyba zabiję mojego anioła.
Chyba on mnie zabije.

Cierpienie i radość wraca też do początków z innej, artystycznej strony. Choć forma wypracowana w debiucie pękła pod naporem mijających lat, choć ustąpiła pod naciskami samej poetki szukającej nowego wyrazu, to namysł nad barokowymi i średniowiecznymi motywami pozostał. Ileż brawury w *Jutro będą mnie krajać* w tej współczesnej sztuce dobrego umierania. „Jestem gotowa”, pisze, żegnając się przed operacją, jak przed bitwą – choć wcale nie rezygnuje. „Jest we mnie wiele siły. Mogę żyć, / mogę biegać, tańczyć, śpiewać”, by zakończyć: „Za oknem majowe drzewa piękne jak życie, / a we mnie jest pokora, lęk i spokój” – to nie lada zuchwałość.

Kim była Anna Świrszczyńska? Joginką i jaroszką uprawiającą jogging na Plantach, feministką, gorszycielką i ekolożką, aktywistką działającą na rzecz abstynencji alkoholowej, zawodową pisarką domagającą się równych praw i płac, miłośnicą życia, prowodyrką somatycznej rozróby w poezji, siwowłosą awanturnicą, czasem bardzo nieszczęśliwą, a czasem szczęśliwą

jak psi ogon. Całkiem tego sporo jak na jedno życie, jak na jedno życie po końcu świata. — z

Anna Marchewka

Dr literaturoznawstwa, krytyczka literacka. Autorka książki *Ślady nieobecności. Poszukiwanie Ireny Szelburg* (2014). Prowadzi zajęcia w Katedrze Krytyki Współczesnej przy Wydziale Polonistyki UJ. W miesięczniku zajmuje się rubryką Stacja: literatura oraz prowadzi podcast pod tą samą nazwą

RYСУNKI



bardzo brzydkie rysunki

Czego wołałbyś nie wiedzieć o Kościele w Polsce

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Wielogodzinne rozmowy Ignacego Dudkiewicza z biskupami pokazują, jak płytkie są rozważania wielu z nich, jak mało pogłębione, jak hierarchowie są nieświadomi nie tylko zmian w świecie, ale nawet w codziennym życiu

NIE JESTEM DOBRYM RECENZENTEM TEJ KSIĄŻKI. JAKO JEDEN Z PRZE-
pytywanych ekspertów odnajduję w niej bowiem bardzo wiele ele-
mentów własnej diagnozy stanu Kościoła w Polsce, a to oznacza, że
jestem skłonny zgodzić się sam ze sobą, a niekoniecznie z autorem.
Benedyktynska praca, setki wywiadów, dziesiątki wysłanych listów
i ogromny research budzą mój podziw, bo mam świadomość, że sam nie
miałbym samozaparcia, żeby docierać do biskupów, którzy będą mnie
unikać jak ognia. Założyłbym – nie bez racji, czego dowiaduję się dzięki
cierpliwość Dudkiewicza, któremu udało się do niektórych hierarchów
dotrzeć – że spora część z nich nie tylko sprawia wrażenie, jakby nie miała
nic istotnego do powiedzenia, ale też rzeczywiście nie ma nic ważnego
do powiedzenia.

Splątane kable władzy

TEN OSOBISTY ELEMENT WPŁYWAJĄCY NA LEKTURĘ KSIĄŻKI NIE PRZEKLADA
się na ocenę jej zawartości, a ta jest rzeczywiście porywająca. Autor
pokazuje – z detektywistyczną cierpliwością – jak kształtował się „układ”,

„system”, a może po prostu jak powstawała swego rodzaju mafia rządząca przez lata polskim Kościołem. Kreśli szczegółową mapę powiązań między kardynałami Władysławem Rubinem, Zenonem Grocholewskim, Stanisławem Ryłką, Henrykiem Gulbinowiczem i Stanisławem Dziwiszem a arcybiskupami Juliuszem Paetzem, Józefem Kowalczykiem, Józefem Michalikiem, Sławojem Leszkiem Głódziem, Markiem Jędraszewskim i biskupami Edwardem Janiakiem oraz Ignacym Decem. Ta mapa uświadamia, jak bardzo pewne modele działania, nawet jeśli wygumkować – a to się właśnie stało w przypadku byłego metropolity poznańskiego Paetza – niektórych z bohaterów, wynikają z chęci usprawiedliwiania przeszłości, maskowania jej, a także udawania, że nikt (w tym Jan Paweł II – być może nieświadomy, ale jednak – współtwórca tego systemu) za nic złego w nim nie odpowiada.

Dudkiewicz unika jednak, i to też zaleta jego analizy, prostego wskazania, że to właśnie ten układ „rządzi” polskim Kościołem. To nie byłaby prawda, bo polski katolicyzm jest rzeczywistością o wiele bardziej skomplikowaną, funkcjonują w nim także inne „układy”, a do tego siła inercji, przyzwyczajenia z czasów Jana Pawła II sprawiają, że czasem nie rządzi w nim po prostu nikt. „Trudno o trafną metaforę tego, w jaki sposób ten układ był skonstruowany. Piramida? Nie zgadza się pod względem siły poszczególnych postaci – ta się zmieniała. Kłębek? Nie sposób po jednej zaledwie nitce dojść do kłębka. Pajęczyna? Blisko, ale

niektóre jej elementy wydają się w tej metaforze zbyt od siebie odległe i połączone tylko pośrednio. Plaster miodu? Ten sam kłopot. Ostatecznie najbliżej temu układowi do plątaniny kabli, którą niemal każdy trzyma w szufladzie w domu. Nie sposób ich łatwo rozplątać, a niekiedy okazuje się to tak czasochłonne, że pozbawione sensu. Część z nas nie wie nawet, jakie kable ma, a jakich nie ma – również w wypadku tego układu wiemy dalece nie wszystko. To metafora, która pozwala uchwycić zarówno wielość osób, jak i splątany oraz tworzący przynajmniej pewną całość charakter ich relacji” – wskazuje Dudkiewicz.

Biskupi sobie, życie sobie

BOLESNYM ELEMENTEM ANALIZY JEST TAKŻE POWRACAJĄCA NIEUSTANNIE diagnoza, że nad plątaniną kabli nie tylko nikt nie sprawuje kontroli, lecz nikt w niej nawet nie wyróżnia się szczególnie wizją czy poczuciem odpowiedzialności. Owszem – co nie jest dla nikogo zaskoczeniem – są wśród polskich biskupów ludzie bardziej i mniej inteligentni, tacy, którzy umieją sformułować przekonujące opinie, i tacy, którzy nawet jeśli posługują się kilkoma językami, to w żadnym nie mają nic ciekawego do powiedzenia. Problemem jest jednak to, że ani jedni, ani drudzy nie zamierzają się wychylać, ani jedni, ani drudzy nie chcą się narazić i ani jedni, ani drudzy nie mają w sobie dość odwagi, by zerwać z tradycją, zgodnie z którą biskupi nie wchodzą ze sobą w publiczne polemiki.

Efekt jest taki, że Kościół w Polsce mówi językiem tych, którzy wypowiedzą się pierwsi i sformułują swoją opinię w sposób, jaki przebije się przez terabajty informacyjnego szumu. To przebicie zazwyczaj zaś dokonuje się poprzez zaostrenie retoryki, skierowanie jej przeciwko jakiejś grupie społecznej lub opowiedzenie się w debacie publicznej po jednej ze stron. Wypowiedzi abp. Marka Jędraszewskiego, który opanował sztukę wkroczenia do debaty medialnej do perfekcji, nie są już przez nikogo kontrowane, bo przecież biskupi ze sobą nie dyskutują, co oznacza, że dla wielu mniej związanych ze wspólnotą ludzi to właśnie on staje się głównym, często odpychającym, obliczem Kościoła.

Jednak książka Dudkiewicza idzie głębiej i to czyni ją jeszcze smutniejszą diagnozą życia Kościoła. Otóż wielogodzinne rozmowy z biskupami – cytowane niekiedy w całości – pokazują, jak płytkie są rozważania wielu z nich, jak mało pogłębione, jak hierarchowie są nieświadomi nie tylko zmian w świecie, ale nawet w codziennym życiu. Kościelna nowomowa, teologiczne truizmy wyparły jakąkolwiek zdolność rozmowy i rozumienia otaczającej rzeczywistości. Jeśli przewodzą nam ludzie na takim poziomie, to biada nam, bo to nie tyle woła, ile poziom intelektu wielu z nich sprawia, że nie są oni w stanie zmierzyć się ze stawianymi przed nimi wyzwaniem.

Brak kontroli władzy

MIĘDZY WIERSZAMI, A CZASEM WPROST W *PASTWISKU* UJAWNIA SIĘ JESZCZE jeden problem polskiego Kościoła, czyli kompletny brak kontroli, mediów, które mogłyby spełniać funkcję „czwartej władzy”, czy intelektu- ➔

Wypowiedzi abp. Marka Jędraszewskiego, który opanował sztukę wkraczania do debaty medialnej do perfekcji, nie są już przez nikogo kontrowane, co oznacza, że dla wielu mniej związanych ze wspólnotą ludzi to właśnie on staje się głównym, często odpychającym, obliczem Kościoła

tłumaczy się przecież także przed niewierzącymi, że jako wierzący może wypowiadać się o Kościele w sposób budzący zaufanie.

Jeśli coś w książce Dudkiewicza jest słabością, to brak perspektywy drugiej strony. Owszem, autor dotarł (a nie tylko próbował dotrzeć) do biskupów reprezentujących różne poglądy (oni są w znaczącym stopniu głosem „konserwatywnego” Kościoła), lecz zabrakło wypowiedzi bardziej konserwatywnych świeckich i księży. Oni, a sam byłem przez wiele lat po tamtej stronie (nawet jeśli walczyłem o oczyszczenie Kościoła z przestępstw seksualnych, co nieco wypychało mnie stamtąd), też mają jakiś obraz Kościoła i nawet jeśli odmiennie rozumieją przyczyny kryzysu, to warto ich też słuchać. Dudkiewicz co prawda próbował do nich dotrzeć, przy czym nie do końca się to udało, co sprawia, że dla części katolików książka będzie po prostu manifestem jednej

alistów i liderów opinii, którzy traktowani byłiby jako głos kontrolny. Istotną lekcją, jaką Kościół w Irlandii wyniósł z dręczących go skandali, jest świadomość, że nie może istnieć instytucja, która nie podlega krytyce i zewnętrznej ocenie. „Nigdy nie należy uznawać instytucji i jednostki, choćby najbardziej czcigodnych, za niepodlegające krytyce czy zewnętrznemu nadzorowi” – można przeczytać w dotyczącym problemu nadużyć seksualnych w irlandzkim Kościele Raporcie Murphy.

Kościół w Polsce na różnych poziomach chce zaś za taką właśnie instytucję uchodzić. Dudkiewicz, aby to pokazać, przytacza wiele wypowiedzi biskupów i księży. Jednak każdy, kto aktywnie uczestniczy w debacie publicznej, może takich głosów przywołać o wiele więcej. Najsmutniejszym dowodem na prawdziwość tej tezy jest natomiast to, jak autor *Pastwisko* sam przed sobą i przed czytelnikami tłumaczy się z własnej krytycznej postawy wobec instytucji. Wierzący, który krytykuje pasterzy, jest traktowany jako coś tak niebywałego, że nawet przed samym sobą musi się wytłumaczyć. Inna rzecz, że akurat ten passus wiele mówi również o stanie debaty w Polsce, bo autor

ze stron. A szkoda, bo to naprawdę pozycja, która mówi bardzo dużo o polskim Kościele. I są to czasem rzeczy, których wolelibyśmy nie wiedzieć. — Z



Ignacy Dudkiewicz

Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem

Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2024, s. 800

Tomasz P. Terlikowski

Dziennikarz, filozof, publicysta. Autor wielu książek, ostatnio wydał *Wygasanie. Zmierzch mojego Kościoła* (2023) oraz *To ja, Judasz. Biografia* (2024). Dla Wydawnictwa Znak przygotowuje książkę o abp. Marku Jędraszewskim

Dom powinien jakoś pomóc

MARIA KARPIŃSKA

Lucia Berlin za każdym razem tworzy dom, który mógłby być tym docelowym. Za każdym razem musi go jednak porzucić

OTAKICH ŻYCIORYSACH JAK LUCII BERLIN MÓWI SIĘ, ŻE MOŻNA BY OBDA-
rzyć nimi parę osób. Sprowadza się je do liczb: trzech mężów, czterech
synów, dwa kontynenty, co najmniej 18 domów, 76 wydanych opo-
wiadania na 72 lata życia. Co najmniej parę wykonywanych zawodów –
oprócz pisarki krawcowa (a raczej projektantka ubrań dla dzieci),
nauczycielka, sprzątaczką, telefonistką i rejestratorką w szpitalu. Nałogi – tylko
dwa, ale za to takie, jakie definiują życie: alkohol i poszukiwanie szczęścia.

Pisanie, które opiera się na zdolności rejestrowania otoczenia za pomocą
wszystkich zmysłów, wynika w tym przypadku z życia rozpisanego na
ogromnej przestrzeni. Pod koniec lat 80. Lucia Berlin spisała 18 lokalizacji
swoich domów wraz z wykazem występujących w nich problemów. Pierwszy
punkt brzmi: „Juneau, Alaska – lawina w dniu, w którym się urodziłam, zmiotła
jedną trzecią miasta” – i jest to na liście lokalizacja najdalej wysunięta na
północ. Spis od południa zamyka Santiago w Chile („Trzęsienia ziemi. Dwie
powodzie”). Lista domów została zawarta we własnie wydanej w tłumaczeniu
Dobromiły Jankowskiej książce *Witaj w domu*, gdzie umieszczono także
autobiograficzne zapiski Berlin i jej korespondencję – od, ale głównie do
przyjaciół, a także jeden list od ojca do ośmioletniej wtedy Lucii. Ted Brown
pisze w nim: „(...) choć w jednym roku będziemy mieszkać na górskim szczycie,
a w następnym w czarnym kanionie, to piękny dom zbudujemy w naszych
sercach”. Ta obietnica zdaje się popychać Berlin z miejsca na miejsce, z ramion
jednego mężczyzny w kolejne, przez całe życie.

Po Alasce przyszedł czas na Idaho, Kentucky i Montanę, gdzie ojciec przy-
szłej pisarki pracował w przemyśle górniczym. Gdy wyjechał na wojnę w 1941 r.,
Lucia, jeszcze wtedy Brown, z mamą i siostrą osiadły w El Paso w rodzinnym
stronach matki. Po wojnie następuje chilijski rozdział w życiu rodziny – jest to
rozdział pełen przepychu i wystawnych przyjęć. Z Montany Lucia zachowała
wspomnienie tapetowania ściany gazetami układanymi nie po kolei – należało
samodzielnie wymyślać zakończenia pourywanym historii, zanim odnalazło
się miejsce na ścianie z ich kontynuacją („To była chyba moja pierwsza (...)
lekcja nieskończonych możliwości twórczych”). Z El Paso zapamiętała zapachy,

jak chociażby babci otoczonej
„wyłącznie duszącymi zapachami”
i dziadka pachnącego „camelami,
wodą kolońską Bay Rum i jackiem
danielsem”. Mama też pachnie papie-
rosami i jackiem danielsem, tylko woń
wody kolońskiej u niej zastępują per-
fumy Tabu. Zapach alkoholu pojawia
się tu nieprzypadkowo – unosił się
nad całym życiem Lucii, mocno
wyczuwalny już w dzieciństwie za
sprawą dziadka, a później także
matki, która po przeprowadzce do
Chile rzadko wychodziła z łóżka. „Na
parterze, z tyłu, znajdował się duży
pokój otwierający się na brukowany
taras. Nazywaliśmy to pomieszczenie
rodzinnym, ale tylko ja z niego korzy-
stałam” – to wspomnienie dziecięcej
samotności z Chile, z czasów kiedy
„życie było proste”.

Pożerające się węże

ŻYCIE LUCII BERLIN BYŁO TAKIE
zaledwie w paru krótkich momen-
tach. Po Chile przyszedł czas na
uniwersytet w Nowym Meksyku
i pierwszą miłość do 30-letniego
Meksykanina Lou Suareza. Lucia
ma 17 lat, ale już wtedy aranżuje
wspólną przestrzeń z uko- ➤



□ Lucia Berlin z synami w zoo, 1963 r. fot. Wydawnictwo Czarne

chanym, namiastkę domu, którą nazywa „buduarem” – to przestrzeń na dachu akademika z materacem rozłożonym pod topolą („Leżeliśmy pod gałęziami [topoli], patrzyliśmy w gwiazdy i księżyc. Gzysm na dachu skrywał i nas, i lodówkę na piwo, a także lampę, przy której czytaliśmy i się uczyliśmy”). Gdy buduar wychodzi na jaw, na uniwersytecie wybuch afera, Lou oświadcza się Lucii, ona jednak nie czuje się gotowa. Za mąż wychodzi trzy lata później za rzeźbiarza Paula Suttmana, zachodzi w ciążę, a parę miesięcy po narodzinach synka – w kolejną.

Z zapisków Berlin wylania się egocentryczny obraz pierwszego męża („Trzymałam kubek za gorącą krawędź i podawałam mu uszko. Prasowałam mu szorty, by były ciepłe”), który zostawia żonę, zanim na świat przyjdzie drugi syn. Dzień przed jego narodzinami Lucia poznaje późniejszego męża numer dwa, Race’a Newtona, muzyka, z którym zamieszka w niewielkim domu z suszonej cegły o blaszanym dachu.

Z przystankiem w Santa Fe Newtonowie trafiają w końcu do Nowego Jorku, do małego studio przy Trzynastej Ulicy: Lucia musi wychodzić rano z domu z dziećmi, żeby Race mógł w spokoju odespać nocne występy. W końcu zamieszkają na Greenwich Street w łofcie poprzedzielanej płótnami zostawionymi przez poprzednich lokatorów i zaczynają prawdziwe nowojorskie życie. „Boże, ależ był dobrym człowiekiem, po cichu dobrym; jego milczenie zdawało mi się okrucieństwem” – pisze Lucia o mężu i jest w tych słowach zawarta samotność tamtych dni. Na horyzoncie mający już Buddy Berlin, z którym Lucia ma romans, aż w końcu zostawia „dobrego” Race’a i wyjeżdża z Buddym do Acapulco. Para bierze ślub i wraz z dziećmi zaczyna etap wielu



podróży po obu Amerykach. Przemieszczanie się rodziny przynajmniej z zewnątrz wygląda jak podróż, bo jest tu sporo pięknych krajobrazów i chwil szczęścia, i spokoju, jednak można je też nazwać tułaczką: Lucia za każdym razem tworzy dom, który mógłby być tym docelowym. Za każdym razem musi go jednak porzucić.

„(...) Buddy był albo nie był na haju, my zaś byliśmy szczęśliwi albo nie. Za każdym razem, kiedy wpadał w ciąg, a potem miał objawy głodu, przysięgałam, że tym razem to już koniec – pisze Lucia Berlin. Swoją związek z Buddym porównuje do pary węży, które się nawzajem pożerają – pisarka sama nie wie, czy bardziej chciałaby zniszczyć ukochanego, czy zostać przez niego pożartą. Owocem tego małżeństwa są kolejni dwaj synowie i sporo skrajnych emocji: wielka miłość do charyzmatycznego, uroczego („Jego energia rozświetlała każdy pokój, do którego wchodził”) mężczyzny i strach – przed tym, co robi z nim heroina, dilerami, niepewną przyszłością. Narkotyki były wtedy karane więzieniem, do którego można było trafić za sam ślad igły na rękę. Buddy miał takich śladów dużo.

Siła impulsu elektrycznego

LISTA PROBLEMÓW, Z JAKIMI MIERZYŁA SIĘ W ŻYCIU BERLIN, była pewnie równie długa jak domów: konflikt z matką alkoholizką, własny alkoholizm, uzależnienie od narkotyków Buddy'ego, skolioza kręgosłupa, która pod koniec życia skazała ją na życie z butlą tlenową u boku. Poświęca im jednak w swoich zapiskach mniej miejsca niż opisom kolejnych przestrzeni, w których przyjdzie jej mieszkać. W *Witaj w domu* pisze o zapachach, kolorach, dźwiękach, temperaturze ścian i podłóg. Każdorazowo o kwiatkach, które kwitną w okolicy. W czarnych momentach myśl o tym, że można zmienić miejsce,

zdaje się źródłem otuchy. „Dom powinien jakoś pomóc” – pisze w liście do przyjaciół, planując przeprowadzkę.

„Wiem, wszystko idealizuję. To jednak prawda, że leżeliśmy tam długo w zimnie we mgle. To nie była mgła. Raczej para wodna ze zbiornika albo po prostu para z naszych ust” – pisze w opowiadaniu *Nastoletni łobuz*. W swojej prozie wykorzystuje zawsze odbierane wszystkimi zmysłami doświadczenie przestrzeni i elementy własnego barwnego życia. „Chodzi o historię” – mówiła podobno synowi, wciąż ubarwiając wspomnienia i rodzinne opowieści, nie zważając na fakty. Ciekawości wzbudzanej w czytelnikach, którą z wielką łatwością sterowała, poświęciła opowiadanie *Punkt widzenia*. Podobnie jak do wielu innych, wplata do niego własny odautorski głos. Głos ironiczny, a jednak przejmujący. „Trudno mi pisać o niedzieli. Relacjonować długie puste uczucie kolejnych niedziel. Nie ma listonosza i odległego dźwięku kosiarek, beznadzieja” – pozorna swoboda tej wypowiedzi kamufluje przecież samotność tworzonej na naszych oczach fikcyjnej (czy aby na pewno?) bohaterki Henrietty.

Choć trudno w to dziś uwierzyć, podobną tułaczkę do tej realnej Lucia Berlin odbyła w świecie literatury. Z listów wylania się obraz walki o przyjęcie tekstów do druku, walki o status pisarki, walki, by mu w końcu dać wiarę. „Zawsze wierzyłam, że najlepsi pisarze, jak śmietanka, prędzej czy później wyjdą na wierzch i staną się znani, jak być powinni” – pisze we wstępie do zbioru opowiadań *Instrukcja dla pań sprzątających* Lydia Davis. Lucia Berlin wychodziła na wierzch długo i do końca w stopniu niesatysfakcjonującym – jej utwory wypełniły trzy zbiory opowiadań pisane przez większość życia, lecz dopiero w jego schyłkowej fazie zostały zauważone i docenione. Jej opowiadania Davis porównuje do impulsu elektrycznego, przyjaciel pisarki Stephen Emerson pisze z kolei o prozie, „która pazurami wydziera się ze stron”. Jest w tych porównaniach siła, jaka bije również ze wspomnień silnej Lucii Berlin. — Z

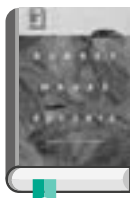


Lucia Berlin
Witaj w domu

tłum. Dobromiła Jankowska,
Wydawnictwo Czarne,
Wotowiec 2024, s. 200

Maria Karpińska

Pisarka i krytyczka literacka. Autorka książek *Żywopłoty* (2020), za które otrzymała Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida 2021 oraz Nagrodę Literacką Krakowa Miasta Literatury UNESCO, i *Ucichło* (2022)



Audrey Magee
Kolonie

tłum. Dobromiła Jankowska,
Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2024, s. 340

Kto ukradł marzenia

Na odosobnionej irlandzkiej wyspie lądują Anglik i Francuz. Brzmi jak początek kawału? Zapewne, ale podczas czytania *Kolonii* śmiech głośnie w gardle.

Audrey Magee tworzy wyspę-skansen, której mieszkańcy są przedstawieni jako ostatni ludzie posługujący się językiem irlandzkim. Ich monotonna codzienność przerywa przybycie angielskiego malarza Lloyda i francuskiego lingwisty Massona, z których każdy oddaje się swoim zainteresowaniom. Lloyd poszukuje inspiracji, bo i jego pędzel, i wyobrażenia utknęły w odtworzonych koleinach. Masson rejestruje proces pokoleniowej degradacji tradycyjnej mowy gospodarzy, zjadanej przez angielszczyznę, przy czym daleko mu do naukowej obiektywności. Obu bohaterów łączy pewna bezwzględność: zaślepieni swymi pasjami, nawet jeśli kierują się słusznymi intencjami, postępują wbrew pozostałym mieszkańcom wyspy, eksploatując ich niczym tytułową kolonię.

Tło dla wydarzeń stanowią „Kłopoty”, czyli bratobójcza wojna w Irlandii, a fabułę powieści przeplatają relacje o kolejnych ofiarach brutalnych zamachów. Wielka polityka dociera na wyspę tylko dzięki sygnałowi radiowemu, lecz atmosfera w stworzonym przez pisarkę mikroświecie daleka jest od sielanki. Magee ukazuje, jak rodzi się przemoc – ta polityczna nie różni od tej symbolicznej, skoro za oboma stoi pragnienie wykorzystania, posiadania dla siebie kogoś lub czegoś, co do mnie nie należy. Pomimo to książka jest piękna, pełna tęsknoty za światem, w którym człowiek i jego marzenia są celem samym w sobie, a nie środkiem do czyjegoś celu.

– Karol Kleczka



Claudia Durastanti
Obca

tłum. Tomasz Kwiecień, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, s. 272

Wymyślanie tego, co się przeżyło

„Lata temu mówiliśmy o sobie na Facebooku w trzeciej osobie i wydawało się to uprawnione, narracyjne, stawaliśmy się postaciami literackimi, nie obrażając nikogo. Potem wróciliśmy do selfie, do publikowania w pierwszej osobie, ale pomysł uczynienia siebie kimś ważnym w autobiografii wydaje się brudny i wracamy do podejrzliwości wobec gatunku” – pisze Claudia Durastanti, podejmując jednocześnie ryzykowną grę z autobiograficznym rodzajem pisania.

Włoska pisarka buduje opartą na faktach, pełną odniesień kulturowych (pojawia się też polski akcent, czyli *Cudzoziemka* Kuncewiczowej, z której włoskiego przekładu zaczerpnęty został zresztą oryginalny tytuł książki) opowieść obejmującą pół dekady swojego życia rozpiętego między Brooklynem, Basilicatą a Londynem. *Obca* to historia o dorastaniu w rodzinie głuchych włoskich imigrantów – buntowników i dekadentów, z nieustannym poczuciem niedopasowania i syndromem oszustki. Autorka nie ukrywa, że pisanie autobiografii polega na wymyślaniu tego, co się przeżyło, skrupulatnym dobieraniu słów, by ostatecznie uświadomić sobie, że język nie pomoże zasypać doświadczonego pęknięć.

Durastanti ciekawie pisze o życiu z głuchymi rodzicami, którzy – przyjmując strategię maskującą – odmawiali używania języka migowego. Głuchota nie stała się dla nich definicją tożsamości, lecz stanowiła tylko jeden z jej elementów. Matka co roku oglądała festiwal w San Remo, traktując go niemalże jak konkurs na najlepsze opowiadanie roku. Wyznacznikiem wartości była dla niej prawdziwość opowiadanej historii. Ta zaś ostatecznie przestaje być najważniejsza dla autorki, która w pisaniu odkrywa wolność.

– Ilona Klimek-Gabrys



Ann Napolitano
Witaj, piękna

tłum. Anna Dobrzańska, Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2024, s. 472

Cztery siostry i nic więcej

Jest tak jak w *Małych kobietkach* – są cztery kochające się, dorastające razem siostry, jest matka oddana wychowaniu córek, nieobecny ojciec i chłopak (nie z sąsiedztwa, ale ze szkoły) dobrze sytuowany, lecz samotny. I żeby nawiązanie było wystarczająco czytelne, powieść L.M. Alcott to ukochana lektura siostr Padavano.

Mimo że w powieści nie brakuje wątków ciekawych, które mogłyby tę historię znacząco pogłębić (jak choćby dążenie do awansu społecznego za cenę wyrzeczenia się własnych korzeni), to bohaterowie ledwie zaznaczają je w zdawkowych monologach wewnętrznych. Z niejasnych powodów natychmiast one gasną, osuwając się w nieprzerwaną serię punktów zwrotnych (romansów, rozwodów, ciąży i pogrzebów) poprzetykanych życiem. Wewnętrzne skonfliktowanie bohaterów nie przekłada się na ich działania, przemiany zaś dokonują się w ciszy, do której czytelnik nie ma dostępu. Historia obejmuje 48 lat, a ta rozległość tylko wzmacnia złudzenie teleportacji do słynnej Grabiny z telewizyjnego tasiemca.

Napolitano serwuje poprawną, lekko nużącą obyczajówkę. Odwołanie do powieści Alcott jest niczym więcej jak cytatem, służącym wyłącznie powtórzeniu (miejscami nawet wzruszającemu) motywu sióstrzanej miłości, wywyższenia więzów rodzinnych ponad życiowe zawirowania. Z biegiem lektury można zacząć przypuszczać, kibicując powieści i autorce, że Napolitano celowo prowadzi nas w znane i oczywiste rewiry, by pod koniec zaskoczyć pomysłem na puente. Nic z tego. Wszyscy wreszcie zjeżdżają się z powrotem do domu, rzucając w niepamięć rodzinne intrygi i niesnaski. Tylko dlaczego przychodzi im to tak łatwo?

– Basia Matecka



Olivia Laing

Republika ciał. Eseje o wyzwoleniu
tłum. Dominika Cieśla-Szymańska,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2024. s. 344

Delikatny futerał

Czy będziemy żyć kiedykolwiek w republice wolnych ciał? Bądźmy realistami; żądamy niemożliwego.

Republika ciał to jedna z tych rzadkich lektur, które konfiguruje na nowo sposób patrzenia na rzeczywistość. I to tę najbliższą nam, cielesną. Olivia Laing porównuje doświadczenie cielesności do „prerażająco delikatnego futerału”, który jest podatny na skrajności – od rozkoszy po ból, od wolności i uporu aż do uzależnienia. Refleksja autorki jest żywa, przenikliwa, osobista i porażająco (niestety!) aktualna, jeśli pomyślimy o tym, jak nieustannie (w szczególności kobiecemu) ciału wyznacza się granice.

Śmiacie opowieści o wyzwoleniu ciała dotyczą zarówno tego, co „na powierzchni”, w strefie wyglądu, widzialnych reakcji, niekończących się społecznym oczekiwaniom, jak również tego, co „w głębi”. Tych tajemniczych miejsc, gdzie tkwią latami nasze „żywcem zamrożone” wspomnienia, nienawiść, smutek i strach. Bo to właśnie w ciele zapisana jest nieświadoma historia; to tutaj nasza przeszłość rzutuje najmocniej na przyszłość, w tym na dynamikę naszych chorób. Jednak *Republika ciał* to nie tylko intymny dziennik krążący wokół relacji *soma–psyche*, ale też szersza kulturowa podróż w stronę odkrycia fascynujących biografii – często zapomnianych – badaczy i myślicieli, czego najlepszym przykładem niezwykła historia niegdyś „złotego ucznia” Freuda, Wilhelma Reicha, wynalazcy kontrowersyjnego „akumulatora orgonowego”. Marzenia o nieskrępowanej wolności ciała (i zarazem duszy) jeszcze się nie ziściły, lecz siła krytycznych esejów brytyjskiej autorki powoduje, że mamy ochotę nie tylko dalej marzyć, ale już walczyć.

– **Diana Dąbrowska**



Margaret Atwood

Wdowi las
tłum. Olga Dziedzic, Wielka Litera,
Warszawa 2024, s. 288

Kawałki duszy

Po wielu latach od publikacji ostatniego zbioru opowiadań Margaret Atwood powraca z kolekcją 15 historii, w których odmienia motyw śmierci i utraty przez przypadki. Odchodzą zwierzęta, przyjaciele, najbliżsi, pamięć, ale też rzeczywistość, do której byto się przywiązano.

Książka składa się z trzech części – w pierwszej zatytułowanej *Tig i Nell* poznajemy kochające się małżeństwo, które bierze udział w kursie pierwszej pomocy. Bohaterowie wysłuchują wskazówek doświadczonego specjalisty, wykonują ćwiczenia, które potencjalnie mają komuś pomóc uniknąć śmierci. W końcu dociera do nich bezwzględna świadomość, że jakkolwiek długo by ćwiczyli, nie da się przygotować na to, co ostateczne. Do tych dwojga Atwood powróci w ostatniej części pt. *Nell i Tig*, tworząc tematyczną i kompozycyjną klamrę.

Jednak to, co najciekawsze i najlepsze w tym zbiorze, znajduje się w samym środku. Druga część – *Moja matka czarownica* – zaskakuje formą, pomysłowością i przede wszystkim bohaterami. W jednym z opowiadań *alter ego* pisarki przeprowadza wywiad z duchem George’a Orwella za pośrednictwem medium. W *Metempsychozie albo wędrówce duszy* spojrzymy na życie ludzkie oczyma duszy ślimaka uwięzionego w ciele młodej kobiety. A w opowiadaniu *Śmierć od muszli ostryg* wysłuchamy przemowy Hypatii z Aleksandrii, która pośmiertnie przeanalizuje, jak została zamordowana. To tylko kilka z tekstów, których lektura jest niczym trafienie na ulubiony smak w pudełku czekoladek. Atwood zaprasza na prawdziwą literacką ucztę, podczas której daje popis swojego talentu, humoru i wyobraźni. Warto się przysiąść i posłuchać jej opowieści.

– **Paulina Jóźwik**



Dariusz Zalega

Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska
Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
Warszawa 2024, s. 320

Codziennosc zamiast buntu

Ludowa historia przemysłowego i pogranicznego regionu, zbiorowy bohater, czyli krnąbrne wobec silnych i bogatych chachary, obalenie stereotypów Ślązaka jako pokornego i zdyscyplinowanego oraz kobiet jako niezdolnych do fizycznej pracy i politycznie biernych – wiele pomysłów i wysokie stawki, lecz w gruncie rzeczy wyszła z tego wszystkiego dość tradycyjnie opowiedziana historia.

Ludowość sprowadza się tu głównie do historii strajków i klasowych antagonizmów lub wykazania, że całkiem sporo górników miało lewicowe sympatie. Bardzo mało zaś dowiadujemy się o tym, jak żyli na co dzień oni sami i ich rodziny. Paradoksalnie więcej takich informacji autor wydobył o czasach dawniejszych niż tych całkiem współczesnych. Po okresie PRL-u bieżniemy szybko, być może dlatego, że strajków na Śląsku było wtedy niewiele, jakby chachary stamtąd zniknęły...

Najciekawsze są momenty, w których Zalega odstania paradoksalny status tego pogranicznego regionu – zarabiano się tu mniej niż w innych zagłębiach przemysłowych Niemiec (dlatego Ślązacy od dawna emigrowali), ale ze względu na lepiej rozwinięty system szkolnictwa wyższy był na Śląsku odsetek czytających w porównaniu z innymi częściami Polski (w Prusach obowiązek szkolny istniał od 1818 r.). To dlatego ten region mógł być tak zapalny: górnik przynosił śniadanie owinięte w gazetę, w której czytał na głos o lepszych warunkach pracy w Zagłębiu Ruhry (ośmiogodzinny dzień pracy był tam normą już przed I wojną) i ta wieść obiegająca szybko całą jego zmianę i kopalnię. Takich obrazów chciałoby się na stronach książki zobaczyć więcej.

– **Mateusz Burzyk**



Jerzy Illg

Redaktor, wydawca, krytyk literacki. Od 1983 r. redaktor, a w latach 1992–2021 redaktor naczelny wydawnictwa Znak. Ostatnio wydał m.in. tom *Mój przyjaciel wiersz* (2021)

Pielgrzym kryzysu

JERZY ILLG

Jest rzeczą ważną, ażeby z pewnymi książkami spotkać się we właściwym czasie. Przeczytane za wcześnie, mogą nie odsonić wszystkiego, co w nich istotne, przeczytane za późno, mogą wydać się sentymentalne bądź naiwne

Z *DEMIANEM* HERMANNA HESSEGO nie mogłem spotkać się w lepszym momencie. Miałem 18 lat, w czasie lata 1968 r. brałem udział w pierwszych historycznych zlotach polskich *hippies*, zaś jesienią trafiłem na słynne poddasze w pracowni przy Piastowskiej 1 w Katowicach, poznając malarzy, którzy wywarli na mnie znaczący wpływ: Urszulę Broll, Andrzeja Urbanowicza i Hen-

ryka Wańka. To właśnie Henryk któregoś popołudnia zagadnął mnie: „Czytałeś?” – „Nie”. – „To przeczytaj” – i wręczył mi niewielką książkę z ptakiem na okładce wlatującym w błękitny okrąg. Pochłoniłem ją jeszcze tej samej nocy – jakby napisana została specjalnie z myślą o mnie. Uświadomiłem sobie, że nieznanymi mi autor stawia wszystkie najgorętsze, najbardziej nurtujące mnie

pytania i – co więcej – udziela na nie fascynujących odpowiedzi.

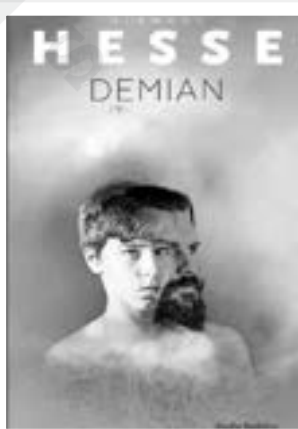
Tak zaczęła się niezwykła przygoda. *Demiana* czytano i nazajutrz przekazywano przyjaciółom, traktując to jako znak wtajemniczenia, dopuszczenia do sekretnego łańcucha adeptów uczestniczących w osobliwej inicjacji. W hippisowskich komunach czytano tę książkę głośno, coraz bardziej zacytane egzemplarze przechodziły z rąk do rąk. Potem przyszedł czas na poszukiwanie w bibliotekach kolejnych dzieł Hessego: *Petera Camenzinda*, *Wilka stepowego*, *Siddharthy*, *Narcyza i Złotoustego*. Po kilku latach doszło do tego *opus magnum* – wydana w Polsce w roku 1971 *Gra szklanych paciorków*. Ale to właśnie *Demian* pozostał dla mnie tą książką najważniejszą, po lekturze której byłem już kim innym.

Hesse napisał ją w roku 1917, w czasie wojny, ukazała się w roku 1919. Znalazły w niej wyraz doświadczenia tamtych lat, poczucie wiel-

W czytelniczym życiu liczą się nie tylko nowości. Co miesiąc najlepsi polscy twórcy polecają książki, które zostawiły w nich trwałe ślady.

kiego kryzysu, załamania się humanistycznych wartości. Sam autor – żarliwy pacyfista, opiekujący się w czasie wojny internowanymi żołnierzami, przez nacjonalistów oskarżany o zdradę narodu niemieckiego – nękanym był depresjami i melancholią, miał także za sobą próby samobójcze, bunt przeciwko mieszczańskiemu otoczeniu i sytemu materializmowi. Zafascynowany religiami Wschodu i psychologią Junga, szukał ratunku w psychoanalizie i penetrowaniu orientalnych ścieżek duchowych. *Demian* oparty jest na motywach autobiograficznych, to powieść o dojrzewaniu, poszukiwaniu wtajemniczenia. Dzieje głównego bohatera, Sinclaira, to przejście przez szereg inicjacji umożliwiających odzyskanie psychicznej równowagi, poznanie samego siebie i zapanowanie nad własnym losem. Pomaga mu w tym procesie, podobnym do jungowskiej indywidualizacji, przyjaciel i tajemniczy mentor Max Demian, będący symbolicznym *alter ego* młodego adepta. Poczucie przynależności do grona wybranych, naznaczonych piętnem Kaina na czole, prowadzi do odrzucenia chrześcijaństwa i mieszczańskiej moralności, którym przeciwstawiona zostaje gnostycka wiara w Abraxasa – boga jednoczącego w sobie zarówno dobro, jak i zło. Bohaterowie powieści mają świadomość nieuchronności końca starożytności i potrzeby poszukiwania nowych idei, które nie wyłoniły się jeszcze z chaosu dziejów. Jak pisze Volker Michels: „Dzieło to zelektryzowało młode pokolenie epoki powojennej [w Niemczech], z niesłyszczaną precyzją trafiło w sam nerw swojego czasu, podobnie jak ongiś *Cierpienia młodego Wertera*”.

Kiedy Hesse w 1946 r. dostał Nagrodę Nobla, jego twórczość w krajach anglojęzycznych była niemal nieznana. Odkrywając go dla rodzącej się kontrkultury, Colin Wilson w klasycznym już dzisiaj dziele *Outsider* (1956) stwierdzał: „Mam zamiar zająć się twórczością Hermanna Hessego (...) dlatego, że wielkość osiągnięć twórczych Hessego jest wybitnie niedoceniana na terenie krajów mówionych po angielsku, gdzie w ogóle trudno natknąć się na jakąś jego powieść w przekładzie”. Sytuacja miała rychło ulec zmianie. Na autora *Wilka stepowego* entuzjastycznie zareagowało już pokolenie beatników, w latach 60. znalazł się w panteonie hippisów i trafił do kultury masowej. W kultowym filmie *Easy Rider* (1969) rozbrzmiewa głośny przebój *Born to Be Wild* sztan-dardowego zespołu *flower power*, na cześć Hessego noszącego nazwę Steppenwolf, płyta Carlosa Santany zatytułowana jest *Abraxas* (1970). Suita *Close to the Edge* grupy Yes




Hermann Hesse

Demian

tłum. Maria Kurecka, Wydawnictwo Media Rodzina, Poznań 2017

z 1972 r. zapożycza tytuł z powieści *Siddhartha*.

Pokolenie dzieci kwiatów odnalazło w dziełach autora *Demiana* inspiracje i pokrewieństwo, jeśli chodzi o niepokoje okresu dojrzewania, seks, narkotyki, fascynację Wschodem, stosunek do państwa, szkoły i wszelkiej władzy. W USA w 1967 r. sprzedaje się 100 tys. egzemplarzy *Siddharthy*, wydawnictwo Farrar, Straus & Giroux wydaje *pocketbook Narcyza i Złotoustego* w nakładzie 400 tys. Moda ta wraca odbitą falą do Niemiec, gdzie w samych tylko latach 1972 i 1973 *Wilk stepowy* osiąga kosmiczny nakład 800 tys. Apostoł LSD Timothy Leary doradza swoim adeptom, ażeby przed podróżą na kwasie przeczytali *Siddharthę* i *Wilka stepowego*. Zjawisku zafascynowania się kontrkultury twórczością Hessego poświęcono mnóstwo artykułów i książek – informacje czerpałem m.in. z biografii Ralpha Friedmana *Hermann Hesse. Pilgrim of Crisis*.

U Miguela Serrano, chilijskiego dyplomaty w Indiach, odnalazłem jakże bliskie mi doznania: „Moją pierwszą książką Hessego był *Demian*. Wpłynęła ona na mnie niesłyszczanie i wypełniła mnie siłą, jakiej przedtem nigdy nie znałem. (...) Na jak wiele ludzkich żywotów wpłynął *Demian*! (...) Po lekturze tej książki godzinami wędrowałem przez ulice mojego miasta przeniknięty uczuciem, że jestem nosicielem jakiegoś znaku czy posłania. Nie tylko dla mnie, lecz dla całych pokoleń był Hesse czymś więcej aniżeli jedynie pisarzem czy poetą. Magia jego dzieł dotyka rejonów, w które wnika na ogół jedynie religia”. — 



fot. Tomasz Pietrzyk/Agencja Wyborcza.pl

Maciej Bobula

Radysy, 2020

cztery tony psów
jak martwa kotwica diy
przytwierdza nas do piekła

Fraza „deszcz alfabetów” pochodzi z alfabetu Inger Christensen (tłum. B. Sochańska). Są to dla mnie słowa ożywcze, niosące nadzieję i siłę. Wiersze istnieją, deszcz wierszy, by sparafrazować duńską poetkę. Wejdźmy w te wiersze.



Małgorzata Lebda

Dorastała w beskidzkiej wsi Żeleźnikowa Wielka. Autorka sześciu książek poetyckich, w tym nagradzanych tomów *Matecznik* i *Sny uckermärkerów* (Nagroda Literacka Gdynia 2019). Tom *Mer de Glace* (Wydawnictwo Warstwy, 2021) uhonorowano Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej (2022). Jej debiut prozatorski, książka *Łakome* (2023), został nagrodzony Odkryciami Empiku 2023

Zaangażowany w życie

„O czym można pisać wiersze?” – zapytała mnie kiedyś uczennica klasy maturalnej liceum w Gliwicach, w którym na zaproszenie szkoły mówiłam o poezji. Zatrzymało mnie to pytanie. Na biurku przed sobą położyłam kilka tomów poetyckich: Alice Oswald *Zapadać w jawę* w tłumaczeniu Magdy Heydel (Instytut Kultury Miejskiej, 2018), Anne Carson *Autobiografia czerwonego* w tłumaczeniu Macieja Topolskiego (Ossolineum, 2022) i tom Macieja Bobuli *Pustko* (Wydawnictwo Warstwy, 2022). Omiotłam je spojrzeniem i nasunęła mi się jedna odpowiedź, taka, jaką sama chciałabym usłyszeć w szkole podstawowej czy w liceum: o wszystkim. Nie miała ona na celu zbycia pytającej czy zatrzymania kolejnych dociekliwych pytań. W tej mojej spontanicznej odpowiedzi mieściła się wolność w tworzeniu, bez której nie potrafię pisać.

Wspominam o tym zdarzeniu, myśląc o książkach, które mam polecić kolejnemu licealiście, który zapytał mnie po jednej z lekcji poetyckich o konkrety, zapytał mianowicie: kogo czytać? Mam na takie okazję przygoto-

waną listę, która z roku na rok się poszerza. A na niej jest m.in. *Pustko* Macieja Bobuli. W jego poezji można zobaczyć, w jaki sposób język reaguje na rzeczywistość, że jest blisko życia. A to – jak pokazują moje doświadczenia w edukacji w obszarze poezji – jest młodym czytelnikiem i czytelniczkom (ale przecież też starszym, którzy przygodę z poezją zakończyli w liceum czy na studiach) bardzo potrzebne.

Dolnośląski poeta poruszył mnie już swoim debiutanckim tomem wierszy *wsie, animalia, miscellanea*, po nim sięgnęłam po prozę zatytułowaną *Szalejów*, a ostatni tom wierszy przekonał mnie, że autor konsekwentnie kontynuuje najistotniejsze wątki z wcześniejszych książek. Ostatnia książka poetycka to w moim odczytaniu pozycja ze wszech miar napętniona smutkiem. To taki rodzaj smutku, który nazwę na potrzeby tego tekstu „drgającym”. Wszystko we mnie, czytelnicze, od tych wierszy drga. Skąd to? – pytam się, przewracając kolejne strony. Wiersze te sięgają do tego, co we mnie odkryte, skrobia po niezagojonym we mnie, każą się przyglądać sobie w środku i sobie w skomplikowanych relacjach ze światem zewnętrznym. Można się spodziewać, że taka czytelnicza wiwisekcja każe odłożyć książkę, ale nie, to tu tak nie działa. Dlaczego? Odpowiedzią niech będzie stwierdzenie: jest czułość w tym pisaniu, czułość – uwaga – bezbrzeżna.

Wiele mam w *Pustko* Bobuli powtykanych zakładek, karteluszków, ptasich piór, wiele notatek, dopisków, podkreśleń i wykrzykników. Wiele jest w tym tomie do podkreślenia, jest do czego wracać, jest co zapamiętywać. Jednym z tekstów, które znam już na pamięć, jest ten, który można przeczytać obok.

Wstrząsającą historię psów ze schroniska w Radysach pamięta wielu, wiele z nas. Poeta tworzy z tego wiersz. Poeta pamięta. Poeta przypomina. Poeta nie pozwoli zapomnieć. Oto tekst, jak wiele w książce, mocno zaangażowany. Zaangażowany w życie. I tak jeśli wiersz można napisać o wszystkim, to dlaczego nie spożytkować wiersza, żeby napisać o kondycji świata? Używam tego wielkiego kwantyfikatora z uwagi na fakt, że tak to odczytuję. Na przestrzeni tych kilku linijek mieści się dla mnie opowieść o cierpieniu, bezradności, winie, ponoszeniu kary, konieczności pamiętania. Wiersz jak brzytwa. I ta linijka: „cztery tony psów”, pożyczona przecież z prasowych doniesień, rozmontowuje dla mnie rzeczywistość. Ile

to żyć? Ile to ciał? Ile to należących do tych ciał łap, pysków, oczu? Oto wiersz, który czytam jak oskarżenie. Ale! Zobaczmy, kogo oskarża poeta. Czy kogoś konkretnego? Nie. Uniwersalizuje ten wiersz, pisząc, „przytwierdza nas do piekła”. Nas. Oskarża również siebie jako członka rodziny ludzkiej. Ta konkretna zbrodnia wobec zwierząt jest asumptem do spojrzenia na kondycję człowieka. Zdziwiająco, mogło być przecież tak, że czytając „nas”, poczułabym, że odpowiedzialność się rozmywa, każdy bierze po trochu. Jest jednak inaczej, ten poetycki gest wskazania na „nas” dotyka mocno – w tym zbiorze wskazanym przez poetę mieszczą się i ja, a także ty, osobo czytająca. Jak ci z tym?

Co robi ze mną ten wiersz i inne z tego tomu? Pozwalają mi mój smutek usadzić przy smutku tej książki. Mój smutek – w lekturze – mówi z tamtym. I jest mi w tej komitywie różnej. Dwa smutki obok siebie, myślę, wykluczają samotność, a to jest już bardzo wiele. I jeszcze – potrafię po tej lekturze nazywać rzeczy inaczej, jak chociażby tak: „świat to okropień, a rządzi nim okrucień” (z wiersza *Tszycyca*). Nazwanego boję się mniej.

Jest w tym tomie i to, czego obłąkańczo szukam w poezji – światło, jak w wierszu zamykającym książkę zatytułowanym *Hu Bo*: (...)

Imperatyw, by pamiętać o świetle,
kiedy noc przed nami długa.

Czytam ten fragment na głos. Prowokuje to psa, który śpi na moich kolanach, do podniesienia pyska. Patrzy we mnie uważnie, po chwili wraca do snu. Chrapie. Przyglądam się ilustracji w tomie (jakże to jest wspaniale wydane i zilustrowane!), na której widać kwiat i zwierzę przypominające słonia. Czytam podpis „przedadamowy słoń patrzy w słońceznik”. I mój smutek, czuję to, uśmiecha się. — z



Maciej Bobula *Pustko*

Wydawnictwo Warstwy,
Wrocław 2022, s. 88

KADRY – ZNAKISZCZEGÓLNE



□ Kadr z filmu *Angelus* fot. dzięki uprzejmości Lecha Majewskiego

Mistyka z kopalni

DIANA DĄBROWSKA

„Mieszanka absurdalnej satyry Felliniego i mistycznego rytualizmu Tarkowskiego...” – tak pisano przed laty o jednym z najoryginalniejszych filmów, jaki kiedykolwiek powstał w polskim kinie

Nikt w naszej kinematografii nie potrafi tak pięknie i poetycko opowiadać o ludziach żyjących na własnych zasadach jak Lech Majewski. Przedstawia on groteskowe często postacie uwikłane w różne wierzenia i wynaturzenia rzeczywistości, gdzieś między jawą a snem, na marginesie oficjalnych historycznych narracji. W *Angelusie* (2001) rysuje na ekranie tragikomiczne losy społeczności, która wyczekuje cudu mającego powstrzymać, zdawałoby się, nieuchronny, hucznie zapowiadany koniec świata.

W małowizyjnym filmie Majewskiego grupa samowarzących artystów myślicieli próbuje nie dopuścić do tego, aby „złe siły Saturna świat

rozwały”. Kiedy stary mistrz – jeszcze przed wybuchem II wojny światowej – dzieli się na łożu śmierci złowrogimi prorocztwami, staje się jasne, że przyszłość zależeć będzie od poświęcenia jednego – czystego niczym tytułowy anioł – młodzieńca. Znalezienie jednak idealnego kandydata na kozła ofiarnego okaże się nie lada wyzwaniem... Twórca *Wojaczka* rozpisuje tę świetlistą opowieść na szereg wystawnych *tableaux vivants*; rzadko kiedy forma dzieła – i kryjący się za nią geniusz inscenizacyjny – tak organicznie oddaje jego charakter i temat.

Podstawą do napisania scenariusza okazały się barwne dzieje działającego na Śląsku od 1946 r. Koła Malarzy Nieprofesjonalnych znanych jako Grupa Janowska. Początki tego fenomenu sięgają właśnie lat 30. XX w. i działalności Teofila Ociepki, prymitywisty i założyciela tzw. janowskiej gminy okultystycznej. Członkowie grupy byli rekrutowani wśród pracowników Kopalni Węgla Kamiennego „Wieczorek” w Katowicach (znanej do 1945 r. jako Kopalnia „Giesche”). Malarstwo było uznawane przez Ociepkę za najwyższą formę ekspresji i duchowej komunikacji, coś na wzór „bożego postannictwa”. Głęboko zakorzeniony w śląskich tradycjach dobroduszny folklor spotyka się tutaj z „ezoteryczną mistyką”, synkretyczną symboliką i rubaszną erotyką. Twórczość malarzy-amatorów wymykała się socrealistycznym ideałom, odważnie grając na nosie światopoglądowej reto-

ryce partii komunistycznej. Mowa tu o jednym z najbardziej intrygujących zjawisk polskiej kultury tworzonej w minionym stuleciu przez klasę ludową; nietrudno zrozumieć, dlaczego urodzony na Śląsku reżyser uległ niezwyktemu czarowi tej grupy.

Majewski przedstawia Śląski pejzaż i zamieszkanego przez niego bohaterów z niezwykłą czułością, choć nie brakuje jego kontrastowej wizji ironicznego humoru. Wszelkie przeciwieństwa i paradoksy łączą się tutaj w harmonijną całość. Wyobraźnia marzycielskich górników nieustannie lawiruje między wnętrzem ziemi a melodią ciał niebieskich. Modlitwa i medytacja idą w parze ze złożonymi obliczeniami matematycznymi i rozkładem kart tarota. Protagonistów *Angelusa* cechuje jednak przede wszystkim wolność. Wolność patrzenia, odczuwania, dekodowania najróżniejszych znaczeń. Wolność, której dziś można ze świecą szukać. — **Z**

Diana Dąbrowska

Filmoznawczyni, edukatorka filmowa, twórczyni internetowej „Accademii Włoskiego Kina”. W „Znaku” pisze o filmach stanowiących nieoczywiste rozwinięcie Tematu Miesiąca

Umil sobie wiosnę i zamów prenumeratę ZNAKu!

+ prezenty

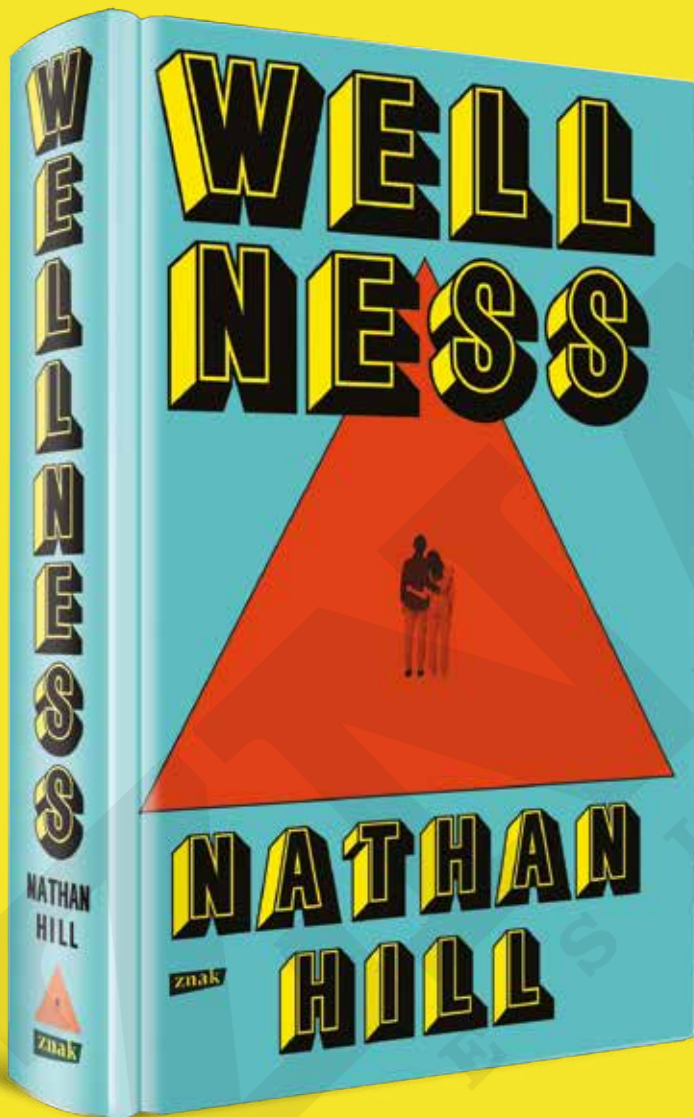


- Dostawa kurierem w cenie
- Co miesiąc **nowe wydanie papierowe**
- Dostęp do wydań na czytniki
- Dostęp do wszystkich treści online i archiwum
- Gadzety i niespodzianki: plakaty, kalendarze lub specjalne promocje

28,99 zł
miesięcznie

Zamów na miesiecznik.znak.com.pl/prenumerata

CZY MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA MOŻE TRWAĆ CAŁE ŻYCIE?



BESTSELLER NYT
KSIĄŻKA ROKU NPR

NATHAN HILL,

autor fenomenalnie przyjętych *Niksów*, powraca z powieścią – lustrem, w którym dostrzegamy swoje codzienne lęki i fascynacje. Uwodzicielską, urzekającą, trzymającą w napięciu aż do zaskakującego finału. **WYJĄTKOWĄ!**

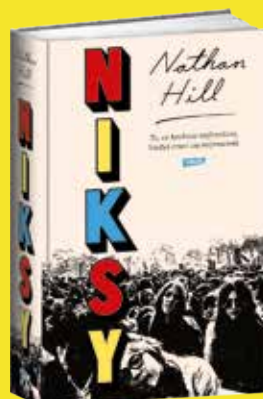
„Zabawna i poruszająca opowieść o współczesnym małżeństwie. Zdumiewa rozmachem i intymnością”.

Brit Bennett

„Nathan Hill jest mistrzem!”

John Irving

przeczytaj również:



PREMIERA 24 KWIETNIA

IDEALNA KSIĄŻKA NA MAJÓWKĘ